Chotnička

PISMO P.S.K.

Rok IV | Lipiec — Sierpień 1946 r. | Nr 7—8 (34—35)

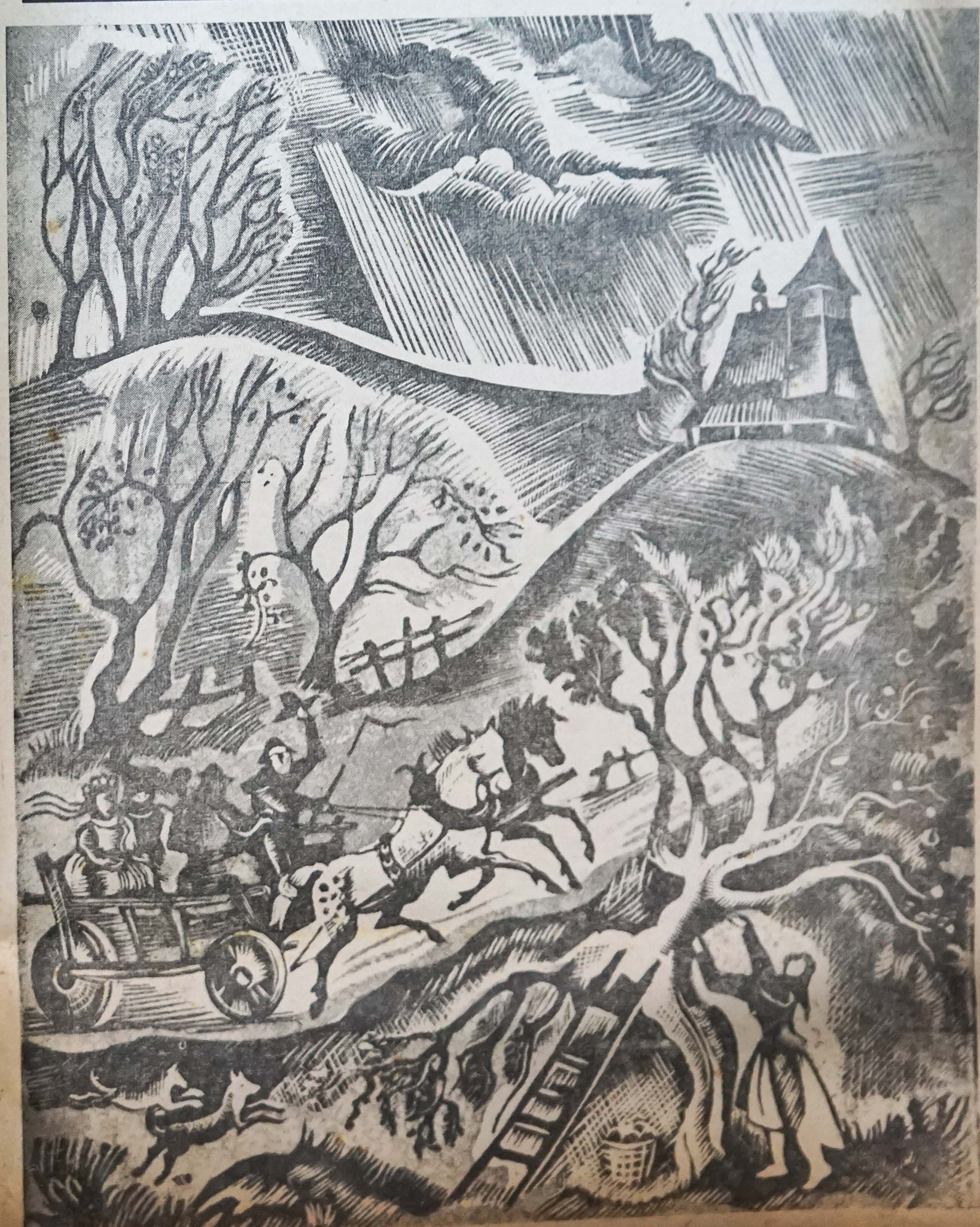

CZAS UCHODŹCTWA — CZAS PRÓBY

Idziemy na dalszą tułaczkę. Wprawdzie wyznaczono nam miejsce czasowego pobytu, ale tułaczka nasza jest dobrowolna tak długo, dopóki Ojczyzna nasza nie odzyska niepodległości i granic nie uszczuplających jej stanu posiadania na wschodzie. Idąc na tułaczkę, przysięgamy sobie, że niezmiennie wytrwamy przy celach, które wyznaczyło nam umiłowanie wolności.

Ochotniczki Pomocniczej Służby Kobiet nie posługiwały się nigdy wielkimi słowami. Do wielkości urastało jednak postanowienie: „spełniamy swój obowiązek". Wszystkie zadania naszej służby odbywały się pod tym hasłem właśnie. Dziś możemy to sobie powiedzieć otwarcie, że mamy za sobą wieloletni okres pracy, mierzonej nie według sił, ale według zamiarów.

Teraz jest przed nami przyszłość pod wielu względami niewiadoma. Od nas samych zależy, jaką treścią napełnimy nasze życie na obczyźnie. Ochotniczki P.S.K. potrafiły zawsze zachować równowagę ducha w chwilach przełomowych. Nie ulegały panice, nie zmieniały przekonań, nie dbały o osobiste sprawy i interesy, nie słuchały podszeptów. W każdej sytuacji umiały wybrać to jedyne wyjście, które było zgodne z naszym poczuciem żołnierskim i obywatelskim. Nikt nie wyłamał się dotąd z szeregów P.S.K.

Szeregi te nadal muszą być zwarte. Do naszych doświadczeń w pracy i w służbie dojdą inne, dające nam nowe poznanie i nowe horyzonty. Okaże się, że w tych nowych, odmiennych warunkach ćwiczyć trzeba samodzielność, inicjatywę, umiejętność w wykonywaniu zawodów, do których będziemy się przygotowywać. Sumienność, która stała się już drugą naturą ochotniczek P. S. K., podniesie wartość każdej pracy, i poprze każdy nasz wysiłek w zdobywaniu pozycji na obczyźnie. Cierpliwe, skromne, dokładne, mają jednak ochotniczki P.S.K. słuszną ambicję przodowania zarówno w pracy, jak i w osiąganiu najlepszych rezultatów.

Już w tych cechach naszego charakteru mieści się coś więcej niż samo tylko zdobywanie warunków materialnych. Ale przede wszystkim stoją przed nami zadania, które ujmujemy krótko jako — ideologiczne. W tym zakresie czekają nas trudności, wynikające — być może — z rozproszenia, zagubienia się wśród obcych środowisk, z ponęt zasobnego życia bogatych narodów, z wpływów obcej kultury, obcego obyczaju, a wreszcie z poczucia niższości, jakie nieraz może trapić tułacza wśród pewnych siebie społeczeństw. Nic jednak nie powinno i nie może wpłynąć na naszą postawę wobec najważniejszego zagadnienia, którego niedokonanie spowodowało, że wybraliśmy dobrowolne tułactwo, że staliśmy się tak liczebną emigracją polityczną.

Wszystko, co będziemy robiły na obczyźnie, musi więc mieć swój cel obmyślony na przyszłość — dalszą, czy da Bóg bliską — na powrót do wolnej, niekrojonej, zwycięskiej Polski. Należy więc tak pracować, tak postępować, tak się skupiać — mimo rozproszenia — żeby, gdy nadejdzie ta wielka chwila zadośćuczynienia, być gotowym do marszu poprzez lądy i morza. Być gotowym psychicznie, świadomie. Dlatego też obok pracy na chleb codzienny przyjmujemy na siebie obowiązek pracowania nad sobą, przygotowania siebie, rodzin swoich, a zwłaszcza młodzieży do — powrotu, do służby dla Polski i w Polsce.

Dobrze przecież wiemy, że nie tylko mundur złączył nas w jedną gromadę. Mundur, z którego jesteśmy tak dumne, był symbolem pracy, jakiej podjęłyśmy się na czas wojny. Dziś, gdy trzeba będzie mundur zmienić na cywilne suknie, nic w zasadzie się nie zmieni: będziemy walczyły dalej i dalej pracowały na rzecz tego samego — na rzecz Polski. Nie wolno rozluźnić wewnętrznej dyscypliny w żadnej sytuacji — zbyt dobrej, albo zbyt złej. W obszarach świata znajdzie się punkt zborny, ośrodek idei, która jest nam wszystkim wspólna. My Polki potrafimy taki ośrodek stworzyć i zorganizować, aby służył pomocą i radą, aby promieniował duchowo.

W obcych środowiskach nie zaniedbamy niczego, co uchowa rodzinę, wiarę, tradycję przed zasymiliowaniem się. Ale w tych obcych środowiskach musimy pamiętać także o tym, że indywidualnie, czy też grupowo jesteśmy przedstawicielkami kobiet polskich. Musimy więc zachować godność, musimy nawzajem otaczać się czujną i troskliwą opieką, aby wielki historyczny dorobek nie zmarnował się, aby bohaterstwo bojowe kobiet w Kraju i solidna, ciężka praca P.S.K. przetrwały chlubnie ten czas próby, czas uchodźctwa. I jeszcze jedno: — musimy wzajem sobie pomagać sercem. Jesteśmy bowiem w tym obcym świecie rodziną. Związane koleżeństwem przeżyć i pracy, jesteśmy sobie najbliższe, więc też obowiązek wzajemnej pomocy wynikać będzie z potrzeby serca i najgłębszego porozumienia.

Niewątpliwie możemy wiele nauczyć się od obcych społeczeństw. Unikając bezkrytycznych zachwytów, nie lekceważmy jednak osiągnięć i zdobyczy narodów, dla których los był bardziej szczęśliwy niż dla nas. Uczmy się zatem od obcych z myślą o Kraju, w którym trzeba będzie na wielu odcinkach zacząć pracę od podstaw. Jeżeli postawimy przed sobą hasło: „Wszystko dla Kraju"! —o ileż łatwiej zniesiemy trudy i przeciwieństwa, o ileż łatwiej i chętniej podejmiemy się każdej pracy, nie tylko po to, aby przetrwać, ale żeby nauczyć się czegoś pożytecznego, podnieść swój poziom duchowy, rozszerzyć zakres wiedzy i pojęć.

Rozpoczniemy pod tym hasłem pracę natychmiast, nie zwlekając. Jeżeli „Korpus Przysposobienia" ma Was przygotować do życia cywilnego, nie może się to odbywać tylko na użytek emigracyjny, ale właśnie świadomie na użytek Kraju, do którego powrócimy jako całość zwarta, ideowo zjednoczona. Jako Pomocnicza Służba Kobiet.

BRONISŁAWA WYSŁOUCHOWA

DO NARODU POLSKIEGO

LONDYN. P. A. T. 18 lipca. Rząd R.P. ogłosił w czerwcu 1946 następującą odezwę:

„Do Narodu Polskiego!

„Na konferencji w Jałcie decyzją Mocarstw odebrano Polsce blisko połowę obszaru i poddano tak okrojone państwo pod przemożny wpływ Sowietów.

„Rząd Polski, stojący na straży niepodległości i całości Rzeczypospolitej, decyzji tej nie uznał. Mimo jego protestu, wprowadzono ją w życie. Wielkie mocarstwa cofnęły prawowitym władzom polskim uznanie, przenosząc je na utworzony w Moskwie i narzucony Polsce tzw. „tymczasowy rząd jedności narodowej".

„Rząd ten prowadzi w Polsce politykę obcej racji stanu. Dąży do zniszczenia kultury polskiej, do osłabienia sił biologicznych i gospodarczych narodu oraz do całkowitego podporządkowania Kraju Sowietom. Nie tylko niezależność państwa i wolność człowieka została w Polsce przekreślona, ale nadto doprowadzono do najcięższych w Europie warunków bytu materialnego i rozpętano krwawy terror polityczny.

„Te postanowienia jałtańskie, które miały rzekomo zapewnić Polsce minimum swobód wewnętrznych, zostały niewypełnione lub pogwałcone. Stronnictwa demokratyczne pozbawiono możności legalnego istnienia, lub narzucono im władze przez komunistów wytworzone. Wybory, które miały się odbyć w czasie najkrótszym, odsuwa się w przyszłość nieokreśloną, a szalejący terror polityczny odbiera wszelkie widoki, aby mogły one być wolne i nieskrępowane.

„Zarządzone obecnie referendum jest manewrem taktycznym, zmierzającym do utrwalenia uzurpowanej władzy.

„W tym stanie rzeczy wybory, gdyby się nawet odbyły, nie zmienia istoty położenia. Zależne ono jest bowiem od celów politycznych i pozycji, jaką zajmują dziś Sowiety na wschodzie Europy.

„Walka o wolność i niepodległość nie jest zakończona!

„Naród polski nie pogodzi się z niewolą i, choćby walka o wyzwolenie miała trwać czas dłuższy, nie poniecha jej. Zmienione warunki wymagają jednak nowych form działania. Muszą być one różne od form, stosowanych w czasie okupacji niemieckiej.

„Rozporządzeniem Prezydenta R. P. z 19 stycznia 1945 r. oraz późniejszymi decyzjami Rządu zostały rozwiązane organizacje wojskowe, walczące w kraju przez cały czas okupacji niemieckiej. Została w ten sposób przerwana wszelka walka zbrojna, jako nieodpowiadająca w zmienionych warunkach, interesom narodu polskiego. Rząd wzywa społeczeństwo do niedawania posłuchu podszeptom prowokatorów i obcych agentów. Wrogom Polski może zależeć na wywołaniu stanu wrzenia i wojny domowej. Pozwoliłoby to na krwawe stłumienie, wyniszczenie najofiarniejszych i najdzielniejszych elementów społeczeństwa i całkowite ujarzmienie kraju. Należy odrzucać zachęty do akcji bojowej, dywersji, sabotażu i wszelkich innych działań wojskowych bez względu na to od kogo pochodzą i z jakich pobudek płyną. Walka i zachowanie samodzielnego bytu narodu, jego oblicza kulturalnego, zdrowia moralnego i sił gospodarczych toczyć się dziś musi w Kraju w innych, nie wojskowych formach.

„Zmaganiom naszym towarzyszy konflikt, między totalizmem a wolnymi narodami świata. Tylko zwycięstwo zasad wolności i sprawiedliwości może wyprowadzić świat z głębokiego przesilenia. Zwycięstwo tych zasad będzie zwycięstwem Polski i innych ujarzmionych dziś narodów. Kraj i Polacy na obczyźnie stanowią organiczną całość. Inne wszakże zadanie przypada uchodźctwu, a inne społeczeństwu w Kraju, które pozostaje w zasięgu władzy sowieckiej.

„Zadaniem Kraju jest przetrwanie i nieugięta obrona podstaw bytu narodowego.

„Zadaniem Rządu R. P. wraz z ogółem Polaków na obczyźnie jest prowadzenie na gruncie międzynarodowym walki i przywrócenie Polsce wolności i niepodległości."

DWA NURTY NASZEGO ŻYCIA

Rada Polskich Stronnictw Politycznych w Londynie wydała następującą odezwę:

Rodacy w Kraju i na obczyźnie!

Rok minął od zakończenia działań wojennych. Mimo to Polska nie jest wolna i nie jest niepodległa.

Klęska nasza zbiega się z ciężką sytuacją wielu innych narodów oraz z poczuciem niepewności i zagrożenia ogarniającym cały świat. Cała wschodnia i środkowa Europa jest dziś w jarzmie totalizmu sowieckiego. Europa zachodnia żyje pod grozą niebezpieczeństwa tego samego totalizmu i stoi w obliczu możliwości przewrotów zbrojnych. Morze Śródziemne, Bliski i Środkowy Wschód, Indie i Chiny są terenem ofensywy komunistycznej, zarówno politycznej, jak i zbrojnej. Półkula zachodnia odczuwa niebezpieczeństwo kumunistycznej „piątej kolumny".

Świat cały stoi dziś w obliczu niebezpieczeństw, które trzeba odeprzeć, aby nie dopuścić do klęski powszechnej.

Potężne duchowo i materialnie, choć jeszcze należycie nie zorganizowane siły wolnego świata dążą do zmiany tego układu stosunków, który nas i całą Europę środkową już pozbawił wolności, a innym zagraża jej pozbawieniem. Pragną tej zmiany bynajmniej nie w naszym interesie, ale przede wszystkim w swoim własnym.

Nieprzychylna dla nas międzynarodowa koniunktura posiada przeto wszelkie cechy koniunktury przemijającej.

Toteż nadejdą wydarzenia które sytuację polityczną świata gruntownie zmienią, a przed nami otworzą nowe możliwości.

Siły własne Narodu Polskiego przedstawiają się dziś odmiennie niż po upadku Polski w wieku XVIII-tym. Mimo straszliwego wyniszczenia jesteśmy dziś lepiej społecznie i politycznie zorganizowanym narodem, niż po rozbiorach. Uświadomienie polityczne ogarnęło dziś najszersze masy narodu, stanowimy jednolity blok ożywiony jednakowymi dążeniami i jedną niezachwianą wiarą, nadzieją i wolą. Posiadamy prawowite władze Państwa Polskiego. Posiadamy Siły Zbrojne. Stoją one wprawdzie w obliczu demobilizacji, ale demobilizacja nie jest równoznaczna z unicestwieniem. Odradzanie się po klęsce wrześniowej naszych Sił Zbrojnych: w podziemiach Kraju, we Francji, w Anglii i na Bliskim Wschodzie jest tego dowodem. Żołnierz polski czuje się nadal żołnierzem, nawet wtedy, gdy zdejmuje mundur i zawsze w chwili potrzeby stanie na posterunku.

Zadania nasze polegają na nowej odpowiedzialnej roli w dziejowym zmaganiu.

O co toczymy walkę?

Toczymy ją o sprawę wolności, niepodległości i całości naszej Ojczyzny. Toczymy ją zarazem o ideały i cele żywotne dla całego świata. *Walka zarówno polityczna, jak i duchowa, toczy się dziś nietylko o własne interesy poszczególnych państw i narodów, ale i o cel wspólny — o fundamenty życia zbiorowego.*

Poprzez wszystkie kontynenty przechodzi dziś linia dzieląca ludzkość na dwa zmagające się ze sobą obozy. Po tej stronie frontu, po której stoi Naród Polski, panuje wola obrony następujących zasad.

Po pierwsze: bronimy człowieczeństwa. Odwieczną prawdą chrześcijaństwa, jak i nowożytnego humanizmu jest, że człowiek i dusza ludzka są wartością o wysokiej cenie. Nikt nie ma prawa poniżać godności człowieka, poniewierać jego dóbr moralnych, dręczyć i mordować, pozbawiać wolności, krępować swobody ducha, myśli, wierzeń i umiłowań, ani też niszczyć życia rodzinnego.

Po wtóre: bronimy praw narodu do własnego życia, do zachowania i rozwoju swojej kultury, praw politycznych i wolności. Narody silne nie mają prawa do ujarzmienia narodów słabszych, do deptania ich wolności, niszczenia ich odrębnych form życia i duchowego dorobku w imię swego rzekomego „bezpieczeństwa" czy też dążeń do „przestrzeni życiowej".

Po trzecie: bronimy cywilizacji europejskiej i zasad, których przez wieki była wyrazem. Europa ze swą spuścizną tysięcy lat kultury i wspólnoty cywilizacyjnej chce zachować swe oblicze i możność dalszego rozwoju. Odeprzeć musimy próby niszczenia jej dorobku i narzucania jej z zewnątrz bezdusznych szablonów.

Po czwarte: bronimy zasad powszechnego porządku, bez których życie ludzkie i współżycie narodów upada i niszczeje. Przede wszystkim przywrócone być musi poszanowanie takich zasad, jak prawo azylu, dotrzymywanie zawartych umów, ochrona jeńców wojennych. Ponadto porządek międzynarodowy zbudowany być musi na mocniejszych i głębszych niż dotąd zasadach, jeżeli ma prowadzić do pokojowego i sprawiedliwego współżycia narodów.

Stosunek do powyższych czterech zasad dzieli świat na dwa zmagające się ze sobą obozy. Zasady te są ideałem, który przyświeca Narodowi Polskiemu. Kto tych zasad nie uznaje, ten jest po drugiej stronie barykady.

Totalizm komunistyczny, który wszystkie te zasady depcze, grozi nie tylko Polsce, lecz całemu światu. Zwycięstwo komunizmu zamieniłoby cały świat w jedno wielkie więzienie.

Do walki z tym dążeniem do światowej dyktatury stanie prędzej czy później świat cywilizowany. Walkę tę o ideały wolności i cywilizacji toczy Naród Polski. Obok ideałów powszechnych oraz obok własnych narodowych celów, przyświeca nam niezależność i wolność Europy jako całości, a zwłaszcza rodziny narodów środkowo-europejskich zagrożonych tyranią bądź niemiecką, bądź rosyjską.

Życie Narodu Polskiego w obecnym trudnym okresie musi niestety płynąć dwoma odrębnymi nurtami: w Kraju i na przymusowym wychodźctwie.

Zadaniem Kraju jest: zachowanie żywych sił Narodu oraz jego tradycyj i kultury; uchronienie najmłodszego pokolenia przed rozkładowym wpływem totalizmu wschodniego; zachowanie możliwie nieuszczuplonych zasobów gospodarczych Narodu.

Kraj winien się powstrzymać od takich poczynań, które, nie przyczyniając się do poprawy położenia Narodu, mogą ściągnąć nań wyniszczające represje.

Jednym z najcenniejszych a najbardziej uszczuplonych dóbr naszego Narodu jest nasza siła liczebna.

Zasadą naszej racji stanu musi być oszczędzanie krwi.

W nadchodzącym okresie, najcięższym w naszych dziejach, nerwy i wola Kraju wystawione są na najwyższą próbę. Nie ulec prowokacjom skądkolwiek by one szły i nie dać się unieść nieobliczalnym odruchom — to nakaz chwili.

Na Polaków na obczyźnie spada dziś obowiązek prowadzenia niezależnej polityki Polski.

Wychodźctwo przymusowe nie jest odciętą gałęzią Narodu, utrzymuje z Krajem żywą więź duchową, czerpie z niego swe siły moralne, jest wykonawcą woli Narodu jako całości.

Zadaniem wychodźctwa polskiego jest:

1) uświadamiać świat, że niepodległość Polski jest kamieniem węgielnym trwałego, powszechnego pokoju;

2) szerzyć uświadomienie, że totalizm komunistyczny dąży do opanowania Europy i całego świata.

3) przestrzegać przed złudą „dobrych Niemiec" i dążeniami ich do rewanżu;

4) nieść pomoc społeczeństwu w Kraju;

5) mnożyć i rozwijać polski dorobek kulturalny i cywilizacyjny;

6) wespół z Krajem stanowić podstawę dla legalnych władz Państwa Polskiego.

Rodacy!

Chwila obecna wymaga od nas zespolenia wszystkich sił.

Solidarność polska i jednolite *kierownictwo* polityczne dają rękojmię naszego zwycięstwa.

TRZY PYTANIA

Jak wiadomo już z prasy codziennej — po wymownie długiej 12-dniowej zwłoce władze warszawskie ogłosiły swe „zwycięstwo" w głosowaniu, które przeprowadzono 30 czerwca r.b., podając, że w jego wyniku większość społeczeństwa odpowiedziała twierdząco na wszystkie trzy pytania „referendum" — opowiadając się w 68% za zniesieniem senatu — w 77,1% za utrwaleniem przeprowadzonej reformy rolnej i przemysłowej, — oraz w 91,4% za utrwaleniem zachodnich granic Polski na Odrze i Nisie.

Wynik ten odrzucamy jako bezprzykładne fałszerstwo woli społeczeństwa polskiego — i celem niniejszego artykułu będzie właśnie omówienie dowodów tego fałszerstwa i, co jeszcze ważniejsze, wykazanie, w czym mianowicie fałszerstwo to się wyraziło. Dopóki się bowiem nie wykaże, na czito się fałszerstwo?" czym ono polega, — dopóty wszelkie zarzuty fałszerstwa i terroru uderzają w próżnię.

P. Mikołajczyk nazwał to „referendum" największym skandalem w historii polityki polskiej. Relacje obcych obserwatorów zgodnie stwierdzają liczne oszustwa i nadużycia. Sceptyk mógłby jednakże powiedzieć: „Nie było jeszcze wyborów bez większych lub mniejszych nadużyć. Oczywiście tym razem nadużycia te musiały być duże. Ale czy i w jakim stopniu wpłynęły one na ostateczny wynik? Przecież nie głosowano nad przyłączeniem Polski jako 17. republiki do ZSRR, ani nad uznaniem „linii Curzona", ani nawet nad zaufaniem dla rządu p. Bieruta. Odpowiadano przecież tylko na bardzo ogólne pytania o ustrój, reformy i granicę zachodnią — na pytania zgodne ogólnie biorąc z życzeniami społeczeństwa polskiego. W czymże tu wyraża się fałszerstwo?"

Faktem jest, że „referendum" odbywało się w obecności armii rosyjskiej, pod kontrolą NKWD, pod terrorem policji bezpieczeństwa, — jednak władze warszawskie dziś już się tego terroru nie wypierają, twierdzą tylko, że stoi za nimi 70% ogółu, co daje im „prawo i obowiązek" stosować wszelkie środki przymusu dla utrzymania w rękach pozostały 30%.

Otóż mamy dowody, że terror zastosowano właśnie wobec całego społeczeństwa i że wyniki „referendum" są zupełnym fałszerstwem jego woli. Terror ten i fałszerstwo wyraziło się i objawiło w pięciu następujących faktach — mianowicie w tym, że:

1) samo przeprowadzenie „referendum" było bezprawiem i gwałtem; było bezprawiem, bo ani dawna konstytucja polska z 1921 r., którą władze warszawskie rzekomo uznają, ani obowiązująca konstytucja z r. 1935 nie upoważniają żadnych władz polskich do przeprowadze-

nia referendum — w układzie jałtańskim nie ma też o nim wzmianki; było ono gwałtem, bo przeprowadzono je podczas trwania okupacji wojskowej, która wyłącza swobodę wypowiadania się;

2) wprawdzie „referendum" dawało teoretyczną możność głosowania „tak" lub „nie" na trzy pytania — to jednak władze warszawskie nie pozostawiły społeczeństwu swobody wyboru między „tak" i „nie" — i wszelkimi środkami terroru usiłowały zmusić wyborców do głosowania „tak" na wszystkie pytania;

3) blok komunistyczny nie dopuścił wyjątku nawet co do najmniej ważnego pytania o senat: w myśl zalecenia Rady Naczelnej P. S. L. odpowiedź „nie" na to pytanie miała być rodzajem „nieszkodliwej próby sił" między blokiem komunistycznym a ogółem społeczeństwa; chociaż zgodnie z tym zaleceniem za utrzymaniem senatu głosowało z górą 33% ogółu wyborców — jak to 10 lipca stwierdził p. Mikołajczyk na podstawie swych relacji — władze warszawskie nawet w tym najbłahszym punkcie nie chciały uznać woli już nie większości ale całego niemal społeczeństwa i ogłosiły oczywisty fałsz, że tylko 32% głosowało za senatem; fałsz ten już sam przez się jest oczywistą zapowiedzią, że przyszłe wybory będą również w całości sfałszowane i już dziś stanowi to dowód bankructwa idei p. Mikołajczyka, by przez wybory odzyskać niepodległość.

Najpełniej jednak i w sposób najbardziej widoczny fałszerstwo „referendum" wyraziło się w tym, że:

4) wbrew istocie samego referendum i wbrew wszelkim pozorom — głosowanie z 30 czerwca w żadnym z trzech pytań swoich nie dało społeczeństwu żadnej w gruncie rzeczy istotnej możności wyboru ani rozstrzygania w sprawach pytaniami tymi objętych;

5) odwrotnie — przy pomocy tych pytań „referendum" chciało narzucić społeczeństwu uznanie programu sprzecznego z programem wypracowanym przez naród polski.

Aby się o tym przekonać powtórzmy naprzód tekst pytań:

1. „Czy jesteś za zniesieniem senatu?"

2. „Czy ustrój gospodarczy, zapoczątkowany reformą rolną i przejęciem na własność państwa podstawowych gałęzi gospodarstwa krajowego — przy zachowaniu ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej — powinien być utrwalony w przyszłej konstytucji?".

3. „Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic państwa polskiego na Odrze i Nissie?".

Celem „referendum" było wymuszenie na społeczeństwie odpowiedzi „tak" na te właśnie a nie inne pytania. — Oświadczenie p. Osóbki, że odpowiedź taka będzie wyrazem zaufania dla „rządu" wzmacniało tylko tym bardziej znaczenie samych pytań. Jeżeli więc w czym mogło się wyrazić fałszerstwo „referendum" to właśnie w treści tych pytań i w wymuszeniu zgody na nie.

Wykażmy naprzód, że te trzy pytania w gruncie rzeczy nie dały społeczeństwu żadnej możności istotnego wyboru w sprawach pytaniami objętych, co stanowiło właśnie podstawę wymuszenia.

Ustalenie woli większości w drodze bezpośredniego i powszechnego głosowania wszystkich obywateli w kwestiach tak z natury rzeczy złożonych, jak wszelkie kwestie dotyczące ogółu narodu, jest zawsze zadaniem bardzo trudnym. Totet nawet przy najszczerszych zamiarach ustalenia prawdziwej woli ogółu nie dość zapewnić mu swobodę wypowiadania się oraz wykonanie jego woli — lecz naprzód trzeba dać społeczeństwu możność wyboru między określonymi propozycjami, planami czy projektami. Ze powyższe pytania wyboru takiego nie dają — przekonamy się o tym najłatwiej, porównując to głosowanie z ostatnim referendum we Włoszech z 2 czerwca rb. oraz z dwukrotnym referendum we Francji z 21 października 1945 i 5 maja 1946.

Referendum włoskie polegało na wyborze między „monarchią" a „republiką", było więc właśnie — jak z tego już widać — rzeczywistym wyborem między dwiema równie określonymi możliwościami ustroju państwowego. Wykonanie decyzji większości było zapewnione w obu przypadkach, było także wiadome, co po każdym z nich nastąpi.

Podobnie we Francji: kiedy pierwsze referendum miało zadecydować o utrzymaniu lub odrzuceniu dotychczasowej konstytucji francuskiej z r. 1875 — ustalono zawczasu, że w razie odrzucenia starej konstytucji zbierze się konstytuanta, a opracowany przez nią projekt będzie poddany pod głosowanie ludowe. Nadto ogół miał zarazem rozstrzygnąć i o tym, czy w okresie prac nad konstytucją konstytuanta ma posiadać pełnię władzy państwowej — czy też ma ona tylko ułożyć projekt konstytucji a przez ten czas rozstrzygać tylko o najważniejszych sprawach polityki bieżącej — pozostawiając rządy — rządowi. W drugim referendum ogół miał zatwierdzić lub odrzucić gotowy już projekt konstytucji — było jednak z góry zapowiedziane, że w razie odrzucenia go wybrana będzie nowa konstytuanta, a nowy projekt będzie znowu poddany pod głosowanie ludowe. Tak więc i jedno i drugie referendum we Francji było rzeczywistym wyborem między określonymi możliwościami ze znajomością dalszego biegu rzeczy.

Porównując sposób przeprowadzania referendum we Włoszech, Francji i w Polsce, już z samej treści postawionych społeczeństwu polskiemu pytań przekonujemy się, że nie dały mu one żadnej możności wyboru.

Każde z pytań było propozycją — nie pytaniem. W każdej z trzech spraw wysunięto tylko jedną propozycję. Tylko odpowiedź „tak" na wszystkie pytania miała określone znaczenie. Znaczyła mianowicie utrzymanie i dalsze rozwijanie systemu dotychczasowego oraz odrzucenie wszelkich innych możliwości. W istocie pytania nie dały żadnych innych propozycji, które by mogły współzawodniczyć z propozycjami „rządowymi". Kto nie chciał ich potwierdzić, stawał wobec zupełnej nicości bez żadnych alternatyw. Ani w treści pytań ani w dekrecie nie było powiedziane, co by się stało w razie odrzucenia propozycji „rządowych". To milczenie było bardzo wymowne. Mówiło ono, że negatywna wypowiedź większości na wszystkie trzy pytania oznaczać będzie po prostu wojnę przeciwko całemu już społeczeństwu, przeciwko wszystkim. oto jaka była alternatywa pytań: „Poddajcie się — inaczej wojna".

I w tym właśnie leży najistotniejsze fałszerstwo „referendum", że celem jego nie był wybór lecz wymuszenie na społeczeństwie polskim uznania „rządowego" programu sowietyzacji Polski — wbrew polskiemu programowi reform, wypracowanemu przez Radę Jedności Narodowej w jej uchwałach z 16 marca i 15 sierpnia 1944 r.

Jeżeli wczytamy się uważnie w tekst pytań, znajdziemy w nich program, który da się ująć w następujących punktach: 1) zniesienie senatu jako ostatniej zapory przed ustanowieniem na stałe dyktatury komunistycznej; 2) upaństwowienie ciężkiego i średniego przemysłu, które umożliwia dysponowanie nim na korzyść Rosji; 3) reformę rolną, która pomnożyła tylko liczbę gospodarstw małorolnych tworząc działki 2 — 5 hektarowe, by w ten sposób przygotować kolektywizację; 4) zapowiedź „uchwalenia" nowej konstytucji; 5) zapowiedź dalszej przebudowy ustroju gospodarczego (w 2. pytaniu reformy już wprowadzone nazwano tylko „zapoczątkowaniem" przebudowy); 6) pośrednie uznanie „linij Curzona", bo ziemie zachodnie dała Polsce Rosja jako odszkodowanie za Polskę wschodnią.

Otóż program ten we wszystkich punktach odbiega zasadniczo od programu Rady Jedności Narodowej. Między programami tymi leży przepaść przeciwieństw.

Po pierwsze: w uchwałach swoich Rada Jedności Nrodowej na czoło polskiego programu wysunęła „wolność, całość, suwerenność, siłę i bezpieczeństwo" państwa polskiego — na drugim dopiero po nich miejscu stawiając reformy. Po wtóre: celem tych reform zarówno w przemyśle jak w rolnictwie miało być „upowszechnienie własności tj. rozszerzenie jej na możliwie największą liczbę jednostek." W myśl tego przemysł nie miał być upaństwiony lecz uspołeczniony. Państwo zaś miało objąć tylko „funkcje kierownicze i kontrolne w gospodarce" dla realizacji planu gospodarczego oraz miało popierać rozwój przemysłu średniego i małego a także spółdzielczości. Celem reformy rolnej miało być również „upowszechnienie własności rolnej oraz upełnorolnienie gospodarstw karłowatych" przez tworzenie „jednorodzinnych gospodarstw chłopskich o wielkości od 8 do 15 ha". Pracownik przez związki zawodowe i samorząd miał „uczestniczyć w planowaniu społecznym i gospodarczym, w nadzorze i kontroli życia gospodarczego, w kontroli nad podziałem dochodu społecznego". Prawo miało dać człowiekowi pracy „należną mu godność" i „wyzwolić go z jarzma najemnictwa".

Rada Jedności Narodowej domagała się też rozszerzenia granic zachodnich Polski, zastrzegając równocześnie, że „na wschodzie utrzymana być musi granica polska ustalona w Traktacie Ryskim". Wreszcie Rada Jedności Narodowej w żadnej ze swych uchwał nie wyraziła zapowiedzi zniesienia senatu.

Aby ułatwić sobie w „referendum" przeforsowanie swego programu a pogrzebanie programu polskiego, pominięto go po prostu milczeniem. I właśnie to pominięcie i pogrzebanie programu Rady Jedności Narodowej oraz narzucenie programu, który ma położyć podwaliny pod dalszą sowietyzację Polski — oto istota fałszerstwa „referendum", oto w czym fałszerstwo to najpełniej się wyraża.

Ze społeczeństwo polskie zdawało sobie z tego sprawę — świadczą o tym uchwały Rady Naczelnej P.S.L. z 26 i 27 maja br.

PRZEZ WIATR POD WIATR

Nieba nadmiar gdy w środku widnokręgu
rękami tylko łowić wiatr.
Ziemi mało gdy w ziemsk m okręgu
tylko zostawiać ślad.

Ślad na piasku pisany przeminie
a ziemia trwa.
Wiatr przez dłonie przewieje, przepłynie,
choć w palcach jak w strunach gra.

Tr a ziemia tamta nad Wisłą i Niemnem:
nuta na dzwon.
Dzwonu nutą przez cieb'e, przeze mnie
rozkwita dom.

To stamtąd rośnie niebo od oczu po kraniec
gdzie w czas wstępuje Bóg.
To stamtąd rośnie ziemia pod stopą
w twardy szaniec
od proga po próg.

Oczy na północ obrócić, w tamtych zanurzyć gwiazdach
tak tylko: iść przez świat.
Że środka widnokręgu jak bociany do gniazda,
przez wiatr — pod wiatr.

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

W uchwałach tych Rada wypowiedziała się za tym, by prócz sejmu a „zamiast senatu" stworzona została jako nadbudowa samorządu gospodarczego „Naczelna Izba Gospodarcza" z prawem inicjatywy ustawodawczej (analogia do projektu gen. de-Gaulle z jego mowy w Bayeux). W sprawie reformy przemysłowej Rada stwierdziła, że „chcemy raczej uspołecznienia nadających się do tego gałęzi przemysłu drogą spółdzielczości zamiast generalnego jak dotąd upaństwowienia".

W sprawie reformy rolnej Rada stwierdziła, że „chcemy nie tylko podziału ziemi, ale także dokończenia przebudowy ustroju rolnego przez dalszą parcelację, zcalenie, zabudowę, zagospodarowanie osad, uspółdzielczenie zbytu i przetwórstwa oraz pełny samorząd gospodarczy". Uchwała domaga się nadto, by „uporządkować na obszarze całego Kraju stosunki na odcinku rolniczym, a w szczególności wydać akty nadania tym, którzy ziemię otrzymali z parcelacji oraz... przyśpieszyć wydanie i wprowadzenie w życie ustawy o prawie własności na ziemiach odzyskanych".

Z uchwał tych wynnika, że P.S.L. jest przeciwne programowi „rządowemu", a obstaje nadal przy programie Rady Jedności Narodowej — że jednak nie odważyło się ono programowi „rządowemu" sprzeciwić. Oto jeszcze jeden dowód wymuszenia, jakim w istocie było „referendum".

Sfałszowanie go jest oczywiście łatwym do wykazania dowodem ostatecznego bankructwa polityki p. Mikołajczyka — jego nadziei na przeprowadzenie w Polsce wolnych wyborów i na odebranie tą drogą władzy grupie komunistycznej. Jednak znaczenie tego fałszerstwa w tym się nie wyczerpuje.

Aby objąć pełne jego znaczenie, trzeba powiedzieć, że było ono dalszą próbą przeciągnięcia na stronę Moskwy i komuny wszystkich nieświadomych rzeczy zwolenników reform, — próbą wbicia klina pomiędzy zwolenników reform i obrońców niepodległości zwaśnienia ich i sprowokowania przez to wojny domowej — gdy największą polską racją stanu jest oczywiście jak najściślejsze zespolenie idei niepodległości z polskim programem reform; — było ono wreszcie próbą okłamania Zachodu, że społeczeństwo dlatego opowiedziało się za „rządem" p. Bieruta, iż on to właśnie dał Krajowi „upragnione reformy".

We wszystkich tych wysiłkach głównym środkiem działania jest próba pogrzebania polskiego programu reform. Kto tego nie widzi — nie widzi istoty gry. I dlatego uważaliśmy za konieczne w takiej chwili ten właśnie polski program reform przypomnieć. Polityka p. Mikołajczyka może się skończyć lada dzień. Ale walka o niepodległość trwać będzie dalej. A w walce tej jest ważne, by każdy, kto walczy o Polskę wiedział, że walczy zarazem o prawdziwą sprawiedliwość społeczną — i aby wiedział także, jak ją Polacy rozumieją.

JANOSTA

GŁÓD — SIŁA POLITYCZNĄ ROSJI

Nowy sekretarz generalny UNRRA La Guardia, rozpoczął swoje urzędowanie w kwietniu br. w Waszyngtonie od radiowego alarmu: „Zboże w kwietniu lub... trumny w czerwcu"! W maju br. sędziwy Hoover, po przebyciu 5500 km w podróży przez 22 kraje dotknięte klęską głodu — składa jedno z najtragiczniejszych sprawozdań, jakie zna ludzkość: raport o bezgranicznej nędzy i ponurym głodzie, idącym na podbój świata. W tym korowodzie klęski Hoover beznamiętnie sięga dna rozpaczy, na którym znajduje się Polska, przodująca dziś w głodzie całemu światu i pozostawiająca daleko poza sobą Chiny, Jugosławię, Grecję czy Niemcy.

Czad militarnego zwycięstwa nad Hitlerem trwał krótko. W tryumfalnych bramach zamajaczyły — obok szybko przemijającego radosnego upojenia — dwa widma: oddalające się widmo nieosiągalnego pokoju i zbliżająca się zgroza chichocącego zjadliwie głodu.

Uderzono na alarm.

Na przednówku zabraknie światu 10 milionów ton ryżu i około 18 milionów ton zboża: Eksport żywności ze Stanów Zjednoczonych powinien utrzymać się na poziomie 700 tysięcy ton miesięcznie, a tymczasem w marcu br. osiągnął on zaledwie 374 tysięcy ton. Okazało się, że z dostawami bomb i amunicji na potrzeby molocha wojny szło łatwiej. Na transport chleba dla ludzi konających z głodu zabrakło sił, zdolności organizacyjnych i okrętów!

Ogólne rozprężenie powojenne, pośpieszne tempo demobilizacji, dezorganizacja transportu oraz chaotyczne przestawianie życia na stopę pokojową — przyczyniły się do pogłębienia kryzysu ogólno-światowego. Wojna nie sprzyja wytwarzaniu zapasów żywnościowych oraz wydajności gospodarki. Nic więc dziwnego, że zwycięstwo, mimo najgorętszych zapewnień i dobrej woli niektórych przynajmniej partnerów, zastało świat nieprzygotowany na odparcie klęski głodowej, tym bardziej, że — zamknięte sukcesem militarnym — zwycięstwo nie przyniosło z sobą prawdziwego pokoju przyrzekanego ludzkości.

Klasycznym przykładem tego stanu rzeczy jest Europa, w której polityczne sprzeczności powojenne uniemożliwiają konsolidację pozytywnych sił nawet na froncie walki z głodem. Rosja bowiem, zamykając nieprzeniknioną żelazną kurtyną Europę środkowo-wschodnią, nie bierze w ogóle udziału w mitnią, nie bierze w ogóle udziału w międzynarodowych usiłowaniach zapobiedzenia klęsce głodowej, choć właśnie i przede wszystkim jej tzw. sfera wpływów obejmuje najtragiczniejsze centra panowania nędzy i głodu.

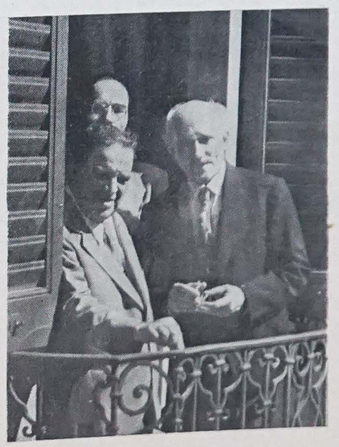

Naczelny dyrektor UNRRA La Guardia z przyjacielem swoim, znakomitym kapelmistrzem Toscaninim

Rosja nie była obecna na międzynarodowej konferencji zbożowej, zwołanej w kwietniu br. do Londynu. Oczywiście nie była tam również reprezentowana Jugosławia, Rumunia anj Węgry. Wśród przedstawicielj 17 państw, rejon rosyjskiej strefy wpływów reprezentowała jedynie warszawska delegacja Polski. Nie można było nie przyjąć zaproszenia do Londynu — zauważa ironicznie prasa szwajcarska — nazajutrz po oświadczeniu Hoovera, który stwierdził publicznie, że właśnie w Polsce, w kraju wybitnie rolniczym, rozpętało się najpotworniejsze piekło głodu.

Rosja odmówiła również udziału w konferencji żywościowej, obradującej z inicjatywy Hoovera w Waszyngtonie w maju br. nad związaniem wysiłków wszystkich narodów z UNO w walce z głodem. Imperium głodu, trapiące 500 milionów ludzi, to dla Rosji — według stwierdzenia prasy szwedzkiej, — obszar neutralny: sowietyzacja tego imperium następuje sama przez się — przez samą niejako nieobecność Moskwy. Po prostu głód uznany został przez Kreml za prywatną sprawę świata kapitalistycznego i jego wyłączne zmartwienie.

Nic, rzecz prosta, nie pomogły dwukrotne apele prezydenta Trumana skierowane osobiście w maju br. do Stalina. Stalin odpowiedział odmownie. Stwierdził, żę wysiłki amerykańskie, zmierzające do zmobilizowania środków dla walki z głodem, są... spóźnione. Gdyby kilka miesięcy wcześniej, to i owszem — zapewnia Stalin — Rosja chętnie przyszłaby z pomocą. Okazało się jednak, że i „kilka miesięcy wcześniej" pomóc nie chciała. Choć rząd Stanów Zjednoczonych i UNRRA zwracały się do Rosji kilkakrotnie z prośbą o współdziałanie w walce z głodem — i to dobrych „kilka miesięcy wcześniej", bo na początku br. — Rosja nie uważała za potrzebne udzielić nawet odpowiedzi!

Kreml usprawiedliwiał się w odmowie Stalina pomocą już udzieloną krajom głodującym m. in. 300 tysiącami ton zboża ofiarowanego Rumunii. Trzeba sobie uprzytomnić, że Rumunia eksportowała w latach przedwojennych 2 miliony ton zboża rocznie; mimo wojny powinna ona — zdaniem ekspertów gospodarczych UNO — być co najmniej samowystarczalna. Trzeba dopiero — „planowej" gospodarki refomatorów sowieckich, ażeby niedawny jej dwumilionowy eksport zastąpić importem rosyjskim, na poratowanie kraju przez jego „oswobodzicieli".

Na zakończenie Stalin uskarżał się w odpowiedzi Trumanowi na posuchę na Ukrainie. Jednocześnie zaś zapowiadał w Moskwie zniesienie systemu kartkowego w Rosji, oraz obiecywał robotnikowi rosyjskiemu wyżywienie przewyższające racje robotnika brytyjskiego, skromniejsze obecnie aniżeli w czasie wojny.

Według obliczeń ekonomistów, biorących udział w konferencji żywnościowej UNO, takie państwa, jak Rumunia, Węgry, Jugosławia czy Bułgaria, znajdu-

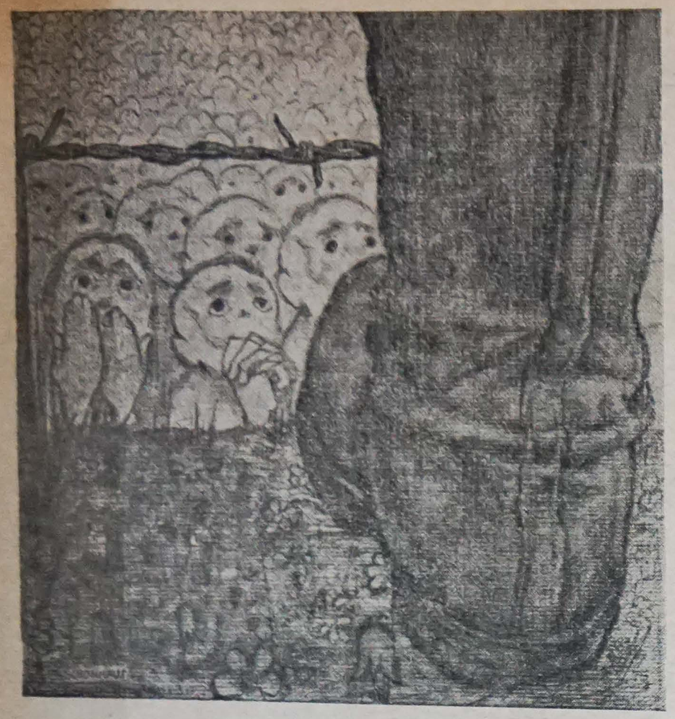

Widmo głodu nad światem (plakat szwajcarski)

jące się w zasięgu wpływów rosyjskich, mogłyby zapewnić swoim obywatelom wyżywienie równe 2800 kaloriom na osobę dziennie. Tymczasem państwa, te „prowadzą" na liście najbiedniejszych klientów UNRRA. Jugosławia np. alarmuje świat o jak najwydatniejszą pomoc, ale zamiast walki z głodem wprowadza powszechny obowiązek służby wojskowej, uważając prawdobodobnie — wzorem „faszystowskich pachołków" Hitlera — armaty za rzecz ważniejszą od chleba. Prasa rosyjska atakuje ciągle Hoovera, jako faszystę czy podżegacza i — jednocześnie—uskarża się na UNRRA z powodu opóźniających się transportów traktorów. Ukraina i Białoruś sowiecka otrzymały dotychczas od UNRRA pomoc w wysokości przeszło 200 milionów dolarów w wyżywieniu i traktorach, choć — jak się okazało ostatnio — pomoc w traktorach trzeba było nagle wstrzymać:, Rosja bowiem odsprzedawała traktory... Argentynie!

Sabotaż wysiłków, mających na celu ratowanie Europy przed głodem, a więc dosłownie bojkot głodu stosowany przez Rosję — uniemożliwia mobilizację wszystkich zasobów koniecznych do tej walki i ich racjonalny rozdział. Obliczenia przeprowadzone przez ekonomistów szwajcarskich, stwierdzają, że w obecnej sytuacji roczne zapatrzebowanie Europy na żyto i pszenicę, konieczne dla przetrwania kryzysu okresu przejściowego, sięga 45 milionów ton, przekraczając o 30 milionów ton normalne zapotrzebowanie przedwojenne. Gdyby nawet ten deficyt został pokryty, to jak tymi darami gospodarować w Europie, nie stanowiącej — nawet w obliczu klęski grodowej — jednego, niepodzielnego obszaru gospodarczego?

Trudno o sformułowanie paradoksu w sytuacji, w której spośród 1000 dzieci — 200 umiera z głodu przed osiągnięciem pierwszego roku życia. Ale groteskowość jej jest niewątpliwa. Oto bowiem miliony rosyjskich wojsk okupacyjnych żywią się na koszt krajów, które z kolei są—dosłownie—na utrzymaniu UNRRA, czyli państwa sprzymierzone, a w pierwszym rzędzie U.S.A., Kanada, Australia i ostatnio Argentyna, które w 90% pokrywają ofiarnie zapotrzebowanie w zakresie pomocy rozprowadzonej przez UNRRA — udzielając tej pomocy... subwencjonują okupację sowiecką! Ratując Europę przed głodem, pogrążają ją w tym większą niewolę i skazują ją na tym bezwzględniejsze zamknięcie w obręczy żelaznego ucisku imperializmu, z którym Europa nieubłaganie walczy.

W mrokach ponurej rzeczywistości, rozpostartych nad głodną Europą, coraz trudniej o prawdę, za którą ludzie po tamtej stronie żelaznej kurtyny płacą normalnie życiem. Tym bardziej po tej, naszej stronie, w warunkach względnej swobody trzeba głośno nazywać zjawiska po imieniu i jak najgłośniej formułować jasne wnioski. Jednym z nich będzie stwierdzenie, że względy militarystyczno-strategiczne powodują wzmagające się nasilenie ponurego zjawiska głodu w Europie. Głodne narody nie są w stanie znosić ciężarów okupacji ani żywić obcych im imperializmów, żerujących na ich ciele! Europa potrzebuje chleba, aby żyć — nie potrzebuje natomiast armat, ażeby się mordować w imię cudzych interesów i obcych nienawistnych jej ideologii. Europę trzeba pozostawić samej sobie, dając jej tylko to, czego najbardziej obecnie potrzeruje: wolności i chleba.

Widma klęski głodowej nie usunie się przed oczu Europy dopóty, dopóki nie stanie się ona jednym, niepodzielnym a samodzielnym obszarem gospodarczym, a więc dopóki utrzymany będzie sztuczny podział jej na dwie części, z których część rosyjska pozostaje zamknięta dla normalnego życia gospodarczego i poddana prymitywnym, rujnującym ją eksperymentom o charakterze politycznym. Rosyjskiej Europie, bo o takiej można mówić dzisiaj w odniesieniu do Europy środkowo-wschodniej — grozi całkowite oderwanie, zarówno gospodarcze jak i polityczne od Europy zachodniej oraz wtłoczenie jej — Europy od Królewca po Triest — w orbitę gospodarki i państwowości rosyjskiej. Stąd kremlowskie désintéressement, a więc poparcie dla głodu w świecie w ogóle, a w Europie rosyjskiej w szczególności. Rosja nie jest w stanie pomóc światu w walce z głodem, bo sama — mimo deklamacji jej wodzów — jest głodna. Ale Rosja może przeszkadzać i przeszkadza światu w nakarmieniu głodnych, bo człowiek syty nie będzie niewolnym; niewolników najłatwiej jest werbować wśród ludzi głodnych. Symbol sytego krasnoarmiejca w głodnym Bukareszcie, to nie tylko symbol siły dla wątpiących i słabych, ale też przynęta i pokusa, dla uległych i głodnych: — „Przyjdźcie, posłuszni i ulegli, a nakarmię was!"

Dla człowieka cywilizacji europejskiej kromka chleba, to kwestia strawy codziennej — dla azjatyckiego materializmu rosyjskiego, to siła polityczna. Dlatego Rosja, korzystająca z pomocy UNRRA, przeznaczonej rzekomo dla Białorusi i Ukrainy — sprzedaje traktory tejże UNRRA Argentynie, i na swój polityczny rachunek, unikając współpracy międzynarodowej, udziela „prywatnie" pomocy Francji i Rumunii, czy też przyrzeka ją Polsce. Dlatego też wraz z chlebem — daje armaty: Żymierski długo kłaniał się w pas Stalinowi zanim wyżebrał przyrzeczenie zboża dla Polski, choć natychmiast otrzymał armaty dla wojska, które mobilizowane jest nie tylko pod obcym dowództwem, ale i dla obcej sprawy.

— Weźcie tę kromkę mego chleba, ale za to strzelać będziecie do moich nieprzyjaciół, choćby okazali się waszymi braćmi! —

W znużone oczy Europy zagląda totalne widmo głodu. Trzeba ratować tych, którym grozi śmierć głodowa, ażeby w godzinie agonii nie przeklinali niedawnego zwycięstwa, które ludzkość okupiła hekatombami ofiar. Ale nie można dopuścić do tego, ażeby chleb przeznaczony dla głodnych tuczył nowego okupanta Europy, choćby ta okupacja obejmowała — narazie — tylko Europę po tamtej strony Odry. Trzeba, ażeby wraz z chlebem przyszło na Europę błogosławieństwo wolności. Tylko wtedy ręce, podnoszące do ust okruszyny tego chleba, błogosławić będą światu, który ratował przed śmiercią głodową dla życia — na i dla wolności.

Inaczej...

Dobrze jest pamiętać, że przekleństwo ludzi, uratowanych przed śmiercią głodową dla niewoli, potężniejsze jest od siły wybuchowej niejednej bomby atomowej: sięga bowiem nieba i porusza piekło.

M. MIŻ

POSZUKIWANIA

Kołdoń Eugeniusz ur. 11.12.1919 w Aleksandrowie, syn Antoniego i Józefy, 135 Ośrodek Wojskowy Hildesheim by Hannover, Gliwitz — Konary, Germany, poszukuje Opęchowskiej Marii ur. 27. XI. 1925 w Warszawie, córki Antoniego i Stanisławy, wywiezionej we wrześniu 1944 z Warszawy do Insbrucku w Austrii, gdzie do 5.5.1945 pracowała w „Reichsbalm Betriebwerk".

Proszę siostrę moją och. Irenę Łozińską, Pol. Forces CMF 58, a nawiązanie ze mną korespondencji. Wysłałem kilka listów i nie mam odpowiedzi.

Adres mój: ppor. Józef Łoziński („Dubielecki") Camp. Doessel - Pechelsheim, zgr. Willebadessen, C/O. — 03 Mil. Gow. Det. B. A. O. R.

NARASTANIE KŁAMSTWA I PRAWDY

(Przegląd wydarzeń)

Satelici...

Właśnie odbywa się w Paryżu konferencja pokojowa z udziałem przedstawicieli 21 państw. Są to dopiero pierwsze dni i w tej chwili wiadomo tylko, że nastąpi prawdopodobnie zgoda w ważnej *sprawie proceduralnej* — uchwały mianowicie mają zapadać większością dwóch trzecich głosów. Wiadomo również, że Jugosławianie odrzucili kompromis w sprawie Triestu.

Konferencja ma na celu ustalenie tekstów traktatów pokojowych z byłymi satelitami Niemiec, to jest z *Włochami, Bułgarią, Rumunią, Węgrami i Finlandią*. Wśród państw, zaproszonych na konferencję, jest też pewna ilość „satelitów" — taka bowiem nazwa utarła się już w prasie międzynarodowej dla tak „niezależnych" rządów, jak obecnie sprawujące władzę w Polsce, Czechosłowacji, Jugosławii, nie mówiąc już o reprezentowanych na konferencji najzupełniej, jak wiadomo, „suwerennych republik" Ukrainy i Białorusi. Wszędzie ci satelici...

Projekty traktatów pokojowych, których zasady ustaliła poprzednio konferencja czterech ministrów spraw zagranicznych, uzupełniali później ich zastępcy. Warunki, jakie mają być postawione Włochom, zawiodły ich nadzieje na łagodniejszy pokój jako nagrodę za zmianę frontu w końcowej fazie wojny: Brega i Tenda oddane Francuzom, utrata umiędzynarodowionego już Triestu, kolonii i floty. O Niemczech i Austrii nie będzie na tej konferencji mowy. Ponieważ wiadomo, że właśnie od sposobu załatwienia sprawy niemieckiej zależy wygląd Europy, więc niektórzy wypowiadają się sceptycznie o wartości i ważności toczących się obecnie obrad paryskich.

Taktyczne odwroty ZSRR

O konferencji czterech ministrów spraw zagranicznych, która poprzedziła konferencję pokojową, mówiono rozmaicie. Jedni twierdzili, że nie przyniosła żadnych pozytywnych wyników. Inni wykazywali, że wyniki są, że są przecież *kompromisy*, że Sowiety okazały się cierpliwe bo, zatrąbiwszy do odwrotu na obszarze Morza Śródziemnego, zgodziły się na kompromis w sprawie Triestu, zrezygnowały ze swych pretensyj do Trypolitanii, nie sprzeciwiają się już oddaniu Dodekanezu Grecji. Inni wreszcie uznają, że wprawdzie ustępstwa były, ale że za nie kazały sobie Sowiety zapłacić zgodą zachodnich sojuszników na utrwalenie rosyjskich wpływów w Europie wschodniej.

Dość powszechna jest opinia, że dyplomatyczny odwrót sowiecki jest jednym z serii tzw. *taktycznych odwrotów*, w których ustępuje się z tego, czego i tak nie można było dostać i, robiąc „dobre wrażenie", chowa się do kieszeni to, co się zdążyło przedtem zarobić. Tu „ustępstwa", a tam nagła mowa Mołotowa z żądaniem zjednoczenia Niemiec (czemu zawsze Rosja się sprzeciwiała w praktyce, choć mocarstwa zachodnie robiły wszystko, aby doprowadzić do uporządkowania spraw ekonomicznych we wszystkich strefach okupacyjnych). Tu „odwrót", a tam znowu strajki w kopalniach nafty w Iranie i w Iraku — właśnie w chwili, gdy Brytyjczycy próbują wspólnie z Amerykanami załatwić sprawę Palestyny, której znaczenie jako bazy wojskowej dla W. Brytanii wzrosło na skutek zamierzonego wycofania wojsk brytyjskich z Egiptu.

Hotel króla Dawida, wysadzony w powietrze przez członków terrorystycznej organizacji żydowskiej, pogrzebał pod gruzami — kilkudziesięciu zabitych i dużą ilość rannych, a może i projekt urządzenia Palestyny jako państwa „ani arabskiego, ani żydowskiego". Projekt

Gen. Draga Michajłowicz

ostatni — to podział na cztery strefy: arabską, żydowską i dwie brytyjskie ze wspólnym rządem federalnym. Tymczasem wstrzymano przyjazd stu tysięcy Żydów europejskich, których przyjęcia żądają Amerykanie. Brytyjczycy ze swej strony pragną, aby Stany Zjednoczone wzięły na siebie część odpowiedzialności za rozwiązanie sprawy żydowskiej w Palestynie, i w ten sposób wzmocniły pozycję Anglii wobec *Arabów i Związku Sowieckiego, który na tamtym obszarze przejawia coraz więcej zainteresowań.*

Sowiety i Niemcy

Gdy tak dyskutuje się nad sprawami przyszłej federacji palestyńskiej — *anglo-amerykańskie projekty, zmierzające do utworzenia federacji niemieckiej, natrafiły na ostry opór Sowietów.* Ostatnie wystąpienie Mołotowa zdaje się świadczyć o tym, że linia sowiecka w odniesieniu do sprawy Niemiec rysuje się tak: przez wysunięcie hasła jedności Niemiec zapewnić sobie sympatie narodu niemieckiego nie tylko w swojej strefie; przez żądanie udziału w zarządzie zagłębia Ruhry zapewnić sobie wpływ na przemysł Niemiec zachodnich; żądając jednocześnie od Niemiec bardzo wysokich odszkodowań, rozłożonych na długi szereg lat i atakując amerykański projekt kontroli Niemiec jako niedostateczny — *przedłużyć okupację Niemiec wschodnich, a zatem i krajów, położonych na wschód od Niemiec.* Niektórzy przewidują, że dla wzmocnienia przyjaźni rosyjsko-niemieckiej, zawiązanej w okresie paktu Mołotow-Ribbentrop, Sowiety chętnie zwróciłyby Niemcom część terytoriów, które miały przypaść Polsce. W Ameryce pisze się już *o nowym rozbiorze Polski, jako następstwie niemiecko-rosyjskiej przyjaźni.*

Wobec takich perspektyw i dość niewielkich nadziei na ich poprawę na następnej „niemieckiej" konferencji pokojowej, mocarstwa anglo-saskie zdecydowały się doprowadzić do skutku jakie takie scalenie spraw niemieckich przynajmniej na okupowanych przez nie obszarach. Przerwanie organicznego związku pomiędzy przemysłowym zachodem Niemiec, a bardziej rolniczymi prowincjami wschodnimi, zmusza Brytyjczyków do dożywiania ludności stref zachodnich, co kosztuje bardzo wiele. Do mającej powstać *zachodniej federacji niemieckiej zaprasza się Francuzów*, którzy dotychczas zajmowali stanowisko niezdecydowane, w nadziei na poparcie przez Rosję swych żądań zmierzających do odłączenia od Niemiec Nadrenii i Ruhry. Poparcie to zawiodło (co zresztą postawiło komunistów francuskich w dość trudnym położeniu), może więc Francja okaże się skłonniejsza do rozmów z Anglosasami. Niedawna wizyta Churchilla we Francji, gorące przyjęcie, jakie mu tam zgotowano, i jego mowa w Metzu, w której nawoływał Francuzów, aby byli „dobrymi europejczykami", jest dalszym etapem w organizowaniu „bloku zachodniego". Wszyscy są blokom przeciwni, lecz wszyscy bloki tworzą. Jest to następstwo utworzenia „bloku wschodniego", który od dawna

Włosi demonstrują w Trieście przeciw okupacji „zony B"

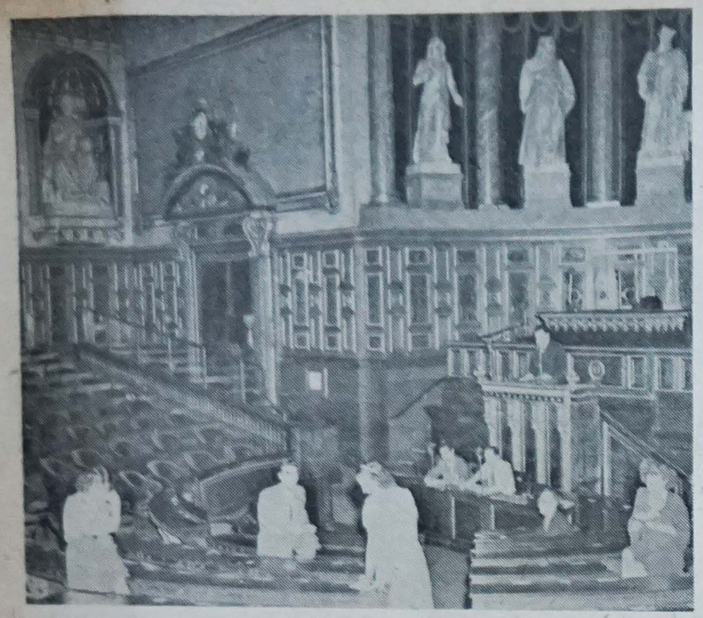

fot. Keystone Agency

Ścieranie kurzu w sali przyszłej konferencji pokojowej w pałacu Luksemburskim w Paryżu

jest już rzeczywistością. Warto przy tej okazji wspomnieć, że jeden z publicystów angielskich, popierając gorąco obecną działalność Churchilla, zauważył z przekąsem, iż p. *Churchill od niedawna dopiero jest „dobrym europejczykiem" i wypomniał mu Jałtę.*

Sąd nad pokonanym i opuszczonym

Prawie w tej samej chwili, gdy tracono w Poznaniu jednego z katów Polski — Greisera, w Belgradzie *padł od kul plutonu egzekucyjnego generał Draga Michajłowicz*, jeden z pierwszych przywódców zbrojnego oporu przeciw Niemcom w Europie.

Proces, wytoczony Michajłowiczowi, którego oskarżano o współpracę z Niemcami, określiła prasa angielska i amerykańska jako sąd nad pokonanym przeciwnikiem politycznym. Proces był wprawdzie jawny, ale tajne były okoliczności śledztwa. Mówi się o tym, że śledztwo to było masakrą. Kto zna metody NKWD, nie może wątpić, że tak w istocie było. Lotników amerykańskich, którym Michajłowicz uratował życie, i oficerów brytyjskich, z którymi współpracował w okresie walk z Niemcami, nie dopuszczono do zeznań.

O działalności gen. Michajłowicza wyda kiedyś sąd historia. W opinii *Zachodu podniosły się głosy protestu*, zarzucające rządom sprzymierzonych, że opuściły człowieka, który w najcięższych chwilach wojny oddał ich sprawie nieocenione usługi, którego w pewnym okresie wojny wielbiono jako bohatera. Gen. Michajłowicz obciąża jednak sumienie tego świata, który nie miał odwagi go bronić. Jeden z dziennikarzy angielskich pisze, że sprawa Michajłowicza okryła wstydem jego współpracę nie z Niemcami, lecz z Wielką Brytanią i Ameryką.

W Polsce

Tragiczne antyżydowskie zajścia kieleckie, które rozegrały się wśród bardzo podejrzanych okoliczności, wywołały w opinii polskiej najgłębszy sprzeciw. „Rząd" Bieruta wykorzystuje te wypadki dla *dalszego łamania opozycji*. Znowu zaaresztowano 500 członków Polskiego Stronnictwa Ludowego w okręgu rzeszowskim, gdzie stronnictwo p. Mikołajczyka oddawna było silne. O niemożliwości współpracy z obecnym reżimem warszawskim świadczy też i to, że prezes Stronnictwa Pracy p. Popiel ogłosił, iż postanowił zawiesić działalność swej partii po prostu dlatego, że — działalności tej prowadzić nie może.

„Sam wielki glob"

W splocie bardzo zawikłanych i „rozdrobnionych" zagadnień europejskich — ataki, kompromisy, odwroty taktyczne itp., notowane dzień po dniu, wydają się czasami nabierać zbyt wielkich

Byrnes — Min. Spr. Zagr. Stanów Zjednoczonych

proporcyj. Poza gęstwiną dyplomatycznych zabiegów dojrzewają jednak i rosną te wielkie siły, których wzajemne stosunki zdecydują o losach świata w najbliższej przyszłości. Ścierają się one na peryferiach europejskich. *Na olbrzymich obszarach Azji*, dwie potęgi: *Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki* pozostały same, po zniknięciu japońskiego konkurenta *i stoją oko w oko*. Pomiędzy nimi wielka, ruchoma masa chińska. Pokojowa misja gen. Marshalla, który chciał doprowadzić do porozumienia między Chinami Szang Chaj Szeka i komunistyczną północą, skończyła się, według ogólnego przekonania, niepowodzeniem. Chiny stoją znowu w obliczu wojny domowej. Za każdą ze stron stoi mocarstwo, dla którego Azja wschodnia jest obszarem najbardziej żywotnych interesów.

W opinii amerykańskiej sprawy sowieckie wysuwają się na plan pierwszy. Sensacją dnia jest *książka Bullitta*, niegdyś ambasodora Stanów Zjednoczonych w Moskwie, potem w Paryżu, jednego z najbliższych pracowników Roosevelta. Książka zatytułowana: „Sam wielki glob" jest poświęcona Rosji Sowieckiej, jej metodom i roli w polityce światowej. Stanowi ta książka ciężkie oskarżenie przeciw Sowietom. Komentarzom na temat książki Bullitta poświęca się w prasie amerykańskiej bardzo wiele miejsca, a wrażenie, które ona wywołała, jest tym większe, że autor jej był kiedyś uważany za jednego z czołowych w Ameryce sympatyków Związku Sowieckiego.

Przed konferencją: przygotowanie centrali telefonicznej

W ogóle Sowiety nie mają dziś w Stanach Zjednoczonych „dobrej prasy". Mają zupełnie złą prasę. Po aferze szpiegowskiej w Kanadzie, Amerykanie są dziś oburzeni na Rosję z powodu odrzucenia przez nią propozycji Byrnesa w sprawie niemieckiej, oraz zwalczania amerykańskiego projektu międzynarodowej kontroli broni atomowej z wyłączeniem miłego sowieckiemu sercu — veta. Złą krew robi też w Stanach Zjednoczonych świeżo nawiązana przyjaźń Związku Sowieckiego z oskarżaną dotychczas przez Sowiety o faszyzm — Argentyna Perona, który zręcznie wygrywa sowiecko-amerykańskie przeciwieństwa. Toteż *sprawę dolarowej pożyczki dla ZSRR odłożono do przyszłego roku*. Natomiast *otrzymała pożyczkę Wielka Brytania*. Uchwalenie kredytów dla W. Brytanii napotykało wprawdzie początkowo na pewne trudności w parlamencie amerykańskim, ale rozstrzygnął sprawę argument decydujący: wzmocnienie Wielkiej Brytanii w jej rozgrywce z Sowietami. O tym mówiło się głośno.

W chwili, gdy *doświadczenia w Bikini przypomniały światu straszliwą groźbę wojny atomowej*, gdy sztywnieje dzieląca nietylko kraje, ale, jak to powiedział niedawno premier Wielkiej Brytanii p. Attlee — dzieląca umysły żelazna kurtyna, dobrze może będzie pamiętać o tym, że broń atomowa jest jeszcze dzisiaj w ręku tych samych ludzi, których wysłannicy: Hoover i La Guardia przebiegają świat jak aniołowie pokoju, w trosce o chleb powszedni dla wszystkich — przyjaciół i wrogów. I nie można odmówić szacunku narodowi brytyjskiemu, który odejmuje sobie od ust ten chleb powszedni po to, aby dożywiać ten sam naród, który tak jeszcze niedawno groził mu zagładą. Kto tu zwycięży: miłość, troska o chleb powszedni, czy śmierć?

JAN PODOLSKI

(M.p. 3.8.1946)

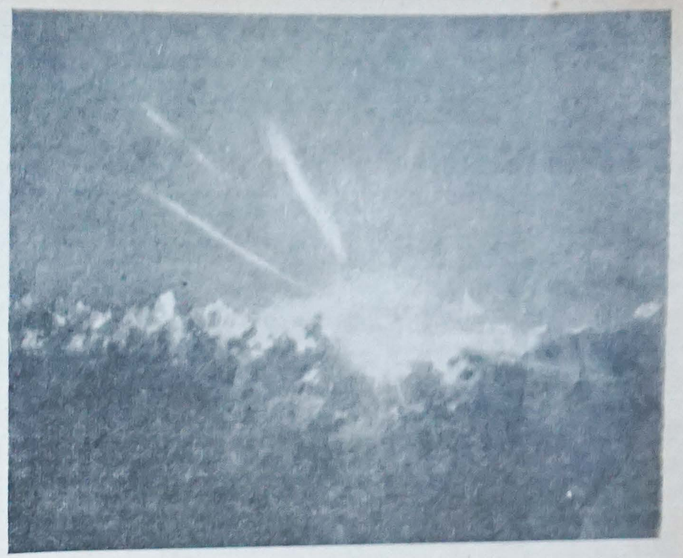

Słońce czy bomba? — Zdjęcie wykonane w momencie eksplozji bomby atomowej na wodach atolu Bikini

NIE ZMIENIA SIE TRESĆ WALKI

Rezolucja Kolonii Polskiej w Rzymie

Staraniem Związku Polaków i Związku Ziem Wschodnich Oddz. „Włochy" odbyło się dnia 28 czerwca 1946 r. w lokalu przy via Villini 18 zebranie Kolonii Polskiej w Rzymie. Po wysłuchania referatu o obecnej sytuacji i po wyczerpującej dyskusji, licznie zebrani uchwalili następującą rezolucję:

Gdy żywy symbol i ośrodek siły Niepodległego Państwa Polskiego, jakim jest 2. Korpus, opuszcza kraj, w którym na zwycięskich pozycjach w marszu do Polski zastało go zakończenie działań wojennych i próby zawarcia pokoju, obywatele polscy przebywający w Rzymie, zgromadzeni na zebraniu, zwołanym przez Związek Polaków i Związek Ziem Wschodnich, Oddz. „Włochy" — uważają za swoje prawo i obowiązek oświadczyć publicznie, że:

1. Polska dotychczas nie jest wolna, cała i niepodległa.

2. Polska walczyła z Niemcami nie tylko w obronie własnej, ale i dla zwycięstwa ideałów wspólnych całemu światu cywilizacji chrześcijańskiej. Bez zwycięstwa tych ideałów nie można uważać, że cele wojny zostały osiągnięte.

3. Każdy naród ma równe prawo do wolności. Nie można osiągnąć prawdziwej wolności o którą walczyliśmy, bez zapewnienia jej w jednakowej mierze wszystkim narodom.

4. Naród polski nie ustał w walce o realizację wszystkich celów wojny i nie zatracił wiary w ostateczne zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości.

5. Polska wypełniła wszystkie zobowiązania sojusznicze. Chce Ona wierzyć, że w dalszych etapach walki odnajdzie u swego boku dotychczasowych sprzymierzeńców.

W związku z powyższym uważamy, że:

1. Demobilizacja Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie jest sprzeczna z dążeniem do osiągnięcia najwyższych celów wojny. Jest ona dalszym ustępstwem na rzecz moskiewskiej polityki imperialnej. Osłabi ona jeszcze bardziej Europę wolną i pozwoli na przyspieszoną penetrację sowieckich agentur za Zachód.

2. Wobec równości wkładu wojennego, żołnierze Armii Krajowej oraz byli jeńcy wojenni z r. 1939 powinni być traktowani na równi z członkami Polskich Sił Zbrojnych, które walczyły pod dowództwem sprzymierzonych.

3. Polskie uchodźctwo jest rezultatem drugiej wojny światowej, w której Państwo Polskie straciło ponad 1/7 swoich obywateli, dając tym samym największy wkład krwi. Ofiarami walki o wspólną sprawę była również ludność cywilna, więziona i wywożona przymusowo z Kraju za walkę z okupantem. Są to również kombatanci jednej totalnej walki o wolność.

Na uchodźctwie domagamy się przeto pełnego zabezpieczenia nie tylko bytu, ale pełnych praw politycznych zarówno żołnierza polskiego z Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie, jak żołnierza polskiego z września 1939 roku, żołnierza największej podziemnej armii Europy, jaką była Armia Krajowa i całego uchodźctwa cywilnego.

Nie do nas należy wskazanie sposobu regulowania stosunku między naszymi sprzymierzeńcami a Rosją, natomiast jest naszym prawem i obowiązkiem przeciwstawiać się regulowaniu tych stosunków naszym kosztem.

I dlatego w walce o przyszłość Narodu Polskiego, o niepodległe, suwerenne i całe Państwo Polskie nie ustaniemy.

W walce tej stoi cały Naród Polski, posiadający niezależne od woli okupanta legalne władze Rzeczypospolitej z Prezydentem Władysławem Raczkiewiczem na czele.

Zmieniają się tylko formy walki, nie zmieniła się i nie zmieni się jej treść, którą jest zabezpieczenie bytu i pełni praw narodowej polskiemu, zabezpieczenie wolności indywidualnej i odbudowa własnego niepodległego państwa.

W walce tej nie jesteśmy sami.

Obok nas — często naszym przykładem wytrwałości zachęceni — stoją w środkowej i wschodniej Europie narody, ujarzmione przez czerwony totalizm. Im prędzej do walki naszej dołączą ludy z Zachodu zagrożone tą samą niewolą, jaką narzucono naszym narodom, tym lepiej dla nas i dla nich.

Wespół z żołnierzami 2. Korpusu, my uchodźctwo polskie, „zespoleni z dążeniami całego Narodu w Kraju, jak i na obczyźnie, ślubujemy trwać nadal w walce o wolność Polski, bez względu na warunki, w których przyjdzie nam żyć i działać".

APEL O NADSYŁANIE DOKUMENTÓW A. K.

Podkomisja Weryfikacyjna Kobiet-Żołnierzy Armii Krajowej prosi o nadsyłanie: wspomnień, relacji, dokumentów, rozkazów, życiorysów, wykazów poległych i zamordowanych, pamiętników i wszelkich materiałów tyczących pracy konspiracyjnej kobiet w Kraju przed Powstaniem i udziału ich w Powstaniu Warszawskim — pod adresem: Podkomisja Weryfikacyjna Kobiet-Żołnierzy A. K. Polish Forces P/40 S.B.S. B.A.O.R.

Komendant I Brygady L. P. Józef Piłsudski wkracza 12 sierpnia 1914 roku do Kielc i odbiera raport skauta konnego

KADRA

Od wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej na wojnę z Rosją mija 32 lata — życie jednego pokolenia. Dla młodych — są to czasy odległe, zamierzchłe niemal. Nawiązywanie do tamtych tradycji ma tę samą wartość, co nie, wiążąca czasy obecne z wszystkimi walkami o wolność z okresu niewoli. Dla starych, są to wspominki z młodości, często ubierane w nieznośną formę komunału. Taki jest los prawie wszystkich porywów rewolucyjnych świata, że ich rocznice z czasem są świętowane przez tych, którzy z rewolucją, a nawet z porywem nie mają nic wspólnego.

Jak nadać tym wspomnieniom choć trochę rumieńca życia? Co pisać o ówczesnych zagadnieniach, o tragicznych sporach orientacyjnych, by z nich wykrzesać iskrę na dzień dzisiejszy? Przede wszystkim jako wartość wieczysta pozostaje śmiałość czynu żołnierskiego.

Nieliczna, odosobniona gromadka młodych, którzy po 50 latach postanowili wskrzesić wojsko polskie. „Liczba, którą mogłem zorganizować — mówi Piłsudski — odpowiadała mniej więcej słabemu pułkowi na stopie wojennej".*)

Pierwszy patrol kawaleryjski, który przekroczył granicę Kongresówki, niósł siodła na plecach, gdyż koni nie posiadał. Oddziały były uzbrojone w starego typu jednostrzałowe karabiny Werndla, bez pasów i ładownic. Nie było artylerii, karabinów maszynowych, środków łączności. Nie było kuchen polowych. Austriackie władze wojskowe odnosiły się nieufnie do tych cywilów, udających wojsko. Chciały one, by oddziały polskie zatrzymały się w małym miasteczku Jędrzejowie, gdzie miały być wyprzedzone przez kawalerię austriacką, której zadaniem było zajęcie Kielc. Piłsudski nakazuje forsowny marsz, by nasza piechota wyprzedziła kawalerię i pierwsza wkroczyła do Kielc. Tak też się stało. W okolicy doszło do pierwszych utarczek z Rosjanami. Z Kielc jednak wkrótce trzeba było się wycofać. Piłsudski wziął na siebie najtrudniejszą pracę żołnierską — osłanianie odwrotu. Zadanie zostało wykonane z brawurą. „Dobijaliśmy się — mówi Piłsudski — o uznanie jako dobrych żołnierzy, o uznanie przez nas samych, potem przez otoczenie, wreszcie przez najsurowszych sędziów".

Takie były pierwsze kroki żołnierskie odradzającego się wojska polskiego. W planie jego twórcy miało być ono samoistną siłą polską, opartą o samodzielny czynnik polityczny. Decyzję powziął sam, nie zwołując nawet Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Snadź nie chciał inicjatywy oddawać pod dyskusję nawet szlachetnych, ale partyjnych czynników. Myśl jego polityczna zwraca się natomiast do stolicy, do Warszawy, gdzie winna była powstać centralna władza Narodu. Piłsudski wydaje odezwę o Rządzie Narodowym — który był fikcją i, niestety fikcją pozostał. Warszawa ówczesna, w większości bezsilna i zdezorientowana, uwierzyła zapewnieniom wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Społeczeństwo Kongresówki w ogromnej większości przyjęło jako cel wojny nie Niepodległość, ale zjednoczenie ziem polskich w granicach imperium rosyjskiego. Żołnierz polski w zaraniu swego istnienia pozostał osamotniony.

Miał on jednak duszę nowatora. Cytuję Piłsudskiego:

„...Występując na arenę dziejową, jako wojsko polskie, byliśmy w stosunku do własnego społeczeństwa nowatorami — chcieliśmy dać Polsce polskiego żołnierza... Każde nowatorstwo ma swoje prawa psychiczne, niezmienne prawa duszy, dające się dostrzec u wszystkich nowatorów. Każdy człowiek, wnoszący w życie coś nowego, ma zadanie znacznie trudniejsze, niż wciśnięcie się fizycznie do... napełnionej sali... W dziedzinie, do której nowa myśl, nowy czyn chce się wedrzeć, istnieją gotowe zdania, gotowe pojęcia, gotowe przesądy, gotowe formuły odsuwania rzeczy nowej, rzeczy, która jeszcze nie wytrzymała próby życia. Dlatego wszyscy apostołowie czegokolwiek nowego, wszyscy reformatorzy życia, wszyscy odkrywcy muszą mieć wewnętrzną siłę, która im pozwala być tymi nowatorami wbrew oporowi otoczenia. Pierwszą więc ich cechą jest umiejętność wydobycia z siebie wysiłków większych, niż przeciętne wysiłki człowieka, większej, niż przeciętna, energii. Bez tej niezwykłej energii i nieprzeciętnego wysiłku niepodobna przepchać się przez zwarty tłum uprzedzeń i niechęci do rzeczy nowych".

W zaraniu wojny 1914 r. nowatorska myśl Piłsudskiego nie dała się w całej czystości zrealizować. Zbyt dużo w społeczeństwie było oportunizmu i ugody. W dniu 16 sierpnia 1914 roku ze wszystkich stronnictw polskich powstał w Krakowie Naczelny Komitet Narodowy, uznany przez Austrię. Pod jego orędownictwem formują się Legiony. Piłsudski zmuszony jest swoje oddziały podporządkować N.K.N.-owi. Składają one przysięgę austriackiego pospolitego ruszenia. Walka o samodzielną siłę polską, wojskową i polityczną, zmienia formy.

Jak zawsze w życiu, nawet w obozie najbardziej nieprzejednanym, istnieją różnice zdań — choćby tylko w dziedzinie taktyki. Łatwo zwłaszcza o różnicę między tymi, którzy podstawową ideę realizują, a tymi, którzy, stojąc nieco z boku i nie ponosząc bezpośredniej odpowiedzialności, mają przed oczyma wyłącznie czystość zasadniczej linii. W obozie niepodległościowym 1914 roku taką grupą była ówczesna Młodzież Narodowa (konspiracja Zet). W grupie tej zastrzeżenia wzbudziła już odezwa o Rządzie Narodowym, który był fikcją. Przysięga legionowa wywołała gorycz. W Warszawie grupa ta szerzyła tezę, że Legiony mogą być uważane jedynie za formę przejściową, gdyż wojsko musi być oparte o rząd. Twierdziła również, że konspiracyjne przygotowania wojskowe pod zaborem rosyjskim nie powinny być wyłącznie uzupełnieniem Legionów, ale samoistną siłą, gotową do krwawej demonstracji nawet wówczas, gdyby z wojny Rosja wyszła zwycięsko. Życie wyrównało te teoretyczne różnice. Po zajęciu przez Niemców Warszawy, Piłsudski wstrzymał werbunek do Legionów, domagając się utworzenia Rządu i podległego mu wojska polskiego. Z tą tezą przybył Komendant do Warszawy 7 sierpnia 1915 roku — równo w rok po wymarszu Kadrowej.

Droga do realizacji była jeszcze ciężka. Prowadziła przez obozy w Szczypiornie i Beniaminowie, przez Magdeburg (aresztowanie Piłsudskiego i Sosnkowskiego 22 lipca 1917 roku). Dopiero w dniu 11 listopada 1918 r., w wolnej już Polsce, Piłsudski obejmuje naczelne dowództwo nad Armią Polską, a następnego dnia wydaje pierwszy rozkaz: „Z wami razem ślubuję życie i krew swą poświęcić na rzecz dobra Ojczyzny i szczęścia Jej obywateli".

Natychmiast potem młoda armia krew swą przelała obficie w walkach od Dniepru po Wisłę. Czytając Piłsudskiego „Rok 1920", czytając jego „Dzieła i wykłady" — widać, jaki ogrom twórczego wysiłku włożył on w kształtowanie armii i w jej prowadzenie, jak owładnął nim „nieuchwytny nieraz dla analizy czar sztuki wojennej". Z duszy swej wydobył najwyższy wymiar koncepcji i woli — a że dusza była polska, więc i koncepcja była samorodna, polska. Gdyby wódz i żołnierz kształtowali się na obcych wzorach, obliczonych na inne warunki i inną psychikę ludzką — zapewne w roku 1920 spotkała by nas klęska. Zwycięstwo sierpniowe w 1920 r. zrodziła myśl polska, oparta o polskiego żołnierza.

Gdy w okresie sukcesów nad bolszewikami przyszły czasy klęski, gdy „chwiały się charaktery i miękły serca żołnierzy" — obcy i część swoich zwątpili w możność zwycięstwa. Liczono się z upadkiem stolicy, a francuski generał Weygand doradzał wycofanie się za Wisłę. Piłsudski przeciwstawił się tym planom. W dniu 6 sierpnia — w rocznicę wymarszu Kadrówki — podyktował rozkaz do przeciwnatarcia. Cofające się dotąd dywizje mają zająć linię Wisły i bronić jej do upadłego. W rejonie Dęblina ma być zgrupowana armia odwodowa, którą do przeciwnatarcia poprowadzi Naczelny Wódz, uderzając w bok nieprzyjaciela, napierającego na Wisłę i Warszawę. Decyzję wykonano. W dniu 15 sierpnia Piłsudski uderza z nad Wieprza, flankuje, dostaje się na tyły rosyjskie. Za armią czerwoną, znajdującą się w odwrocie, nakazuje pościg. „Nogami i męstwem piechura polskiego musimy wygrać tę bitwę" — brzmi jego rozkaz. Po tygodniu bitwa była całkowicie wygrana. Polska — a wraz z nią świat — odetchnęły od azjatyckiej zmory.

„W historii bitwy warszawskiej — pisał Piłsudski — zastanowić musi każdego dziwna, nieoczekiwana i tak nagła zmiana ról obu stron walczących. Zwyciężony zostaje zwycięzcą, zwycięzca zwyciężonym — w jakieś parę dni. Gdy zaś zestawi się niezwykłą jakąś sugestię klęski Polski, która nieodparcie narzucała się umysłom i sercom ludzkim nie tylko u nas w Polsce, lecz i na całym świecie, z nagłym przewrotem, który w jakiś błyskawiczny sposób nastąpił — szuka się bezwiednie jakichś nadzwyczajnych przyczyn tej nagłej zmiany, tego piorunującego przewrotu".

* * *

Minęło życie niemal całego pokolenia. Nowe wychowało się już w wolnej Polsce. Prawie nie ma podobieństwa ani zagadnień, ani ludzi. Pozostało tylko zasadnicze zadanie — walki o wolność, gdy trzeba, na dwa fronty — a w chwili obecnej tak, jak w 1920 roku, z nawałą ze Wschodu. Garstka żołnierzy z 1914 roku stała się kadrą wojska polskiego — i tego spod Warszawy 1920 roku i tego z Armii Krajowej i tego spod Monte Cassina.

Jeżeli można dopatrywać się analogii, to chyba w tym znaczeniu, że jesteśmy znów kadrą. Jak niedawno napisał Matuszewski — jeden z tych z 1914 roku — „Wojsko polskie jest ostatnim wojskiem Europy. Ono jedno odmówiło posłuszeństwa najeźdźcom. Ono jedno nie skłoniło sztadaru przed żadnym z nich. Ono jedno wytrwało w posłuszeństwie prawu własnemu i w gotowości walki jeden przeciw stu, jeden przeciw tysiącom". Tamci z 1914 r. byli kadrą dla społeczeństwa polskiego i zadanie swe spełnili. Dziś społeczeństwa przekonywać nie potrzeba. Dziś — w szerokim świecie — jesteśmy kadrą dla Europy, może dla świata całego. Kadrą i nowatorami, tym dziwnym nowatorstwem, które żywotne swe soki czerpie z dawniejszych tradycji, z głębokiego złoża najbardziej zasadniczych praw i dążeń ludzkich, przytłumionych przez oportunizm i złudę doraźnych korzyści.

Jak tamci z 1914 r. — walczymy wbrew oporowi i niechęci otoczenia, środkami niewspółmiernymi do wielkości celów i zadań. Jak nowatorzy, musimy się zdobyć na większy, niż przeciętne wysiłki, na większą, niż przeciętna, energię. Jesteśmy nowatorami myśli nie tylko wśród nas, ale i wśród bratnich nam narodów Międzymorza. Jesteśmy sumieniem świata, a przez to możemy się stać jego odnowicielami. Tamci — z 1914 r. — dobrze zasłużyli się Ojczyźnie. My jeśli zadaniom sprostamy, możemy zasłużyć się ludzkości.

STANISŁAW JANIKOWSKI

*) Dane i cytaty zaczerpnięte głównie z odczytu Piłsudskiego „O wartości żołnierza Legionów", z jego pracy „Rok 1920" oraz z książki W. Lipińskiego „Wielki Marszałek".

Komenda Główna Polskiej Organizacji Wojskowej. — Zdjęcie wykonane na kilka dni przed uwięzieniem Komendanta Piłsudskiego przez Niemców. Siedzą od lewej: Walery Sławek, Krok-Paszkowski, K. Sosnkowski, Piłsudski, Kasprzycki i Weisner-Opiński. Stoją od lewej: Libicki, Gąsiorowski, Jędrzejewicz, M. Miedziński, St. Hempel, Adam Skwarczyński.

ROSJA WOBEC POWSTANIA

(na tle faktów i dokumentów)

Walka zbrojna z Niemcami, prowadzona przez A.K. w latach konspiracji, przybierała w roku 1944 formę walki jawnej na zapieczu cofających się wojsk niemieckich. Kiedy front zbliżał się do Warszawy, stało się dla całego Kraju jasnym, że lada chwila i Stolica chwyci za broń.

Do ostatnich dni lipca wojska sowieckie zajęły Radzymin, Wołomin, Miłosnę, Wiazównię, Swider. Walki toczyły się już w rejonie Anina, a pancerne patrole sowieckie docierały do krańców Pragi. Czerwone lotnictwo co noc bombardowało Warszawę, a w ciągu dnia nad miastem odbywały się walki między myśliwcami sowieckimi a niemieckimi. Radio Moskwa od kilku dni komunikowało o rozpoczęciu bitwy o Warszawę i o walkach w rejonie Pragi.

Walki A.K. na tyłach frontu niemieckiego (tzw. akcja „Burza") oddawały ofensywie sowieckiej olbrzymie usługi i znakomicie przyśpieszały jej postępy. Toteż propaganda sowiecka z zewnątrz (liczne wezwania radiowe do otwartej walki z Niemcami) i propaganda komunistyczna (PPR) od wewnątrz od wielu miesięcy uporczywie zachęcały Kraj do masowej walki zbrojnej z okupantem.

Ulotka PPR-owskiej „Rady Narodowej Warszawy" z dn. 25. 2. 1944 głosiła: „Chwila ogólno narodowego powstania zbliża się... Warszawa, jako jeden z najważniejszych punktów strategicznych wroga... będzie miała do wypełnienia szczególnie ważną rolę. Zadaniem walczącej stolicy będzie przyczynić się do obezwładnienia wroga, do sparaliżowania jego połączeń między Rzeszą a Wschodem...". W odezwie, wydanej w Warszawie w końcu kwietnia 1944 r. przez Komitet Centralny PPR a zatytułowanej: „Niech żyje 1 maja", powiedziano wyraźnie: „Nadszedł czas rozszerzenia walki aż do powstania zbrojnego".

Ogłoszone 7. 6. 1944 Wezwanie Rady Wojennej Polskiej w ZSRR „do rodaków w Kraju" podpisane przez „generałów": Berlinga, Świerczewskiego i Zawadzkiego (obecnie wojewoda śląski) nawoływało: „...Wszyscy do walki! Nie traćcie ani chwili. Chwytajcie za broń! Bijcie Niemców!... Niszczcie żywą siłę, broń i sprzęt okupanta hitlerowskiego!... Gotujcie się wszyscy do powstania z orężem w ręku przeciw najeźdźcy niemieckiemu! Do broni Polacy!"

W wydanym 22 lipca w Chełmie „manifeście" tzw. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego stwierdził, że „wybiła godzina odwetu na Niemcach za mękę i cierpienia..." i nawoływał: „Chwytajcie za broń! Bijcie Niemców wszędzie, gdzie ich napotkacie!".

W ostatnich dniach lipca Rosja wyraźnie i bezpośrednio zachęcała Warszawę do powstania. Radio Moskwa nadaje dn. 29 lipca o godz. 20.15 po polsku „wezwanie do Warszawy", którego tekst podał oficjalnie „Monitoring Service" BBC z dn. 30 lipca. Warto zapoznać się z niektórymi fragmentami tego wezwania zatytułowanego: „Walczcie przeciwko Niemcom". „Nie ma wątpliwości, że Warszawa już słyszy odgłosy walki, która wkrótce przyniesie jej wolność... Dla Warszawy, która się nigdy nie poddała i nigdy nie ustała w walce, wybiła godzina czynu. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy będą się starali bronić w Warszawie i do dawnych dodadzą nowe zniszczenie i wiele tysięcy nowych ofiar... Niemcy skażą miasto na zniszczenie, a jego mieszkańców na śmierć... Z tego powodu jest stokroć bardziej konieczne, niż kiedykolwiek, uświadomić sobie, że w powodzi hitlerowskiego zniszczenia wszystko, czego się nie uratuje przez czynny wysiłek, będzie stracone i że przez bezpośrednią czynną walkę na ulicach Warszawy, w jej domach, fabrykach i składach nie tylko przyśpieszymy chwilę ostatecznego uwolnienia, ale także uratujemy własność Narodu oraz życie naszych braci".

Narzędzie sowieckiej propagandy radiostacja im. Kościuszki nadała dn. 30 lipca parokrotnie odezwę do Warszawy. Głosiła ona m. in.: „Warszawa się trzęsie od huku armat. Wojska sowieckie idą naprzód i dochodzą do Pragi. Przynoszą nam wyzwolenie. Niemcy wyparci z Pragi będą usiłowali bronić się w Warszawie. Będą starali się wszystko zniszczyć. W Białymstoku niszczyli wszystko przez

6 dni. Zamordowali tysiące naszych braci. Musimy zrobić wszystko, aby uniknąć tych okropności. Ludu Warszawy do broni! Cała ludność powinna się zgrupować dokoła Rady Narodowej i Armii Podziemnej. Atakujcie Niemców! Pomóżcie Armii Czerwonej przejść Wisłę. Milion mieszkańców Warszawy niech będzie armią miliona ludzi walczących i niszczących niemieckich najeźdźców".

Dziennik rosyjski „Wajna i Raboczyj Kłas" z dn. 1 sierpnia 1944 r. w artykule p.t.: „Ku uwolnieniu Polski" pisał: „Polska była pierwszym krajem, który padł ofiarą ataku hitlerowskich Niemiec. Teraz Polska pierwsza wśród zajętych krajów będzie uwolniona spod jarzma hitlerowskiego".

Radio Moskwa w audycji z dnia 8 sierpnia (godz. 15.15), polemizując z radiostacją polską „Świt" i nazywając warszawiaków bohaterami, wzywa ich, aby nie wierzyli „Switowi", że ustały działania sowieckie pod Warszawą. Radio Moskwa zapewnia, że „setki tysięcy sprzymierzonej Armii Czerwonej, a z nią 120 tysięczna armia gen. Berlinga walczą u wrót Warszawy i kwestią dni jest wyzwolenie wasze".

W depeszy do Londynu, datowanej 10 sierpnia z Teheranu, w drodze powrotnej z Moskwy, ówczesny premier polski Mikołajczyk stwierdził, że w czasie pożegnalnej rozmowy, dnia 4. 7., Stalin oświadczył, iż liczył się z wejściem wojsk sowieckich do Warszawy 6 sierpnia. Plany te pokrzyżowało przeciwuderzenie niemieckie, jednak Stalin nie wątpi w ostateczny wynik walki.

W świetle powyższych materiałów można ustalić, **że Rosja: 1) miała istotny zamiar zająć Warszawę w pierwszych dniach sierpnia, 2) dla ułatwienia sobie tego zadania dążyła do spowodowania polskiej akcji zbrojnej wewnątrz miasta.** Zwłaszcza, że doświadczenia sowieckie ze zdobycia Wilna, Lwowa i Lublina wykazały wybitną skuteczność współdziałania A. K. z wojskami sowieckimi.

* * *

Żołnierze A. K. — przed akcją

Zarówno w toku Powstania, jak i później, Rosja usiłowała wytłumaczyć brak pomocy ze swej strony nieuzgodnieniem zamiarów bojowych D-twa A.K. z d-twem sowieckim. Pretensja ta jest najzupełniej bezpodstawna ze względów formalnych (zerwane stosunki dyplomatyczne polsko - sowieckie) i faktycznych. Dotychczas bowiem (Wołyń, Wilno, Lwów, Podlasie, Lubelszczyzna) wojska sowieckie nawiązywały współdziałanie z A. K. dopiero w toku wspólnej walki z Niemcami. Rosja nigdy dotychczas nie wysuwała pretensji z racji braku poprzednich uzgodnień planów i w niektórych wypadkach w toku walki dawała oddziałom A. K. pomoc materialną (zwłaszcza w amunicji). Nie poruszamy tu tragicznych dla A. K. w swym efekcie końcowym skutków tego współdziałania bojowego z wojskami sowieckimi.

Pretensja sowiecka jest nie tylko bezpodstawna, ale również niezgodna z prawdą. W dniu 31 lipca bowiem, w Moskwie w czasie pierwszej rozmowy St. Mikołajczyka i T. Romera z Mołotowem, przedstawiciele Rządu Polskiego zapowiedzieli wybuch Powstania w Warszawie na najbliższe dni.

Z chwilą rozpoczęcia walk w Warszawie strona polska zwraca się kilkakrotnie do Rosji o pomoc. Pełnomocnik Rządu na Kraj i D-ca A.K. w depeszy z dnia 1. 8. proszą premiera i Naczelnego Wodza w Londynie „o spowodowanie pomocy Sowietów przez natychmiastowe uderzenie z zewnątrz". Prośba ta została przekazana za pośrednictwem angielskim 2 sierpnia do Moskwy.

Ówczesny premier Mikołajczyk przy pierwszym spotkaniu ze Stalinem dnia 3 sierpnia prosił o pomoc sowiecką dla walczącej Warszawy.

W dniu 7 sierpnia D-ca A.K. przekazał do Londynu depeszę sowieckiego oficera, kpt. Kaługina, który znalazłszy się w momencie wybuchu Powstania w Warszawie, zgłosił się do K-dta Montera i pozostawał w stałej łączności z jego sztabem. W depeszy, datowanej 6. 8. i adresowanej do Stalina, kpt. Kaługin określa potrzeby walczącej Warszawy, „pokrycie których pozwoliło by na szybsze zwycięstwo w walce z naszym wspólnym wrogiem", a mianowicie broń automatyczną, amunicję, granaty, i kb. ppanc. Wymienia dalej miejsca zrzutów, wskazuje cele do bombardowania lotniczego i prosi o ułatwienie mu stałego kontaktowania się z marsz. Rokossowskim (szyfry radiowe). Za pośrednictwem angielskim Londyn przekazał depeszę Kaługina niezwłocznie Moskwie.

W ten sam sposób została wysłana do Moskwy depesza z dnia 8. 8. podpisana przez „Komendanta Okręgu Warszawskiego A. K. Nurta" (Nurt i Monter — pseudonimy gen. Chruściela) i skierowana do d-cy frontu sowieckiego marsz. Rokossowskiego. Depesza stwierdza, że „Niemcy dla wywalczenia sobie dróg odwrotowych palą miasto i niszczą ludność". Powstanie wiąże poważne siły niemieckie, odczuwa już jednak „brak amunicji i broni ciężkiej, toteż szybka pomoc wojsk Pana Marszałka jest dla nas koniecznością". Prosi również „Nurt" o podanie dla kpt. Kaługina elementów łączności radiowej, aby za pośrednictwem Kaługina mógł z Rokossowskim uzgodnić działania.

W czasie pożegnalnej wizyty u Stalina w Moskwie dnia 9.8. St. Mikołajczyk prosi o pomoc dla Warszawy i w depeszy z Teheranu z dnio 10. 8. do Pełnomocnika Rządu i Dcy A. K., tak określa stanowisko Stalina: „Zdaje on sobie sprawę z ciężkich konsekwencji naszych walk wewnątrz Warszawy i obiecuje tymczasem poparcie ze strony lotnictwa w pełnych granicach swych możliwości".

Wszystkie powyższe prośby polskie o pomoc sowiecką pozostają bez rezultatu, na depesze nie **ma żadnej odpowiedzi, a** obietnicą Stalina nie znajduje najmniejszych nawet prób realizacji. **Nie tylko nie następuje pomoc lotnictwa sowieckiego, lecz przeciwnie zamka całkowicie tak ożywiona pod koniec lipca aktywność jego nad Warszawą. Ostatni nalot myśliwców sowieckich nad Warszawą miał miejsce około godziny 13-tej w dniu 1 sierpnia (walki powietrzne nad Ochotą) i od tej chwili przez pięć tygodni nie pojawił się nad miastem żaden samolot rosyjski.** Nadmienić należy, że w tym czasie najbliższe lotniska sowieckie znajdowały się w odległości kilkunastu minut lotu od Warszawy.

* * *

Pomoc lotnicza miała dla Powstania znaczenie zasadnicze. Wielokrotna przewaga techniczna ze strony niemieckiej w miarę przedłużającej się walki stawała się czynnikiem decydującym o jej wyniku. Warszawa potrzebowała broni i amunicji — brak ich kosztował wiele krwi polskiej. Warszawa wzywała do bombardowania wskazanych punktów niemieckich, szczególnie dla Powstania niebezpiecznych, a niemożliwych do zlikwidowania własnymi siłami technicznymi. Warszawa prosiła o „parasol —lotniczy", który mógłby osłonić ją od bezkarnych i niczym nie hamowanych bombardowań „Luftwaffe".

Nieliczne loty zrzutowe angielskie (przede wszystkim lotnicy polscy) są niewystarczające, a wysoki procent strat w załogach i w aparatach uniemożliwia zwiększenie ich ilości. Wobec tego podjęte zostają dalsze próby nakłonienia Rosji do okazania pomocy Warszawie. St. Mikołajczyk wysyła 13 i 18 sierpnia depesze do Stalina. 17 sierpnia min. Eden komunikuje Rzadowi Polskiemu, że Churchill zwrócił się osobiście do Stalina o udzielenie pomocy Warszawie, z uwagi na dogodniejszą od angielskiej sytuację wojenną i odległościową wojsk sowieckich. Roosevelt zawiadomił Rząd Polski 18 sierpnia, że Stany Zjednoczone zabiegają o pomoc sowiecką dla Warszawy. Interwencje tej depeszy nie odnoszą żadnego skutku.

Wobec niedostateczności lotów zrzutowych z baz włoskich powstaje projekt polski wykonania masowej operacji zrzutowej z baz brytyjskich przy użyciu potężnych liberatorów. Taka operacja przy własnej osłonie da stosunkowo małe straty, a jednocześnie będzie w stanie poważnie zasilić Warszawę i wpłynąć na jej sytuację bojową. Projekt polski został przedstawiony wicepremierowi Attlee 11 sierpnia wieczorem. Przewidywał on lądowanie samolotów alianckich po wykonaniu zrzutów na lotniskach sowieckich, co miewało już parokrotnie miejsce po masowych bombardowaniach amerykańskich w Niemczech. Projekt polski zyskuje aprobatę. Startować mają samoloty amerykańskie, oczekuje się tylko zgody sowieckiej na lądowanie.

15 sierpnia Rząd Polski otrzymuje wiadomość, że amerykańska ekspedycja jest gotowa do odlotu; nie nadeszła jeszcze zgoda sowiecka na lądowanie. Zgoda nie nadchodzi przez dni następne, wobec czego 19 sierpnia wysłana zostaje w tej sprawie wspólna depesza Roosevelta i Churchilla do Stalina. 24 sierpnia Eden komunikuje Rzadowi Polskiemu, że nadeszła odpowiedź Stalina, która praktycznie ma znaczenie odmowy. Eden oświadczył na to, że ambasadorowie brytyjski i amerykański interweniowali również u Mołotowa o zezwolenie na lądowanie samolotów amerykańskich.

Stanowisko sowieckie, będące wyraźnym dowodem złej woli, wywołuje reakcję angielską w prasie i radio. „News Chronicle" z 29 sierpnia 1944 w artykule Vernona Barleta demaskuje intencje Moskwy, która „zgadza się na pomoc dla Warszawy w wypadku zgody państw anglosaskich na postawienie przed sąd wojenny przewódców A. K. w Warszawie" Publicysta angielski stwierdza również, że „Rosjanie sami wielokrotnie wzywali Polaków do rozpoczęcia otwartej walki, obiecując im pomoc. W konsekwencji jednak pozostawiono Polaków bez pomocy".

Churchill w imieniu brytyjskiego gabinetu wojennego wysyła 4 września telegram do rządu sowieckiego, utrzymany w stanowczym tonie. Wzywa w nim Rosję do zmiany decyzji w sprawie pomocy Warszawie oraz do cofnięcia sprzeciwu w sprawie lądowania samolotów amerykańskich na lotniskach sowieckich. **Zachowanie się Sowietów depesza określa jako niezgodne z duchem sojuszu brytyjsko-sowieckiego i jako obciążenie dla współpracy bieżącej i powojennej.**

Dopiero 10 września przychodzi odpowiedź sowiecka, wyrażająca zgodę na lądowanie samolotów amerykańskich, pod warunkiem uprzedniego uzgodnienia planu operacji z Rosją. Plan ten został tegoż dnia przedstawiony władzom sowieckim przez szefa Wojskowej Misji Brytyjskiej w Moskwie. Ostateczna zgoda rosyjska przychodzi w nocy z 12 na 13 września. Na skutek złych warunków atmosferycznych w następnych dniach (16.9. wyprawa amerykańska musiała zawrócić znad Danii) ekspedycja amerykańska dociera nad Warszawę dopiero 18 września około godziny 13-tej i zrzuca 1250 zasobników. Straty ekspedycji na 110 samolotów uczęstniczących w niej — wynosiły: 1 bombowiec i 2 myśliwce.

Ze względu na niewielką i nieregularną w narysie przestrzeń obsadową w Śródmieściu w tym okresie przez A. K., stosunkowo nieznaczna ilość materiału zrzutowego (około 16 ton) dochodzi do rąk polskich. Gdyby jednak wyprawa amerykańska doszła była do skutku w połnie sierpnia (jak to projektowano), to przy ówczesnym stanie terenowego posiadania A. K., niemal całość zrzutu trafiłaby do rąk polskich i mogła by zasadniczo zmienić przebieg walk w Stolicy.

Fakty powyższe doprowadzają do stwierdzenia, że : **1) Rosja — wbrew obietnicy Stalina — nie chciała dać bezpośredniej własnej pomocy lotniczej Warszawie, 2) przez odmowę i przewlekanie od 11 sierpnia do 13 września zgody na lądowanie samolotów amerykańskich dążyła do uniemożliwienia okazania wydajnej pomocy Warszawie przez Anglosasów, 3) wykazała wyraźnie, że dąży do pogorszenia sytuacji Powstania i do wyniszczenia Warszawy.**

* * *

W pierwszych dniach września Rosja zdecydowała się zdobyć Pragę. Poprzedzone przygotowaniem lotniczym natarcie sowieckie zaczęło się 10 września, a 14 Praga została zajęta. Od 10 też zaczęła się aktywność lotnictwa sowieckiego nad Warszawą, która trwała i po zdobyciu Pragi; dawała się korzystnie odczuwać miastu, osłaniając je przed nalotami niemieckimi.

D-ca A. K. poprzez Londyn skierował 11 września depeszę do marsz. Rokossowskiego w sprawie pomocy dla Warszawy, podając jednocześnie szereg szczegółów technicznych. Depesza została przekazana ambasadzie sowieckiej w Londynie.

Żołnierze A. K. z C. K. M. na stanowisku

W nocy z 13 na 14 września dokonane zostały pierwsze zrzuty sowieckie, które powtarzane były w ciągu kilku następnych nocy. Zrzuty sowieckie obejmowały broń, amunicję i żywność (w tym i konserwy amerykańskie), były utrzymane w skromnych rozmiarach i w znacznym stopniu bezużyteczne. Zrzucono n.p. amunicję rosyjską nieprzydatną do posiadanej przez A.K. broni niemieckiej. Większość zrzutów dokonywano bez spadochronów, w paczkach lub workach pękających przy upadku, w wyniku czego amunicja była zgnieciona, a żywność (suchary, kasza) rozsypywała się i stawała się niezdatna do użytku. Pełnowartościowe natomiast okazały się — sowieckie karabiny ppanc., aczkolwiek niewiele ich zrzucono.

W nocy 21 września w Śródmieściu lądują dwaj oficerowie sowieccy z radiostacją dla utrzymywania łączności z marsz. Rokossowskim. W ten sam sposób umożliwiona zostaje łączność Mokotowa i Zoliborza z d-twem sowieckim. D-two Polskie prosiło o bombardowanie lotnicze i artyleryjskie określonych celów. Początkowo ogień sowiecki jest skuteczny i miejscami odciąża front powstańczy, po kilku jednak dniach wyraźnie słabnie i nie daje pożądanego wsparcia oddziałom A. K. Przy decydującym niemieckim natarciu na Mokotów (lądowym i lotniczym; 30 Stukasów), mimo wezwania, brak było współdziałania lotnictwa i artylerii sowieckiej. To samo powtarza się na Zoliborzu. Również w Śródmieściu pomoc rosyjska jest tak nikła, że nie potrafi przeciwdziałać wciąż narastającemu nasileniu ognia niemieckiego.

W nocy z 16 na 17 września na coraz ostrzej atakowanym przez Niemców Czerniakowie wylądowały oddziały Berlinga w sile około 1 batalionu pod dowództwem rosyjskiego oficera w „berlingowskim" mundurze — mjr. Łatyszonowa. Batalion dobrze uzbrojony, lecz źle wyszkolony, niewielką pomoc okazał oddziałom A. K. i nie mógł przyczynić się do powstrzymania upadku Czerniakowa, który nastąpił 20 września.

Na wysokości Zoliborza, na ławicach wiślanych po stronie warszawskiej wylądował 20 września oddział sowiecki w sile około batalionu. Nie zdołał on jednak połączyć się z siłami powstańczymi i wkrótce został zdziesiątkowany i zmuszony do powrotu na brzeg praski.

Wobec coraz tragiczniejszej sytuacji D-two A.K. wielokrotnie prosi d-two sowieckie o skuteczniejszą pomoc i podjęcie natarcia na Warszawę. Prośby te pozostają bez rezultatu, a przeważnie i bez odpowiedzi. Gdy groźba kapitulacji staje się coraz wyraźniejsza, D-ca A.K. raz jeszcze depeszuje 29 września do marsz. Rokossowskiego: „...Jeżeli Warszawa nie zostanie opanowana przez Armię Czerwoną w ciągu trzech dni i jeśli natychmiast nie otrzyma osłony lotniczej oraz skuteczniejszego ognia artyleryjskiego na uprzednio podane cele — możemy nie utrzymać się do tego terminu". Kosztem jednak największego wysiłku walkę przez ustalone trzy dni utrzymano. Ani pomoc, ani nawet odpowiedź sowiecka nie nadeszła. Wieczorem 2 października umilkły w Warszawie strzały. Nastąpiła kapitulacja po 63 dniach walki.

Ocena pomocy rosyjskiej dla Warszawy w drugiej połowie września doprowadza do wniosku, że **pomoc ta pomyślana była jako wyraźny efekt propagandowy wobec zagranicy. Nie dożyła najzupełniej do istotnego wsparcia Powstania. Jej rodzaj i rozmiary nie mogły wpłynąć na wynik walki, mogły tylko przez wywołanie złudzenia, że nastąpi sowieckie natarcie na Warszawę, przedłużyć nieco Powstanie kosztem zwiększenia ofiar ze strony polskiej.**

* * *

Taktyka sowieckiego postępowania wobec Warszawy jest zupełnie wyraźna. W końcu lipca Rosja faktycznie chce zdobyć Warszawę, zarówno ze względów wojskowych jak i politycznych. Dla ułatwienia sobie tego zadania chce wywołać powstanie i wyraźnie do niego nawołuje. Na podstawie raportów PPR posiada fałszywy obraz Warszawy: wyolbrzymione siły komunistyczne, wielokrotnie pomniejszony stan posiadania A.K. i błędną ocenę wpływów i władz Polski Podziemnej w społeczeństwie.

Wzmocnienie w ostatniej chwili przez Niemców obsady przedmieścia Warszawy powstrzymuje tempo natarcia sowieckiego. Nie wpływa to jednak na poniechanie poprzedniego zamiaru. Wskazują na to cytowane wyżej wypowiedzi radia moskiewskiego z 8 sierpnia i oświadczenie Stalina wobec Mikołajczyka z 8 sierpnia. Ta sama audycja jednocześnie wykazuje błędność oceny politycznego oblicza Warszawy przez zarzucanie kłamliwości twierdzeniom radia polskiego, że to A.K. podjęła i prowadzi Powstanie. Rosja nie miała jeszcze bezpośrednich informacji a na podstawie poprzednich meldunków PPR co do sił Armii Ludowej i Polskiej Armii Ludowej im chciała przypisywać inicjatywę i istotne prowadzenie walki.

„Generał" Rola - Żymierski, jako „naczelny dowódca Wojska Polskiego", dnia 13 sierpnia wydaje „rozkaz Nr 6", w którym wzywa swe oddziały „do skoncentrowanego szturmu na Warszawę". Oto kilka zdań z tego rozkazu: „Nadeszła chwila wyzwolenia naszej Stolicy... Żołnierze! Przypadł Wam wielki zaszczyt wzięcia udziału w walce o wyzwolenie Warszawy, o skrócenie męczarni mordowanych rodaków... Świat cały czeka na wyzwolenie Warszawy, na Wasze zwycięstwo... Musicie światu pokazać, jak Polak walczy o swoją Stolicę. Naprzód — na Warszawę! Za Polskę!".

I po tych buńczucznych słowach czyny nie następują. Front sowiecki pod Warszawą jest nieruchomy. Rosja bowiem (gdzieś około 15 sierpnia), podejmuje inną decyzję. Przekonywuje się, że Powstanie prowadzi A.K., że siły komunistyczne są minimalne. Widzi nadto, że Powstanie wykazuje poważną siłę polską (jest to okres szczytowy Powstania), że zajęcie miasta w tych warunkach byłoby dla niej politycznie

niekorzystne. Zbyt wiele przecież świat już wiedział o bojowych sukcesach A.K. w Warszawie, aby oddziały polskie można było łatwo i bez głośnego skandalu, na wzór Wilna czy Lwowa, rozbroić. Zbyt głośno już było o ujawnieniu się w Stolicy władz Polski Podziemnej, podległej uznawanemu wówczas w pełni przez Anglosasów i Rządowi Polskiemu w Londynie, aby po zajęciu Warszawy przejść nad tym do porządku dziennego. W tych warunkach Rosja musiałaby wyraźnie ustosunkować się do kwestii polskiej.

W tym zaś okresie byłoby to dla Rosji jeszcze niepożądane. Zbyt świeżym nowotworem był jeszcze komitet lubelski. Rosja nie była jeszcze u szczytu swych sukcesów wojennych i musiała się jeszcze liczyć z Anglosasami. Dlatego też postanawia doprowadzić do upadku Powstania. Oczywiście przy zachowaniu tak charakterystycznych dla Rosji, wykrętnych pozorów.

Jednym z tych wykrętów jest stale później wysuwany zarzut uprzedniego nieuzgodnienia Powstania z Rosją, który pojawia się dopiero po raz pierwszy 17 sierpnia w depeszy Stalina do Mikołajczyka (a więc po 15. 8.).

Zwłoka w zezwoleniu na lądowanie samolotów amerykańskich ma cel dwojaki. Nie dopuścić do skutecznej pomocy anglosaskiej w okresie, kiedy mogła by ona mieć poważne znaczenie dla Powstania, oraz opóźnić ją do chwili własnego natarcia na Pragę, przez co jej efekt polityczno - propagandowy będzie pomniejszony. Natychmiast bowiem po wyrażeniu zgody na lądowanie następują „propagandowe" zrzuty sowieckie o nikłej wartości praktyczno - użytkowej... Zrzuty te stwarzają pozory pomocy sowieckiej, wygodne do odpierania zarzutów całkowitej bierności Rosji wobec Powstania. Ten sam charakter pozornej pomocy posiada wsparcie lotnicze i artyleryjskie, które jest tak kierowane w czasie i przestrzeni, aby nie mogło przynieść rzeczywistego efektu.

Lądowanie batalionu „berlingowców" na Czerniakowie psuje plany sowieckie, gdyż wykazuje, że przeprawa oddziałów sowieckich przez Wisłę była możliwa i wykonalna. Za tę samowolną decyzję Berling ukarany został i usunięty gdzieś „w nieznane" ze swego stanowiska.

Zdobycie Pragi było Rosji potrzebne ze względów wojskowych (likwidacja przyczółka niemieckiego) i politycznych. Rosja zdaje sobie sprawę, że Warszawa będzie zniszczona i ogołocona z ludności, tej ludności, która tak jednolicie i zgodnie manifestowała w walce swą postawę niepodległościową. Warszawa nie będzie wówczas mózgiem i sercem Polski Podziemnej. Stanie się więc łatwym terenem do politycznego opanowania przez „garnitur" lubelski przygotowany dla Warszawy na Pradze. Rzeczywistość wykazała te plany sowieckie i po zajęciu Stolicy w styczniu 1945 z Pragi przybyła natychmiast cała nowa obsada polityczna Warszawy.

Analiza faktów i dokumentów wyraźnie demaskuje politykę sowiecką wobec Warszawy i Powstania. Rosja dążyła do upadku Powstania i cel ten osiągnęła. Nie przewidziała tylko, że w nastrojach politycznych Narodu zmobilizowała przez to przeciwko sobie nieprzejednaną wrogość i nieustępliwe nieprzejednanie.

WŁ. NAŁĘCZ

WSPOMNIENIE O ŁĄCZNICZCE ANNIE

W niedługim okresie odzyskanej wolności, rodzina i szkoła wychowywały dzieci do życia szczęśliwego, radosnego. Według wzkazań Marszałka — „dzieci polskie śmiały się śmiechem odrodzenia". Młode pokolenie swoim rozmachem, inteligencją, szukaniem nowych dróg, duchowym wyzwalaniem się kształtowało przyszłość Polski. Toteż, gdy uderzyły klęski i nieszczęścia, postawa młodych, mając wszystkie cechy niezależnych dążeń, wyraziła się w organizowanym sprzeciwie i w walce z wrogami. Wychowani dla wolności, umieli ci młodzi odrazu być bohaterami w jej obronie, umieli ginąć za to, w czym nie sądzonym im było — żyć.

Ogromna jest lista strat wśród młodych i najmłodszych, którzy czynnie brali udział w walce, prowadzonej w Kraju o wolność, godność, o prawa ludzkie i Boskie. Na zawsze już ta długa lista, która — z rozpaczą powiedzieć to trzeba — jeszcze nie jest zamknięta, będzie tragicznym eposem o młodych życiach, o niedokonanych nadziejach, o przepadłych wartościach. Homer śpiewał o poległym młodzieńcu, że „legł, długu nie zapłaciwszy rodzicom". My inaczej: „polegli, aby dług im spłacili potomni".

Wspomnienia są także jakąś formą spłacania długu. Może kiedyś każdy czyn indywidualny, każda śmierć, każda ofiara tych walk będzie opowiedziana i wyróżniona. Dziś, wspominając jednych, myślimy o tych wszystkich, którzy tak samo, choć inaczej, ginęli na swoich placówkach i posterunkach.

Krystyna Wańkowiczówna miała 24 lata w chwili wybuchu Powstania Warszawskiego. Wychowana w inteligenckim środowisku, w najgłębszym poczuciu wolności, odpowiedzialności, twórczych wartości człowieka, musiała buntować się przeciw niewoli i upokorzeniom. Wszystko bowiem, co działo się w Polsce pod okupacją, było nie do zniesienia dla takich, jak Krystyna usposobień, pełnych żywotności i dumy. Ruch podziemny dawał tylko połowiczne zadośćuczynienie. Trzy lata tajnego uniwersytetu, nabywania różnych sprawności w przewidywaniu ich pożytku w walce, tworzyły rany zbyt ciasne dla polotu, talentu i inicjatywy. Dlatego też wybuch Powstania i udział w nim był dla Krystyny psychicznym wyzwoleniem.

O Krystynie („Annie") są z tego momentu relacje najbliższych: „Do szturmówki poszła z pełną decyzją, samowiedzą i wolą. Była radosna. Poleciała, jak ptak. Wolność, Ojczyzna — wyzwolenie z małego życia codziennego dnia. Nie powiedziała jednak żadnego z tych słów... Nie chciała do służb pomocniczych — sanitariatu, oświaty, pomocy społecznej, choć miała przeszkolenie instruktorki oświatowej. Chciała walczyć w szturmówce — najgoręcej, całą duszą protestując przeciwko wojnie".

Dnia 1 sierpnia pojechała w wojnę — w granatowej układanej spódniczce, w białej bluzeczce, ekwipunek sportowy przytroczony do roweru. Była łączniczką Rafała z grupy „Parasola", tak pięknie zapisanej w Powstaniu. Przydzielona do oddziału Gryfa, brała udział w trudnej i krwawej bitwie na Żytniej i Młynarskiej. Przebiegała z rozkazami pod obstrzałem — uśmiechnięta i wreszcie szczęśliwa. Śmiech i śpiew tych młodych żołnierzy kontrastował z grozą sytuacji. Zdawano sobie z tego sprawę, ale nic przecież nie było łatwe w tej nierównej wojnie, prócz jedynie odwagi.

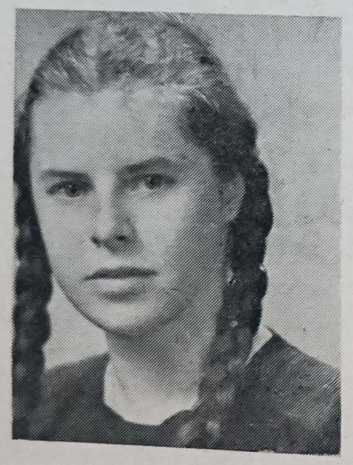

ś. p. Krystyna Wańkowiczówna

Kiedy więc przyszedł rozkaz wycofania się z pozycji, zajmowanej w jednym z domów, a Gryf kilkakrotnie proponował „Annie", by wyszła na tyły — nie chciała. Tu, z żołnierzami była na swoim miejscu, jedynym teraz na świecie. Rankiem dnia 6 sierpnia, w dniu Przemienienia Pańskiego, oddział złożony z 13 chłopców i Krystyny jako czternastej, przebiegł szczęśliwie Żytnią na Cmentarz Kalwiński. Jeden z trzynastki tak opowiada: „Na cmentarzu była odprawa. Staliśmy na baczność a przed frontem Gryf i Jeremi. Potem oficerowie poszli ku bramie, a my poszliśmy ścieżką dalej. Padł granat (— według relacji innych padły trzy granaty —). Padłem i ja ranny. Widziałem jeszcze, że leżą koledzy zabici. I „Anna" —

Łączniczka Zofia widziała potem, jak „leżeli sznurkiem, jeden za drugiem od strony Żytniej. Wszyscy mieli rany szyi lub głowy. ...Wsunęłam rękę pod panterkę Anny: serce nie biło. Kulę dostała w głowę".

Ktoś inny opowiada o poszarpanej sukience (tej układanej, granatowej), i o tym, że Krystyna przebrana w mundur żołnierski pochowana została na Cmentarzu Kalwińskim we wspólnym grobie z kolegami.

Cóż więcej powiedzieć o tej dziewczynie, która miała tylko 24 lata i kochała życie, była utalentowana, sposobna do rzeczy dobrych i pięknych, była życzliwa ludziom, zwierzętom, kwiatom, sprzętom domowym... Przyszły sprawy, które pochłonęły wszystko osobiste i Krystyna Wańkowiczówna nie mogła inaczej...

Potem matka — jak tyle innych matek — szukała jej grobu.

Ale to jest już inny rozdział — tragedii matek:

„Pierwsza nasza wyprawa na Wolę, na Cmentarzu Kalwińskim była zaraz po wyjściu Niemców. Przeszukaliśmy groby, szukaliśmy znaków, krzyżyków. Ziemia była stwardniała mrozem, osłonięta śniegiem. Po środku cmentarza stał zdobyczny wóz niemiecki z amunicją. Groby były pootwierane, znaczona linia okopów. Wszystko było tak, jak pozostawiły sierpniowe walki.

Na wiosnę przekopaliśmy wokół cmentarza ziemię wiosenną, przesiąkniętą wodą. Wola była pusta. Ani jeden dom nie był do zamieszkania.

Latem przekopaliśmy pole. Porosło gęstą trawą. Drewniane płoty spalili na opał okoliczni mieszkańcy. Zarosły bujnie wysokie chwasty. Wycięto drzewa. Znaliśmy już chyba każdy kamień Żytniej, wygląd każdej barykady i cały bieg zdarzeń pierwszych dni sierpnia.

Kopaliśmy ziemię, drużynami przekopywaliśmy gruzy. W jednej z okolicznych piwnic znaleźliśmy na murze napis: „Żołnierze Parasola". Przechodzący robotnik powiedział, że było ich siedmioro. Kto ich zabrał? Gdzie pochowani?

Odnaleźliśmy grób zbiorowy i to miejsce w nim, gdzie złożono siedmiu Powstańców. Dostaliśmy pozwolenie na ekshumację. Było to wtedy, gdy „Akowcy" byli jeszcze tylko „bandytami". Tajemnie w domach robiono trumny. Właściciele ciężarówek pomagali przewozić je na Wolę. Stamtąd na Cmentarz Wojskowy.

Garść kwiatów, prześcieradło z własnego łóżka, „Ojcze Nasz" z grupką przygodnych przechodniów..."

Matka nie rozpoznała ciała Krystyny. Może ktoś przeniósł je na inne miejsce, a może tak się przeinaczyło, aby oczom matki pozostał obraz tamtej, żywej, radosnej, odlatującej z domu na wolność, po wolność, jak ptak...

H. N.

TE WSZYSTKIE SIERPNIE

(Urywki z pamiętnika żołnierza)

15. 8. 1939 *rok*

... w wielu okolicach przeszkadzało w wiosennych robotach, tu u nas i żniwa nie były łatwe — może choć wrzesień będzie naprawdę polski. Daj Boże — chciałbym, żeby siewy jesienne poszły tak, jak lubię: „żeby się za bronami kurzyło"...

Polska

... a popołuduju miałem aż trzy pogadanki o obronie przeciwgazowej, z pokazowym uszczelnianiem domu mieszkalnego.

... ja twierdzę, że wojna będzie! Jestem pewien, że jak co do czego przyjdzie — cały naród stanie pod bronią. Żeby tylko broni starczyło. Podobno jest dosyć.

... a w polu trzeba robić wszystko jak należy. My, żywiciele nie możemy się denerwować. Tak, jak mówił zawsze Ojciec: żeby nie wiem jakie burze i klęski — pamiętaj, żebyś mi w gospodarstwie nie paskudził; na ziarno siewne szczególnie uważaj, bo ziarno rzucane w rolę, jak słowo uczciwego — musi być prawdziwe!...

* * *

15. 8. 1940 *rok. Latrun — Palestyna*

... i teraz już jest nareszcie po wszystkim. Zmachany jestem bardzo, jak zawsze zresztą po takich uroczystościach, ale muszę przyznać szczerze, że i bardzo zadowolony. Brygada pokazała się naprawdę bardzo dobrze. Nawet zimne Anglika otwierali buzie, nie mówiąc już o tubylcach, a zwłaszcza Arabach. Nasz Ali zupełnie się dziś wykończył: przez cały dzień latał po obozie, wykrzykując swoje „dobra lody! zimna, czerwona, czekoladowa, gorąca, — do chrzanu lody, dobra! Wiele kosztuje — 5 milsów jedna gorąca lody, dobra!". A w czasie defilady bił brawo lepiej od zawodowego klakiera i zupełnie ochrypł od entuzjastycznych wrzasków.

Cieszę się, że nawet ta wyklinana przez wszystkich defilada udała się naprawdę. „Kadet" pułkownika przeszedł zupełnie dobrze, pomimo, że orkiestra i oklaski publiki świętego mogły przerazić. Mój mały gniady też mi nie zrobił zawodu, choć musiałem go przed trybunami mocno trzymać lewą łydką, żeby nie zepchnąć Tadeusza, który wiózł proporzec Dywizjonu...

... nie mogłem sobie odmówić przyjemności zapytania panów C. i G. — czy pamiętają, jak po upadku Francji wymyślali mi od „śmiesznych optymistów" i dowodzili, że za tydzień Anglia będzie zajęta przez Niemców. Wyliczali mi nawet, ile bomb niemieckich potrzeba, żeby cała flota brytyjska została zatopiona. Dziś chodzą bardzo buńczucznie i ani śladu u nich tego przygnębienia i zwątpienia, w których celowali za „homskich" czasów. Także O. (n. bene mocno dziś od rana, mimo upału, podgazowany) prezentuje się ogromnie bojowo. Nikt by nie powiedział, że to ten sam, który z takim uporem powtarzał w Homs: „to już koniec wszystkiego"...

... jestem pewien, że czekają nas jeszcze bardzo ciężkie miesiące, ale przecież wierzę, że Niemcy wreszcie udławią się tym, co połknęli, dostaną potem jeszcze mocne uderzenie od Anglików, a może od Ameryki (napewno przystąpi do wojny) — i wtedy klapną, a my wrócimy do Domu...

... od tamtej pory nie mam od Matki żadnych wiadomości. Modlę się, żeby wytrzymała, żeby mogła przeżyć te chwile, kiedy Jej syn będzie z innymi defilował przez ulice Warszawy. Myślę, że przecież Bóg pozwoli wrócić w pokorze do Kraju, żeby go odbudować mogły własne polskie, miłujące ręce. A już chyba nie będzie nikogo, kto by chciał trwać w dawnych błędach i samolubstwie...

* * *

15. 8. 1941 *rok. Marsa Matruh*

Mam dziś służbę, więc jest czas na napisanie kilkunastu zdań przy świetle bardzo chytrze pomyślanej lampki blackoutowej. Mam nadzieję, że Niemcy i Włosi zechcą dziś uszanować nasze święto i dadzą nam spokój z nalotami.

... a przecież to już drugie święto żołnierza obchodzone na obczyźnie. Żeby kto chciał opisać teraz wszystko to, co ten żołnierz przez dwa lata przeżył, miałby tematów napewno na kilka tomów. — Wrzesień, obozy węgierskie i rumuńskie, deportacje do Rosji, męki, poniewierka, tułaczka — i mimo wszystko dalsza wałtka: w Kraju, w Norwegii, we Francji, nad Anglią, na wszystkich morzach, a teraz i w pustyni afrykańskiej...

... a jednak zdaje mi się, że leci jakaś cholera... Trzeba pokręcić moją syrenkę...

Więc istotnie leciał i to nie jeden. Dziś na szczęście zaszczycili bombami tylko rejon stacji towarowej i magazynów. Coś tam nawet zapalili. Było dużo strachu i jeszcze więcej huku — a teraz znowu cicho. Nie zawsze tak prędko się kończy: nieraz nalatują kilkoma falami i wtedy jest gorąco. Specjalnie lubią nasz, polski rejon „obozu warownego" — a że teraz tylko my artylerzyści reprezentujemy tu Brygadę, więc posiewają nas gęstawo.

Znowu gdzieś jęczy... i znowu muszę wyć na mojej hienie. Wyobrażam sobie, jak mnie dziś wszyscy będą klęli.

* * *

15. 8. 1942 *rok. Beit Jiria. Palestyna*

I znowu minął dzień Święta Żołnierza. Po raz drugi winnice i cyprysy palestyńskie stanowią tło naszych przeglądów i defilad świątecznych...

... Nasi chłopcy szli aż ziemia jęczała — nie dziwota, wszystko stare wiarusy karpackie. A na czele każdej baterii — wszystkie moje stare kompany: Janek, Zbyszek, Gieniek, Kazik, Wiluś i „Czelniczek" i drugi Janek...

... pod Alameinem „sytuacja ustabilizowana". I właśnie dlatego pewien jestem, że Brytyjczycy szykują nowy knock-out. A tak jeszcze niedawno było naprawdę krucho. Nawet tu, w Palestynie widać było początki paniki wśród cywilów. Pamiętam, że w owych dniach w Tel-Aviv kiedy Anglicy oddali Marsa Matruh i El Daba) spotkałem w barze nad morzem wielce szanownego O. Jak zwykle w chwilach troski srodze był zalany i, zobaczywszy mnie, chwycił w objęcia a potem dowiedziałem się rewelacyjnej wiadomości, że „to już koniec wszystkiego". Ciekaw jestem, ile razy jeszcze w tej wojnie biedny O. będzie zmieniał wyraz twarzy. ...

... donoszą o nowej fali teroru w Polsce: nowe obozy koncentracyjne, łapanki, egzekucje, publiczne ...

... od moich nie mam nadal żadnej wiadomości, choć wysłałem listy wszystkimi legalnymi i nielegalnymi drogami...

... Panno Święta, której mocą żołnierz polski powstrzymał w 20 roku czerwoną nawałę u wrót Warszawy — dodaj im otuchy, którzy trwają nieustraszenie w Kraju dalekim — pokrzep ich, którzy walczą dniem i nocą, nie ciałami już, umęczonymi do kresu sił, jeno duchem, który jest z Syna Twojego jedynego...

* * *

15. 8. 1943 *rok. Pod Tripoli — Liban*

Wróciliśmy tedy po latach w pobliże tych miejsc, skąd się zaczęła wędrówka nasza „szlakiem Karpackiej Brygady". Jadąc z Iraku, zatrzymaliśmy się na nocleg pod Homs. Nie można powiedzieć, żeby to była urocza miejscowość — a przecież cała wiara karpacka ze wzruszeniem oglądała to miejsce, skąd ród swój wywodzi nasza Dywizja: stare murowane koszary Legii Cudzoziemskiej, resztki drewnianych baraków, które przy nas i dla nas budowano; a tam miała być brygadowa kaplica, a tu była działownia, po drugiej stronie żwirowej drogi pierwsza ujeżdżalnia naszych ułanów; na tamtej górce za drogą tyle razy stały kątomierze naszych zwiadowców i obserwatorów. I tam właśnie Miś znalazł maleńkiego żółwia, a tu zaraz przy szosie do Damaszku odbywały się jazdy pierwszej w dziejach Dywizji szkoły kierowców; przez tamtą bramę wyszła Brygada w pamiętne dni francuskiej klęski — wyszła na daleką drogę swoich wojennych przeznaczeń. Snują się myśli i wspomnienia pozornie nic nie znaczące, a przecież tak drogie, jak pamięć tych wszystkich, którym nie danym było wraz z nami dziś oglądać kolebki Karpackiej; nie ma z nami Emila, Staśka, Bartnika i tylu innych, którzy się pokładli w libijskim piachu...

... a mieszkamy wśród oliwkowych gajów u stóp wysokiego Libanu. Przyje-

Palestyna

chaliśmy tu żeby się szkolić w walce górskiej. A, więc przez góry będzie wiodła nasza dalsza droga. I nie o to dziś nam idzie, ile przed nami mil, ile gór i mórz — tylko serca szarpią się w strasznym niepokoju, czy nie nadarmo? Czy wszystko to, co od roku słyszymy z ust najmożniejszych naszych sojuszników — to gra polityczna, czy prawda, w którą oni wierzą... Sowjeckie obywatelstwo nadali naszym braciom, matkom i dzieciom... Jednym pociągnięciem pióra oderwali połowę Polski, ba — każą nam żołnierzom — synom tego Kraju wierzyć, że wszystko, co było na wschód od Bugu, to ziemie zagrabione przez nas, przez naszych ojców... Jedno kłamstwo za drugim, jedna podłość większa od drugiej... a my ćwiczymy się w walce wysokogórskiej do przyszłych bitew... Los nam wyznaczył najtrudniejszą drogę — ale wierzymy, że innej nie ma, bo jedna jest zawsze prostą linia do celu Wszystkie inne to kompromis...

Minął dzień czwartego Święta Żołnierza, obchodzonego zdala od Kraju... Z któregoś namiotu słychać słowa naszej pieśni: „zadziwimy świat swoją mocą, husarskie nam skrzydła łopocą...

* * *

15. 8. 1944 *rok. Senigalia — Italia*

Dopiero dziesiąta godzina a już upał cholerny. Co to będzie potem. Trudno myśli zebrać...

Znowu dzień Święta Żołnierza. Jakże odległe wydają się czasy naszych ćwiczeń w Libanie. Przydały się — nad Sangro, pod Górą Klasztorną, może przydadzą się jeszcze. Tymczasem pchamy się wzdłuż wybrzeża adriatyckiego. Podobno niedługo dadzą trochę odpoczynku...

... z moich najbliższych kolegów i przyjaciół nie został tu już nikt: jedni w poszumie śmigieł samolotowych „dziwią świat", inni poszli do Kraju pracować, jeszcze inni zostali na włoskich cmentarzach. Tadeuszowi lecą gdzieś daleko — postrzaskaną nad Chienti rękę...

... od moich najbliższych z Kraju nie mam wiadomości. Nie wiem nawet czy żyją jeszcze... Śniły mi się dziś wszystkie trzy, takie, jakie pamiętam z dnia odjazdu na wojnę, tylko Matka jakby jeszcze bardziej siwa...

... w Warszawie Powstanie! Daj im Boże zwycięstwo i naszą Polskę wolną...

... a my dalej uparcie idziemy i jak dotąd płonne okazały się moje obawy sprzed kilku lat, czy wystarczy wszystkim sił do wytrwania: wystarczyło — i dziś jestem pewny bardziej niż kiedykolwiek, że wystarczy do końca.

Myślę, że jeśli kiedy szukałoby się najodpowiedniejszego napisu na pomnik polskiego żołnierza, który się bił o wolność — najtrafniejszy byłby: „Contra spem speravo".

* * *

15. 8. 1945 *rok. Rzym*

Niemcy rozbite, Japonia pokonana — mamy pokój. To znaczy, że wojna się skończyła, że cele wojenne zostały osiągnięte i zwycięzcy będą mogli nareszcie zażywać w spokoju owoców zwycięstwa. Otóż nie! Nikt jeszcze nie może spocząć na laurach, bo właśnie dziś pokój świata jest nie mniej zagrożony niż sześć lat temu. Jeszcze nigdy w dziejach ludzkości nie ciążyła na nikim tak olbrzymia odpowiedzialność za losy ziemi, jak dziś ciąży ona na tych, w których ręce dał Bóg broń straszliwą. Przyszła chwila, która musi być wyzyskana do naprawienia wszystkich błędów popełnionych w ciągu minionych lat.

... Jestem przekonany, że teraz już bardzo szybko zajdą okoliczności, w których i my Polacy zdobędziemy prawo do życia. Jeżeli by jednak ktoś mógł zapomnieć o naszych prawach — czas najwyższy zażądać wykonania zobowiązań danych nam właśnie przez tych, w których rękach są wszystkie losy świata...

* * *

Sierpień 1946 *rok. Italia*

... za kilkanaście dni 15 sierpnia — Święto Żołnierza...

Taki byłem pewny jeszcze rok temu, że już zbliża się początek nowej lepszej ery świata, a dla nas żołnierzy-tułaczy przychodzi nareszcie kres wędrówki. A dziś?

Italia

— A dziś widzę, że pomyliłem się o dwa akty, że o dwie części więcej liczy ta wielka tragedia, której jesteśmy widzami i aktorami zarazem.

Ten akt, który się dla nas już rozpoczął — to będzie męka i szczęście trwania przy Sztandarze Wolności. Dopiero — po miesiącach czy latach nawet, przyjdzie akt ostatni: Sąd Boży i Zwycięstwo... Contra spem speravo i będę tak wierzył do ostatniego tchu...

... W tym roku dzień swego Święta żołnierz polski będzie święcił z zaciśniętymi zębami.

STARB

Libia

REPORTAŻ BATALISTYCZNY

O książce Wańkowicza*) napisano już kilkanaście conajmniej recenzji i wszystkie one prawie zajmują się głównie dwoma osiągnięciami tego niezwykłego pisarza. Tak więc recenzenci, którzy mają coś do powiedzenia na tematy poruszane w „Bellonie" traktują ją przede wszystkim jako studium bitwy. Wszyscy inni zaś, którzy mają w ogóle bardzo niewiele do powiedzenia, popuszczają sobie ochoczo cugli w rozważaniach z zakresu polskiej hagiografii narodowej. Oczywiście trudno zaprzeczyć, że książka Wańkowicza jest i poważną pozycją w polskiej literaturze wojskowej i „herbarzem purpurowym", lub jak to zgoła utrzymują niektórzy „książeczką do nabożeństwa 2. Korpusu". W takim jednak razie trzeba się wreszcie na coś zdecydować i albo zalecić jej lekturę tylko oficerom sztabowym, albo też pomyśleć o jej wydaniu kieszonkowym. W obecnym bowiem formacie i objętości trzy tomy tej „książeczki" można by z największym tylko trudem dołączyć do przepisowego bagażu oficerskiego. Może więc najrozsądniej byłoby uprzytomnić sobie wreszcie, że „Bitwa o Monte Cassino" jest po prostu także i książką, czyli utworem literackim, o którym wypadało by i od tej, wcale nie najmniej ważnej strony, parę uwag analitycznych wypowiedzieć.

Przystępując do pisania tak ogromnego dzieła o tak niewielkiej (na czas licząc) akcji, musiał Wańkowicz przede wszystkim uporać się z zagadnieniem reportażu wojennego. Przeciętny reporter jest człowiekiem, który pisze tylko to, co widzi, a widzi tylko to, co mu pokażą. Oczywiście oddech takiego pisarstwa bywa czasem za krótki nawet na zwykły felieton, a cóż tu dopiero mówić o nowej polskiej trylogii. Wańkowicz, rozpatrzywszy w swojej kuchni literackiej materiał, zrozumiał odrazu, że jeśli miałaby to być interesująca książka o jednej bitwie, to trzeba pisać dokładnie o każdym jej epizodzie z osobna i mieć jednocześnie stale przed oczyma wizję całości. Czyli, że trzeba reportaż wojenny zamienić na reportaż batalistyczny, a intuicją pisarską nadrobić to, czego nie potrafi dojrzeć obserwator, lub opowiedzieć uczestnik.

Można wymienić z grubsza parę zasadniczych środków, którymi posłużył się Wańkowicz, ażeby osiągnąć swój cel. Pierwszy to aspekt czasowy tej książki. Nadając opisowi z punktu mordercze tempo, przerzucając się doskonale z miejsca na miejsce bez najmniejszej nawet straty czasu, osiąga Wańkowicz efekt współrzędności bardzo wielu akcji, które choć opowiadane w nieuniknionej w takim wypadku kolejności i literackim następstwie, działy się niekiedy istotnie w jednym czasie. Wielopłaszczyznowość wypadków, roztopiona dzięki szalonemu wyścigowi z rzeczywistym biegiem działań wojennych w ogólnej wizji bitwy, rozgrzewa jak gdyby i rozkołysuje wyobraźnię czytelnika, przygotowując ją, podobnie jak u Sienkiewicza, do współudziału uczuciowego.

Uzyskawszy tę zasadniczą gwarancję długiego oddechu poświęca się Wańkowicz budowie epizodów, które nie są u niego rzecz prosta odpowiednikami normalnych, reportażowych wykrawków akcji za szeroko pomyślanej i panującej na skutek tego nad pisarzem, ale integralnymi częściami gospodarnie zaplanowanej całości. Intuicji i doświadczeniu pisarskiemu Wańkowicza zawdzięczać należy, że nie zawierza on na szczęście zbyt lekkomyślnie relacjom uczestników bitwy. Wańkowicz wie dobrze, że żołnierz, który brał udział w jakiejś akcji, pamięta tylko najbliższe i bardzo ograniczone pole widzenia i często niespodzianką dla niego jest, gdy się dowie po wszystkim jak stały sprawy o kilkadziesiąt metrów na lewo lub na prawo. Dopiero później wyobraźnia, wzbogacona opowiadaniami współtowarzyszy usiłuje, już ex post oczywiście, wmontować siebie samego w jakąś sensowną sytuację. Dlatego właśnie Wańkowicz stara się dosłyszeć i dojrzeć tylko główne zręby opowiadań swych licznych współpracowników a resztę buduje jako pisarz sam, mając na względzie nie to, jak było „naprawdę" (co jest zawsze niesłychanie trudno stwierdzić nawet metodą porównań i konfrontacji „zeznań"), ale jak powinno było, lub nawet **musiało** w danym wypadku być.

Trzecim i niemniej ważnym czynnikiem sukcesu Wańkowicza jest umiejętne rozwiązanie problemu psychologicznego w ramach reportażu. Niepodobna oczywiście bawić się w reportażu (to nie powieść!) w jakieś skomplikowane dociekliwości psychologiczne i łamać rwący nurt akcji subtelnymi dygresjami na temat wewnętrznych przeżyć bohaterów. Z drugiej jednak strony, gdyby żołnierze, wymieniani w tej książce po nazwisku, nie byli naszkicowani chociaż paroma kreskami jako żywi ludzie, otrzymalibyśmy zamiast autentycznego obrazu bitwy suchą kronikę wypadków. Wańkowicz poradził sobie z tym trudnym zagadnieniem w ten sposób, że każdego uczestnika zaopatrzył w krótkie niejako curriculum vitae i społeczny rodowód. Dzięki temu czytelnik dysponuje zawsze pewnym skromnym materiałem, który pozwala mu dojrzeć w „Bitwie o Monte Cassino" w najogólniejszych choćby zarysach nie tylko żołnierza w akcji, ale i człowieka w wojnie.

Czwarty sekret wartości „Bitwy o Monte Cassino" można na szczęście wymienić po nazwisku i to słowem tak krótkim, że recenzent żadnej chyba na świecie książki nie miał jeszcze tak ułatwionego zadania. A więc: Gliwa. Czujna i troskliwa opieka tego grafika czyni zeń właściwie współautora książki Wańkowicza. W sumie więc „Bitwa o Monte Cassino" jest dziełem dobrego i solidnego warsztatu pisarskiego.

Na koniec nie mam prawa zatajać przed czytelnikiem pewnej, dość pesymistycznej uwagi marginesowej. Przeczytałem książkę Wańkowicza niedawno i muszę powiedzieć, że dobrnąłem do końca z pewnym trudem. Z początku sądziłem, że jako jeden z uczestników tych walk nie wytrzymałem po prostu naporu tej legendy, którą karmiłem się nieustannie już od dwóch lat. Teraz jednak wiem napewno, że powód jest i tym razem literacki. Wańkowicz jako pisarz podobny jest trochę do gracza, który hazardując się pcha odrazu do banku wszystkie posiadane pieniądze i rzuca na stół wszystkie karty. Wydaje mi się, że cały arsenał środków pisarskich zużyty został przez Wańkowicza już w pierwszych paru rozdziałach książki, a potem puchnie ona już tylko dzięki dobremu treningowi (co za paradoks sportowy! — ale w literaturze jest inaczej) rutynie i dobremu startowi. Pisarz tego typu co Wańkowicz musi się zawsze oszczędzać i, jeżeli nawet nie ma po temu danych, musi robić wrażenie, że nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, że na „to najważniejsze" trzeba ciągle czekać. Toteż nie jestem pewien, czy wszyscy czytelnicy śledzić będą ten wytrwały bieg maratoński z takim zainteresowaniem, z jakim przyglądali się wspaniałej stumetrówce, która go rozpoczęła.

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

*) Melchior Wańkowicz. Bitwa o Monte Cassino. Wydawnictwo Oddziału Kultury i Prasy 2. Korpusu. Opracowanie Graficzne S. Gliwa. Rzym — Mediolan 1945.

ROMANS, KTÓRY WSZEDŁ DO HISTORII

Postacie Ludwiki Śniadeckiej i Michała Czajkowskiego Sadyka są klasycznymi wzorami duszy polskiej. Poezja i fantastyka połączone z twardym realizmem czynów politycznych, gorączka walki i cierpliwe budowanie przez pół wieku, zdolność znoszenia najstraszliwszego położenia i raptowne zniechęcenie, prawie załamanie, pyszny idywidualizm i surowa troska społeczna, rozmach światowy i tęsknota za Bołtupiem i Halczyńcem. Zrozumieć, ujawnić, narysować te dusze, grające wszystkimi odtonami polskości — to sprawa niełatwa. Odgrzebać spod zwału historii, plotki, legendy, orientacji politycznej te dwa kryształy, aby się w nich odbiło słońce prawdy, trud to ogromny. Przedrzeć się przez gąszcz indywidualistycznej polityki polskiej od Kościuszki po Wielopolskiego, ustalić ład moznych rodów i rodzin, czyniących na własną rękę politykę polską, to bezmiar pracy.

Pracy tej podjęła się wybitna polonistka ze szkoły Ign. Chrzanowskiego, Maria Czapska, w monografii wydanej niedługo przed wojną, przedrukowanej obecnie przez Polski Dom Wydawniczy w Rzymie w sposób, przynoszący zaszczyt temu wydawnictwu. Tytuł książki „Ludwika Sniadecka". Sniadecka i Czajkowski, to własność zarówno historii literatury, jak i polityki polskiej. Zamiarem Czapskiej było sporządzenie portretu Śniadeckiej, odtworzenie romansu jej życia. Mniej dzieło, a więcej osobowość, mniej zmaterializowane wyniki, a więcej drogi ducha zajmują pióro Czapskiej. Powstał portret romantycznej heroiny polskiej, ustrojonej w powłóczystą biel sukni i fantastycznego kozaka, pędzącego po stepach na koniu. Surowych rysów, które wykształciła wola i zmarszczek, powstałych od nieukojonych myśli nie widać wyraźnie w portrecie. Czapska zagarnęła romantyczne małżeństwo znad Bosforu dla literatury.

A przecież Czajkowscy, to jeden z najpatetyczniejszych rozdziałów polityki polskiej. Kiedy się porównywuje pracę tych dwojga ludzi, którzy przez dziesiątki lat wpływali bezpośrednio na politykę kilku mocarstw, którzy w chwiejącym się państwie ottomańskim stworzyli wielki i bezpieczny azyl dla mas Polaków, stworzyli formacje wojskowe i osadnictwo polskie, zbudowali ideę federacji ludów Rzeczypospolitej i ludów słowiańskich, sięgali wpływami na dwór cesarski i świecili Krajowi wieczną gotowością i nadzieją, kiedy się porównywuje pracę tych dwojga ludzi z czasami naszymi, trudno się oprzeć przekonaniu, że pokolenie nasze skarlało, zmalało dziecinnie, stoczyło do prymitywu.

Sycić się też może serce w dziejach Śniadeckiej i Czajkowskiego, poić się dumą narodową w ich dziele przeogromnym, które do dziś jest żywe. Turcją, zaprzepaszczona całkowicie przez naszą dyplomację, pozostała tradycyjnie wierna przyjaźni z Polską, a kolonia adampolska z grobowcem Ludwiki Śniadeckiej i kilku setkami wspaniałych rasowo potomków żołnierzy Czajkowskiego jest dalej najwzorowszą osadą w Turcji, której z zazdrością przyglądał się osobiście Kemal Pasza. Tysiące podobieństw, nauk, wzorów, doświadczeń wydobyć można z monografii Czapskiej i stwierdzić, że historia wymaga od Polaków czynów ponad granice wytrzymałości innych narodów, że posłannictwo Polski, to zobowiązanie do najcięższych trudów, że nie zmieni się nic, jeśli przez nasze własne dusze nie powieje wicher dziejowego natchnienia, jeśli z miłości nie potrafimy wykrzesać rozumu i woli.

Ludwika Śniadecka-Sadyk
(Ze zbiorów Michała Pawlikowskiego w Medyce)

Książka Czapskiej, przynosząc korzyść olbrzymią, przypomina, że wychowanie narodowe musi oprzeć się mocno na fundamencie własnych dziejów i że zrobiliśmy tak mało, aby uczyć Polaków na obczyźnie własnej historii. Najpiękniejsze poematy nie dadzą duszom tego, co da dobre dzieło historyczne. Czapska nie mogła uniknąć „strefy ulewy i grzmotu", chociaż intencją jej był tylko romans życia Czajkowskich. Lepiej, płynniej, ciekawiej napisana jest pierwsza część monografii, obejmująca dzieje Ludwiki z dworów i salonów. W drugiej części widoczny jest trud Czapskiej, borykanie się z masą zjawisk społecznych i politycznych, od których autorka próbuje ucieczki w głąb duszy bohaterów. Można by nawet wytknąć Czapskiej nazbyt literackie ujmowanie zjawisk politycznych i składanie czynów Czajkowskiego na karb romantyzmu jego duszy, stąd lekceważenie poczynań na miarę historyczną. Tak np. z aprioryczego założenia, że Sadyk miał przyjaźń sułtana i Turków, nie widać ile w to trzeba było włożyć potęgi myśli i woli. Ale nie tu miejsce na szczegółową analizę.

Romans Ludwiki Śniadeckiej związany jest trwale z historią Polski. Śmiało można twierdzić, że Śniadecka to był geniusz. Ona była kierowniczką polityki polskiej w Turcji, ona wpływała na całokształt tej polityki wszędzie indziej, jej czar olśniewał Słowackiego, Mickiewicza, Miłkowskiego i wszystkich współczesnych, którzy się z nią zetknęli. Stała na szczycie sprawy, o której pisał Gustaw Flaubert, kiedy w roku 1859 powrócił z wycieczki do Adampola: „Miłość ojczyzny może zaprowadzić daleko, dosłownie, bardzo daleko..."

Bo Polacy mogą żyć albo we własnych granicach, albo dla nich nie ma żadnych granic.

JAN BIELATOWICZ

DO KSIĄŻKI

Wyjdź duszko biała z niebieskiej szuflady
w tiulowej szacie pleśni zapomnienia
oprawna k iążko, rzucona be ładnie
— pokaż swą twarz i poraź nas
milczentem

rozumnych głębin, jak ból dokuczliwych
zastukaj dobrym sercem, strugą leśną
popłyń ze stronic, których myśli żywe
jak liść na suszy pożółkły przedwcześnie.

Mów dawna książko ludziom
papierowym,
Gdy sennie patrzą na nas zza przyłbicy
ogromnych dziejów, zamyśleń wiekowych,
o naszych czasach zbrojnej gołębicy,

co miast pokoju niesie obłęd duchów
nieziemskich potęg, błyskawic rapiery,
kalecząc słowa i nadzieje kruszące
dla złudnych idej i butnej chimery.

Weź serce swoje i w pustej szufladzie
napowrót ukryj i ludzi swych cisz
w granicach świata płóciennych okładzin
wobec tryumfu namiętnych okrucieństw.

Nad nami Nike chmurne łamie pióra
znużonych skrzydeł i cóż, brawa biją
— schodzimy z ludźmi twoimi pochmurnie,
by z pleśnią z kartek patrzyć aż skruszeje.

JÓZEF ŻYWINA

„NAJPIĘKNIEJSZE DNIE“

W końcu 1939 i na początku 1940 roku, więzienie mińskie napełniło się wielotysięczną rzeszą ludzi, aresztowanych przez władze sowieckie w dzielnicach wschodniej Polski. W celach kobiecych, poza obywatelkami polskimi wszelkiego wieku i stanu, były też kobiety miejscowe ze wsi i z miasta, kryminalistki i polityczne. Te ostatnie siedziały za nielegalne przekroczenie granicy polskiej, za udział w rzekomych spiskach antysowieckich, za nacjonalizm białoruski, za sympatie polskie. Młoda poetka białoruska była aresztowana za wiersz, napisany w 1939 roku na cześć bohaterskich lotników polskich.

Mijały dnie, tygodnie, miesiące. Jakimś cudem ludzkiej przemyślności, mimo krat i zamków, bram i straży, strzępy wiadomości ze świata przenikały do więzienia i obiegały z szybkością iskry elektrycznej cały gmach. Wiedziano więc, że nie prawdą jest, jakoby Churchill miał się układać z Hitlerem i oddawać losy polskie w jego ręce (wiadomość głoszona przez „śledowatieli"), że Anglia się trzyma, że Hitler wyszczerbił zęby w nalotach na Londyn, że narasta konflikt pomiędzy Niemcami a Rosją. Takimi wieściami więźniowie żyli, dzięki tym wiadomościom mogli trwać w oporze.

Po wielomiesięcznym śledztwie, wyrokiem sądu mińskiego N.K.W.D., jesienią 1940 roku została Halina skazana na 10 lat ciężkich robót za „działalność kontrrewolucyjną". Elę zaś, córkę lekarza z Piińska, skazano w tym samym czasie na cztery lata katorgi za należenie do harcerstwa i „organizacji kontrrewolucyjnej".

Halina miała lat 35. Drobne, regularne rysy szpeciła blizna na policzku — pamiątka śledztwa. Ciemne włosy były gładko zaczesane, piwne oczy patrzyły śmiało i szczerze. W uśmiechu odsłaniała równe, białe zęby, uśmiech ten, pełen uroku, był radosny i krzepiący zarazem.

Ela miała lat 17, niewyrobione, dziecinne jeszcze rysy, twarz jakby spuchniętą i rudozłote, krótko ostrzyżone włosy. Nad niebieskimi oczami łuki brwi ściągały się z wyrazem skupienia i powagi.

Kobiety już zasądzone należały do „arystokracji" więziennej. Nie wzywano ich po nocach na śledztwa, nie groziły im już wielogodzinne indagacje, obleśne zalecanki, ordynarne wyzwiska i wymyślne tortury, nie stosowano wobec nich „wodnych", ani „gnojnych" karcerów. Mimo ciężkich wyroków były śmielsze, swobodniejsze, często nawet pełne nadziei na jakąś zmianę: — wojnę, amnestię? One rej wodziły w celach, gdzie normalnie na przestrzeni 6 × 10 m. koczowało na pryczach i betonowej podłodze około 100 kobiet w ciasnocie, brudzie i zaduchu, zdawałoby się nie do wytrzymania.

Nad celą kobiecą, w której siedziały Halina i Ela, była cela cudzoziemców, Francuzów i Anglików, zbiegłych z niemieckiej niewoli, których władze sowieckie po przekroczeniu linii Ribbentrop-Mołotow, zamiast przekazać pod opiekę odnośnych ambasad, jak się tego zbiegli jeńcy spodziewali, wyłapywały pod zarzutem szpiegostwa i często rozstrzeliwały. Halina i Ela, znając jako tako język francuski, zawiązały korespondencję z celą cudzoziemców. Pisano na bibułkach od papierosów zaostrzoną zapałką z początku krwią, później rozpuszczoną czerwoną pigułką od bólu głowy. Korespondencje spuszczano i wciągano na nitce.

Rozmawiano też całymi dniami, stukając w ściany, albo w rury kanalizacyjne. W przepełnionych celach, w nieustannym gwarze rozmów, nieraz kłótni, można było przy pewnych ostrożnościach zataić te poczynania przed okiem dozorcy w uchylonym „judaszu".

Niedzielami odprawiała Halina wspólne nabożeństwa. Wśród uczestników tych nabożeństw były kobiety, które nie znały słowa Bożego i takie, które zatraciły w ciągu lat wspomnienie tych słów i ich znaczenie. Nie mogąc się oprzeć wzruszeniu, wybuchały nieraz płaczem, płakać zaś równie jak modlić się głośno, było wzbronione.

W dnie powszednie pracowały obie „w szkole". Uczyły czytać i pisać po polsku białoruskie dziewczęta. Nauka odbywała się węglem na ścianie lub patykiem na rozsypanym popiele, a uczennic chętnych i gorliwych było zawsze dużo. Umieć czytać i pisać po polsku było dla tych dziewcząt jakimś awansem kulturalnym.

Niebawem wykryło się na skutek kilku nieostrożności, że w celi nr. N. N. poczynania te organizuje Halina przy pomocy Eli. Jako winne przekroczenia więziennego regulaminu zostały obie skazane na cztery dni karceru.

Karcer dla Haliny nie był nowiną. Siedem miesięcy z przerwami siedziała w karcerze w okresie śledztwa, w ciągu pierwszej zimy wojennej. Przechodziła wówczas przez ręce 33 "śledowatieli" i każdy próbował na niej swoich sposobów; karcer zaś, zwłaszcza zimą, był jednym ze skuteczniejszych dla wymuszania zeznań. Ale Ela nie znała karceru, a zima jeszcze trwała, druga zima wojenna, równie nieubłagalna w swojej surowości, jak pierwsza.

Poszły więc w asyście dwóch uzbrojonych enkawudzistów.

Karcery znajdowały się w podziemiach mińskiego więzienia. Podłoga betonowa, ściany bielone wapnem, żadnego sprzętu, cementowe wzniesienie, stanowiące siedzisko i legowisko zarazem; ani siennika, ani koca; jako pożywienie jeden litr wody i 250 gramów chleba dziennie; żadnego światła, poza słabą żarówką u sufitu.

Okazało się, że dano im karcer „gnojny". Karcery gnojne były to cele, których podłogę zalewano kilku wiadrami nieczystości, opróżniając w nich „parasze" z cel zbiorowych. Karcery gnojne dawano tym, którzy byli pod śledztwem. Halina zaprotestowała energicznie, obie były już zasądzone, ukarane dyscyplinarnie przepisowym karcerem. Karcer „gnojny" im się nie należał. Żądała miotły i ścierki krzyczała, groziła, póki dozorca nie ustąpił. Znał przepisy.

Ale poza zalaną nieczystościami podłogą okazało się, że ściany celi były pokryte pornograficznymi rysunkami i napisami — dzieło poprzedniego jej mieszkańca, jak się później okazało, sowieckiego oficera. Te „freski", wykonane z pasją i nawet umiejętnie, postanowiła Halina również czym prędzej usunąć. Nie chciała, aby oczy 17-letniej Eli patrzyły na to przez jedną nawet godzinę.

Zabrały się do roboty. Po oczyszczeniu karceru, wymieceniu i zlaniu wodą, Halina kazała Eli odpocząć, a sama drewnianymi chodakami zabrała się do zacierania „fresków". Potem wspólnie pracowały nad ścianami, póki ich doszczętnie nie oczyściły. Noc zastała je na tych zajęciach, słyszały bowiem, że na korytarzu zmieniano wartę. Ułożyły się na betonie, przytulone jedna do drugiej, przykryte płaszczem, ale spać nie mogły, coraz to musiały wstawać, chodzić, rozgrzewać się gimnastyką.

Karcery sąsiadowały z celami śmierci. Skazańcy czekali tam po kilka lub po kilkanaście miesięcy na wykonanie wyroku. Kilku z tych skazańców znały z imienia i nazwiska. Janek tam siedział, brat Serafiny, towarzyszki z celi więziennej. Został skazany za działalność spiskową w 1938 roku. Przekradał się przez granicę polską, co dowiedli, do reszty rzekomych zbrodni (antysowieckiej konspiracji) przyznał się na torturach. Wykonanie wyroku śmierci odwlekano, chodziło bowiem sędziom o „oczną stawkę" z siostrą, aresztowaną dopiero dwa lata później i o wykrycie dalszych rozgałęzień spisku. Serafina skonfrontowana z bratem ujrzała zamiast pięknego chłopca, jakim był Janek w 1938 roku, marę ludzką, żałosny łachman człowieka. Drewnianym głosem oskarżał ją o działalność kontrrewolucyjną, patrzył na nią tak, jakby jej nie widział. Skoczyła ku niemu z krzykiem, biła go, przeklinała, dowodziła, że jej zawsze nienawidził, chciał zgubić, że jest oszczercą, łajdakiem, sukinsynem... (Musiała się przecież ratować. Gdzieś na wsi, koło Kojdanowa zostawiła dwoje drobnych dzieci...).

Odprowadzona do celi popadła w skrajną rozpacz, szlochała spazmatycznie, rwała włosy, tłukła głową o mur. Janek! Brat ukochany! Ręce i nogi by mu całowała, klękłaby przed nim — męczennikiem, a ona go biła po skatowanej głowie, szarpała, znieważała!

„Bożeczka, Bożeczka! — jęczała po nocach — już by lepiej przepaść z nim razem! Bożeczka, zbaw od męki! Moje biedneńkie dziatki!"

Gdzieś w pobliżu karceru Haliny i Eli była zapewne cela Janka (sprawa nie była jeszcze zakończona) i cela drugiego chłopca z partyzantki grodzieńskiej, narzeczonego innej towarzyszki więziennej, i cela jednego z Anglików, skazanego również na śmierć. W innych celach przebywali prawdopodobnie też Polacy, albo Białorusini, może i Rosjanie, wojskowi, czy urzędnicy z terenów okupowanych. Działalność N.K.W.D. w owe lata sięgała daleko i głęboko w nowozajęte dzielnice wschodniej Polski, rozciągając baczną kontrolę nad 19 kategoriami „podejrzanych" obywateli polskich i nad własną okupacyjną armią. Ludzie w tych karcerach byli żywcem pochowani.

Kiedy dozorca otworzył drzwi celi, by zabrać „parasze", podać wodę i chleb, Halina natarła nań tak gwałtownie, że się cofnął na korytarz. Skorzystała z chwili jego zaskoczenia, żeby bardzo głośno rzucić kilka zdań po polsku — ostatnie wiadomości polityczne:

— Opór Anglii rośnie, lotnictwo polskie broni Londynu, w Szkocji tworzy się nasza armia. W Kraju...

Ale dozorca pchnął ją brutalnie do celi; nie zrozumiał, co mówiła, ani do kogo, krzyknął więc jak na wariatkę i zatrzasnął okute drzwi.

Tak nastał drugi ich dzień w karcerze.

U sufitu tliła się rudym światłem żarówka. A na dworze było może słońce? Śnieg się iskrzył, dymy wznosiły się prosto ku niebu?

W Polsce to już pewnie pachnie wiosną — rozważały — dzwonią rynny, ćwierkają wróble, wierzby już puściły bazie, srebrzyste, puszyste kotki...

W Armii Polskiej w Z.S.R.R. po wyjściu z więzień i łagrów

— Pina wylała — westchnęła Ela — może już ptaki wracają?"

Przy sprzątaniu znalazły kawałek cegły — o radości! Skarb „bezludnej wyspy"! Kawałkiem cegły można pisać, można rysować na ścianie. Postanowiły więc ozdobić karcer po swojemu. Odchuchały ręce, rozplanowały swoją „kompozycję" i zabrały się do dzieła. Rysowały na zmianę wieże kościelne i kwitnące gałęzie: palczaste liście kasztanów i pierzaste akacje, ich stożki i grona kwietne, harcerskie „Czuwaj!" wśród dzwonów i krzyżyków. Ela wdrapała się na ramiona Haliny, żeby sięgnąć aż do sufitu i umieścić symbol wiary, nadziei, miłości i jeszcze ostatnie słowa harcerskiego hejnału „Bóg jest tuż!".

Cegła kruszyła się w zgrabiałych palcach, do łez bolały wzniesione w natężeniu ręce. Ela chwiała się na giętkich ramionach przyjaciółki — ale nie ustawała, póki nie wykonała zamierzania.

„Bóg jest tuż!" — pięknie to wykaligrafowała ostatnim ułamkiem cegły. Zeskoczyła na ziemię, rozcierając skostniałe dłonie. Obie opadły na swoje siedzisko, Eli zrobiło się słabo, Halina silniejsza, rozcierała jej ręce i nogi.

Potem wróciła znowu nękająca świadomość istnienia sąsiadujących z nimi skazańców, tych żywcem pochowanych, do których nie docierał żaden głos ze świata, ani ludzkie spojrzenie. Byli jak umarli, mimo męki cielesnej. Postanowiły zaśpiewać dla nich.

Ela była pierwszą śpiewaczką w swojej drużynie, miała głos dźwięczny, metaliczny, choć nieuczony. Lubiła śpiewać, przy ogniskach, w czasie marszu ona intonowała, jej głos zawsze wybijał się nad innymi. Szum lasu, trzask płonących gałęzi, plusk rzek i potoków towarzyszył jej pieśniom na niezapomnianych harcerskich wycieczkach. Teraz miała śpiewać w tym lochu dla skazańców.

— Zaczynaj — prosiła Halina — ja będę ytórowała.

Ela wstała, złożyła ręce jak do modlitwy i karcer mińskiego więzienia nr. NN. zabrzmiał nutą starej, ulubionej piosenki:

Za Niemen hen precz,
Koń gotów i zbroja,
Dziewczyno ty moja,
Uściśnij, daj miecz...

Z każdą zwrotką głos dziewczynki się rozgrzewał, nabierał dźwięku i mocy. Halina wtórowała.

Dozorca przyczłapał, zaczął stukać w drzwi, potem walić pięściami: „Mołczat!" — krzyczał — Piet' nie lzia!" — Ale one śpiewały pieśń za pieśnią. Na zakończenie Ela zaintonowała „Z tej biednej ziemi, z tej łez doliny..." i wieczorny harcerski „Hejnał":

Idzie noc,
Słońce już
Zeszło z gór,
Zeszło z pól,
Zeszło z mórz.
W cichym śnie
Spocznij też —
Bóg jest tuż...

Dozorca dał spokój stukaniu i krzykom, może sam wolał słuchać pieśni aniżeli jęków, może czas prędzej mu schodził przy tych melodiach?

I tak minął drugi dzień i nastała druga, bezsenna noc w karcerze. Tej nocy płakały obie z zimna i wyczerpania. Ale nad ranem, kiedy zjawił się inny dozorca, Halina znów skoczyła ku drzwiom i zdążyła krzyknąć: „Będzie wojna z Rosją!". — Drzwi trzasnęły i żołnierz klął po swojemu, zasuwając rygle.

Zjadły chleb bardzo wolno, wypiły mętną wodę i zaczęły znowu śpiewać. Dozorca milczał. Śpiewały pieśni religijne, narodowe, harcerskie, żołnierskie, kolędy, hymny i marsze. Wszystko, co pamiętały, wszystko, co tylko mogły sobie przypomnieć z lat dziecinnych. Ela z trudem wyciągała już w końcu wyższe tony. Zbliżał się wieczór trzeciego dnia.

Cóż mogła dać tym, którzy tu zostaną? Tylko te pieśni — w pieśniach całą duszę. Gdy śpiewała „Pod Twoją obronę", głos załamał się jej łkaniem... „o Pani nasza, Pośredniczko nasza, Pocieszycielko nasza, z Synem Twoim nas pojednaj, Synowi Twojemu nas oddawaj..."

W korytarzu rozległ się tupot żołnierskich butów, odsunięto rygle, zgrzytnęły klucze: „wychadi!"

Wyszły. Mijały jedne za drugimi głuche, okute drzwi cel śmierci. Jeden żołnierz z przodu, drugi z tyłu. Echo ich poczwórnego kroku odbijały ściany podziemnych korytarzy. Schody, galerie, jeszcze schody — wreszcie cela, ich dawna izba więzienna, zatłoczona, cuchnąca. Powitano je okrzykami, serdecznie: „No, jakże tam — pytały kobiety — bardzoście zmarzły? bardzo zestabły?"

Zrobiono im miejsce na pryczy. Halina uśmiechała się, ściskając ręce towarzyszek, patrzyła na Elę. Ela podniosła swoją zsiniałą twarzyczkę, ściągnęła brwi i — zająknąwszy się — zawołała nagle z uniesieniem:

— To były najpiękniejsze dni w moim życiu...

DOROTA OBUCHOWICZ

KOŁCHOZ „ZWYCIĘSTWO REWOLUCJI“

Zastanawiałem się: iść do Wilna na piechotę, czy też jechać pociągiem. Byłem zmęczony długim marszem i postanowiłem zaryzykować: pojadę koleją.

Na dworcu w Oranach pusto. Zandarmi niemieccy wcale nie zwrócili na mnie uwagi. Zagodzinę nadszedł pociąg. Cieszyłem się, że jeszcze dzisiaj będę w Wilnie. Trochę się obawiałem kontroli dokumentów, aby nie przerwano mojej podróży. Fałszywe dokumenty, najlepiej nawet wykonane, nigdy nie są pewne. Ale liczyłem na to, że sprawdzić je trudno. Było to w parę tygodni po zmiażdżeniu przez Niemców wojsk radzieckich, latem 1941 roku.

Do mego przedziału zajrzał niewysoki mężczyzna, lat około 45, ubrany tak, jak się ubierają od święta w małych miasteczkach na Litwie. Na głowie cyklistówka. Po nich w Wilnie zdala rozpoznawaliśmy Litwinów. Zwrócił się do mnie po litewsku.

— Słabo mówię po litewsku. Może pan zna rosyjski lub polski?

— Wolę mówić po polsku. Moja matka jest Polką.

Po pewnym czasie rozmawialiśmy już swobodnie i szczerze. Towarzysz podróży opowiedział mi pewną historię ze swego życia:

* * *

Brat mój od dawna jest w Rosji. Pisywaliśmy do siebie dość często. Z Litwy do Rosji listy szły lepiej, niż z Polski. Czasem się korespondencja przerywała. Lecz od 1932 roku otrzymywałem listy często. Dowiedziałem się wtedy, że brat jest prezesem kołchozu „Zwycięstwo Rewolucji" w pobliżu Wiażmy.

Ja mieszkam niedaleko Oran. Tuż przy dawnej granicy polsko - litewskiej. Ziemi mam mało — 7 hektarów, a rodzina moja składa się z pięciu osób. Żyłem jednak dostatnio, bo hodowałem wieprze, a żona i córka robiły samodziały. W Kownie chętnie je kupowano. Brat ciągle pisał do mnie, abym się starał przyjechać z rodziną do niego: „Tu ziemi — ile chcesz. Zbuduję ci dom i będziecie żyć bez troski". Pewnie wyobrażał sobie, że na 7 ha umieramy z głodu. Może propaganda tak ich informowała, bo napewno nie chciał mnie w biedę wciągnąć.

Gdy wojska rosyjskie zajęły Litwę, postanowiłem odwiedzić brata. Nie chciałem jechać z próżnymi rękami, więc, chociaż myślałem, że żyją dobrze, przygotowałem kiełbasy, wędliny, żona upiekła ciasto. W Kownie kupiłem prezenty dla całej rodziny brata i wyruszyłem w drogę.

Po dość długiej i trudnej podróży dotarłem do kołchozu „Zwycięstwo Rewolucji". Nie wierzyłem własnym oczom. Myślałem, że się omyliłem. Brat wciąż powtarzał mi w listach: „My żyjemy dostatnio i wesoło...", a tu zobaczyłem kilka nędznych chat i kilkadziesiąt półziemianek. Tylko dachy i górna część ścian nad ziemią — reszta domu w ziemi.

Brat rzeczywiście posiadał najlepszy dom w kołchozie. Miałem okazalszą stodołę, niż ten jego pałac. Drzwi na drutach zawieszone, bez zamka, w sieniach i domu zamiast podłogi — glina. Sprzętów mało, tylko stół i ławki. Okna malutkie, nie we wszystkich szyby.

Jeszcze przed wejściem do domu brata zauważyłem, że ludzie ze zdumieniem mi się przypatrują i nieufnie odpowiadają na pytania. To samo było i tu. Brat nie poznał mnie. Zresztą nie widzieliśmy się ze dwadzieścia kilka lat, od początku poprzedniej wojny. Powiedziałem mu, kto jestem. Dopiero wówczas ożywił się, ale widocznie był też zdumiony moim wyglądem i skrępowany. Powiedział:

— Dobrze trafiłeś. Dziś wolny dzień, a wczoraj otrzymaliśmy olej. Zrobię ucztę.

Starsza córka brata zaraz zaczęła piec kartoflane bliny na oleju. Poza tym nie było nic. Wówczas ja otworzyłem kuferek i zacząłem wykładać na stół wszystko, co przyniosłem.

— To dla was — powiedziałem.

Byli zdumieni. Oglądali prowianty, rzeczy, ale nie dotykali ich.

— Skąd to masz? — pytał mnie brat.

Już wszystko zrozumiałem: jaka to u nich straszna nędza i jak ich okłamują władze, że poza Związkiem Radzieckim ludzie i tego nie mają. Spostrzegłem, że dzieci nie umiały jeść

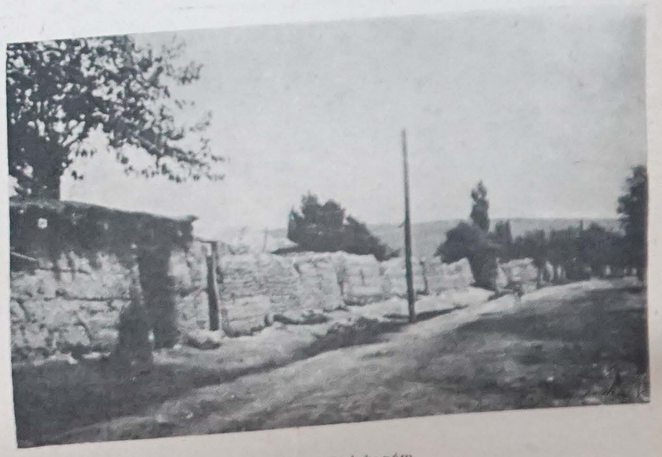

„Domy“ kołchozów

Ludzie z kołchozu

cukierków. Bratu ręce drżały, gdy krajał salceson.

— A gdzie żona? — pytałem brata.

— W szpitalu — rzekł obojętnie.

Było mi bardzo przykro i smutno. Żałowałem, że tu przyjechałem. Opowiedziałem bratu szczerze, jak żyjemy na Litwie. Uwierzył mi tylko dlatego, że byłem jego bratem. Inaczej napewno to, co mówiłem, uważałby za kłamstwo.

Po pewnym czasie zaczęli przychodzić — niby przypadkiem — ludzie. Rodzina brata była nędznie ubrana, ale tamci wyglądali okropnie. Nikt nie miał butów ani trzewików. Na nogach gałgany, kalosze, brezentowe buciki, łachmany. Zdumionymi oczami, podejrzliwie — oglądano mnie.

— Ten też naszej krwi się napił... — rzekł jeden.

— Wiadomo! Widzisz, jak się wystroił!

— Uczciwie tego nie zarobisz... — dodał trzeci.

Ktoś splunął. Widziałem zazdrosne, chciwe, a jednocześnie pełne nienawiści spojrzenia. Ktoś macał mi marynarkę. Nie wierzono, że przy łańcuszku jest zegarek.

— Powiedz ty mi prawdę, kim ty tam byłeś? — rzekł do mnie jeden z bolszewików.

— Kim byłem? Chłopem, jak i wy.

Wybuchnęli śmiechem. Zauważyłem, że brat zaczyna się denerwować. Starałem się być grzeczny i spokojny, chociaż czułem się jakby winny, że mam dobre ubranie, a oni w tak strasznych łachmanach i w takiej nędzy.

— Jeśli byłeś chłopem, to skąd masz to ubranie, i buty, i zegarek? Co? — tryumfująco badał jeden z kołchoźników.

Wówczas już nie wytrzymałem i — dawaj — mówię:

— Słuchajcie ludzie! Wierzcie mi, że jestem jednym z biedniejszych chłopów naszej wsi na Litwie. Żaden burżuj, żaden wyzyskiwacz. Źle o mnie myślicie. A przecież w domu mam jeszcze lepsze rzeczy. U mnie i rower jest...

— I rower? ... — podchwycił znacząco jeden chłop.

Ale ja nie zważałem na to.

— ... i patefon mam, i kilka ubrań mam. U nas wszyscy tak żyją. Niech pojedzie który ze mną i zobaczy.

Wówczas podszedł do mnie jeden z kołchoźników i pogroził pięścią:

— Milcz, draniu! Jak nie burżuj jesteś, to pies burżujski. My wszystko wiemy, co się u was dzieje. Znamy się na takich łotrach, co patefony mają i w butach chodzą!

Nie wytrzymałem.

— Nic ty się nie znasz! Zyjesz jak świnia w swoim kołchozie i myślisz, że cały świat jest chlewem!

Omal nie doszło do bójki. Brat ledwie ich wygnał z domu. Odgrażali się. Jemu też dostało się z mego powodu parę pięknych słówek. Spostrzegłem, że brat zupełnie stracił humor. Zapytałem go, dlaczego:

— Przykro... — powiedział — Sam nie wiem, czy kłamiesz, czy prawdę mówisz. Zbyt dziwne to wszystko, co opowiadasz.

Długo jeszcze tłumaczyłem mu, jakie u nas jest życie, porządki, praca. Może uwierzył — ale pewnie nie we wszystko.

Trzeba było iść spać. W jednym końcu izby była ułożona słoma. Wyjęto kilka desek i słomę rozłożono na podłodze — od ściany do ściany. Była to pościel dla całej rodziny, a dla mnie — jako gościa — przynieśli z sieni sanie. Postawili je pod ścianą i wysłali słomą. Poraz pierwszy w życiu miałem takie łóżko.

Długo nie mogłem usnąć. Było mi żal brata i jego rodziny. Przypomniałem sobie, jak się odgrażali.

— A może przyjdą i zabiją w nocy?

W pewnej chwili posłyszałem daleki warkot motoru. Auto! Serce mi zamarło. Pewnie po mnie! Donieśli padlecy! Chciałem uciekać, lecz dokąd pójdę? Wiedziałem, jak trudno było tu się dostać nawet legalną drogą. A będę uciekał — napewno zginę. Tu może jeszcze brat pomoże. I zostałem.

Auto rzeczywiście zatrzymało się przed domem brata. Wstaję z sań i czekam w ciemności.

— Koniec — myślę.

Słyszę ktoś człapie, ktoś stęka... a mnie serce wali... Teraz otwierają drzwi od sieni... Ktoś zaklął po rosyjsku. Słyszę jakieś szamotanie tuż za drzwiami izby. Wkrótce wszystko ucichło, potem znów warkot motoru... Auto odjechało!

Cisza... Długo stałem bez ruchu. Wreszcie powoli skierowałem się ku sieni. Chciałem dostać się na podwórze, by wyjrzeć za nimi. U wyjścia na dwór nagle potknąłem się o coś miękkiego. Zaświeciłem zapałką. Na ziemi leżał spory worek z rogoży. Na nim jakiś napis, czarnymi literami. A wewnątrz coś dziwnego, czego nie mogłem rozpoznać...

Wróciłem do izby, obudziłem brata Niezadowolony, że przerwałem mu sen, powiedział:

— Idź spać. To pewnie żonę przywieźli ze szpitala. Musiała umrzeć. — Obrócił się na drugi bok i już spał.

Ale ja do rana nie mogłem zasnąć. Nie mogłem. Zrozumiałem, że to straszni ludzie. I brat mi zbrzydł... O tym tylko myślałem, żeby prędzej stąd się wydostać.

Rano brat wziął łopatę i tuż za izbą wykopał głęboki dół. Razem z córką przyciągnęli worek i wrzucili do jamy. Brat zasypał dół ziemią i zadeptał ją. To wszystko.. Nikt potem o nieboszczce nie mówił. Nikt nie wspominał. Nikt nie płakał, nie żałował... Nie! Nie mogłem dłużej zostać! Wyjechałem. Zegarek zostawiłem bratu...

Rozmówca mój zamilkł. Po chwili dodał:

— Potem otrzymałem znów list od brata. Pisał, że się ożenił.

— A nie zapraszał znowu do kołchozu? — zapytałem niewinnie.

— O tym nie pisał.

* * *

Widziałem osobiście wiele straszniejszych rzeczy, w które nie uwierzyłbym, gdybym ich sam nie przeżył. Rozmawiałem z ludożercami w łachmanach i z ludożercami w mundurach armii sowieckiej. Przekonałem się, że człowiek w Rosji jest tańszy od krowy, konia a nawet kury. Wiem, że człowiek chory, stary, lub słaby jest w Rosji — nawet rodzinie — zawadą i ciężarem.

„Kto nie pracuje, niech nie je".

W Polsce obecnie ci, którzy nie pracują, też kartek żywnościowych nie dostają. Niech zginą! A tymi, którzy nie pracują są: bezsilne kobiety, którym wywieziono mężów, — dzieci, którym wojna czy okupanci zabrali ojców, chorzy, kaleki...

Może całe to opowiadanie, bezbarwne i pospolite, zblakło by mi w pamięci, gdyby nie nurtowała mnie ciągle myśl, czy w worku był rzeczywiście trup żony tego chłopa? Przecież worka nie rozpruto i nie sprawdzono co zawiera?

SERGIUSZ PIASECKI

ZYTOBRANIE

Wyszły smagłorękie żniwiarki w złociste pole,
zatoczyły srebrnołękie sierpy w srebrne półkole,
zas umiały, zadzwoniły ziarnami brzemienne kłosy,
poplątały, pocudaczyły dziewczętom złote włosy.
Zamachnęły się, otrząsnęły się żniwiarki z dziewczęcych
pochyliły się boże kłosom do samych kolan. [rojeń,

Dzwonią żyta o sierpy gibkie i ostre,
dzwonią kłosy o kłosy, bo w żytach postrach:
rozdzwoniły się, rozluźniały się, padły w naręcze,
zachwiały się, poplątały się, zwisły i klęczą.
A dziewczyny rosłe wiją dwurącz powrósła
i wplatają w powrósła b awatkowe gusła.

Padły żyta na rżyska z łoskotem,
przegięły się dziewczyniska i wiążą w snopy:
wiążą, wiążą, zawiążą i przewiążą wiązadłem,
złote garście kłosów w rżyska opadłe.
Dziewki smagłe i rosłe, przewiązawszy powrósłem,
śpiewne snopom śpiewają gusła:

Ży-to, ży-to, nie-spo-ży-te, nie-prze-ży-te ży-to,
ży-to chleb-ne mo-dli-tew-ne-
przewiejemy, przemielemy, przesiejemy przez sito chlebne —

Przemienimy twoje stokłosy
w niebo oczu i złoto włosów
żyto śpiewne...

JÓZEF BUJNOWSKI

LIST MATKI

Do jednej z naszych współpracowniczek nadszedł list, który w wyjątkach podajemy. Nazwiska autorki, ze względ**ów zrozumiałych nie ogłaszamy.**

W roku 1940-tym córka moja, Maria, zdarła z muru szkoły, do której uczęszczała we Lwowie, plakat, zohydzający Orła Białego i polskie wojsko.

Została za to przez N.K.W.D. aresztowana i osadzona w więzieniu najpierw zamarstynowskim, potem przy ul. Łąckiego. Współwięźniarki, które ocalały po przyjściu Niemców do Lwowa, opowiadały mi potem, że Maria w czasie przesłuchiwań była bita, kopana, targana za włosy, a twarz przypiekano jej papierosem. Było to dziełem sekretarki sędziego śledczego N.K.W.D.. Śledztwo trwało przez 8 miesięcy. Przez cały ten czas (mimo usilnych starań i wystawania pod więzieniem od 10 do 14 godzin) nie udało mi się podać ani jednej paczki.

Gdy tylko bolszewicy cofnęli się przed Niemcami, pobiegłam na Łąckiego. A tam... obraz prześcigający swą zgrozą chyba samo piekło! Góry trupów w głównej klatce schodowej i po celach. Sześć czy osiem jam bardzo głębokich a szerokich na 4 m — zapełnionych trupami, które właśnie wydobywano i układano pokotem na podwórzu. Trupy okaleczone okropnie! Dziewczęta rozprute od szyi do sromu, wiele z odciętymi piersiami. Dwóch księży ukrzyżowanych na drzwiach. Niemowlęta — dzieci urodzone w więzieniu przez nieszczęsne matki — przybite do ścian, czy drzwi bagnetem! Setki mundurków szkolnych dziewcząt od lat 8 — 14. Wśród stosu ubrań znalazłam płaszcz i kołdrę Marii...

...W 1939 roku Niemcy zabili mi już jedno dziecko: 14 letnią córkę, Lidię, w chwili, gdy jako ochotniczka Czerwonego Krzyża podnosiła rannego żołnierza. Dziecko trafiono z odległości 50 m; mimo znaku Czerwonego Krzyża na ramieniu i na czole. A właśnie parę dni przedtem gen. J. wyróżnił ją za odwagę przed żołnierzami i oficerami!

...Mąż mój, po powtórnym przyjściu bolszewików do Lwowa, został aresztowany. Po kilku tygodniach wypuszczony — na skutek urazów w więzieniu — zmarł.

...Ostatnia córka, Aniela, uratowawszy 2 Francuzów (kryliśmy ich u siebie przez rok), wyszła potem za jednego z nich. Ponieważ była bardzo czynna w A. K., paliło się jej pod nogami. Gen. Petit, zastępca gen. De Gaulle'a, p. Garbonet, sekretarz ambasady francuskiej w Moskwie i płk. N.K.W.D. jemu przydzielony — oświadczyli solennie, że Aniela i kilka innych Polek, które wyszły za Francuzów, będą mogły bez przeszkód jechać z mężami do Francji. Ufne w daną przez tak poważne czynniki obietnicę — Polki wyjechały najpierw do obozu do Łucka (2 miesiące) a potem do Odessy. Tam — na 2 dni przed odejściem transportu do Marsylii — N.K.W.D. odeskie odłączyło Polki od mężów wraz z niemowlętami — wiele z nich w zaawansowanej ciąży, jak Aniela np. — i osadziło je w obozie koncentracyjnym. Szef Misji Francuskiej p. Du Goniart — przypuszczam zbyt młody, aby być przygotowanym na przewrotność władz sowieckich — interweniował bez skutku. I tak kilkadziesiąt Polek z różnych stron Polski siedzi w obozie w Odessie, w którym panuje, jak wszędzie w Rosji — tyfus i czerwonka. A przecie te nieszczęśliwe Polki ratowały setki aliantów i to pod grozą utraty własnego życia i życia swoich rodzin! Czy nie należałoby, aby np. rząd francuski coś przedsięwziął, celem uwolnienia tych nieszczęsnych istot.

...Ja uciekłam, bo i mnie ziemia paliła się pod nogami. Gdybym miała dwadzieścia lat mniej — byłabym się starała dostać do 2. Korpusu. Niestety — mam już 50 lat. Ale chcę w inny sposób pomagać w ogólnym wysiłku ratowania Polski. Za rok bowiem nie stanie w niej Polaków! Wcielają ich do wojska, wywożą na wschód, wtrącają do więzień. Cały nasz kraj to dziś jedno wielkie więzienie, skąd coraz to wypływa nowy strumień ludzi do tej czeluści, jaką jest „raj sowiecki". Jak za pierwszym razem w latach 1939-40, tak i teraz niszczą zupełnie polski element. Niestety Ukraińcy robią to samo, co robili za Niemców.

Trzeba wołać, krzyczeć o tym na cały świat, bo naprawdę nie stanie niedługo Polaków w Polsce! Na całym jej obszarze dzieje się to samo: aresztowania, deportacje, rozstrzeliwania, tępienie członków A.K...

Ratujcie Polskę! S.O.S.! Ratujcie Polskę!!

X. Y.

KOBIETY POLSKIE WE FRANCJI

Stopień wyzwolenia kobiety i wciągnięcia jej w najszerszą orbitę życia społecznego i politycznego jest nieomylnym miernikiem istotnej kultury danego środowiska. Możemy przeto być słusznie dumni z roli, jaką w społeczeństwie polskim od najdawniejszych wieków aż po dzień dzisiejszy odgrywała i odgrywa kobieta, która u nas nie zasklepiała się nigdy w wąskim zakresie pięknych i ważnych obowiązków żony, matki i gospodyni, lecz brała pełny udział w życiu Narodu i Państwa, jako pełnowartościowy i od dawna już pełnoprawny członek wielkiej społeczności polskiej.

To, co jest słuszne w odniesieniu do kobiety polskiej w Kraju, nie może zawodzić w przeniesieniu na grunt emigracyjny.

Polska emigracja zarobkowa we Francji, istniejąca jako zjawisko wyjątkowe, już od roku 1906, przybrała z końcem ubiegłej wojny światowej charakter masowy. W latach 1921 - 1924 przybyły do zniszczonej przez działania wojenne północnej Francji dziesiątki tysięcy górników polskich z Westfalii w Niemczech. W ślad za nimi nowe rzesze polskiego ludu roboczego, nie mogące znaleźć pracy i chleba w powoli dźwigającej się do samodzielnego bytu państwowego Polsce, przywędrowały do kopalń i na rolę Francji północnej, środkowej, wschodniej i południowej, jak również do fabryk paryskiego okręgu przemysłowego.

Wrodzony Polakom pęd do organizowania się sprawił, iż przybywający do Francji emigranci — a w pierwszym rzędzie tzw. „Westfalacy" — prawie natychmiast po zainstalowaniu się na gruncie francuskim odbudowywali wypróbowane już poprzednio na wychodźctwie w Niemczech formy organizacyjne, wciągając w sieć stowarzyszeń i związków nawet jednostki i grupy mało dotychczas uspołecznione. Powołano do życia organizacje zupełnie nowego charakteru, nieznanego przed tym w środowisku polskim w Niemczech.

W powstałej tym sposobem zawiłej mozaice stowarzyszeń wszelkiego typu i pokroju, ogarniającej półmilionową emigrację polską we Francji, od samego zarania ich istnienia poczęły się wybijać na plan pierwszy **organizacje kobiece, górujące nad męskimi zarówno liczebnością swych członkiń** (pomimo, że liczba dorosłych mężczyzn na emigracji przewyższa znacznie ze względów zrozumiałych liczbę dorosłych kobiet), **jak też sprężystością organizacyjną, rozmachem inicjatywy i zasobnością materjalną.**

Pomimo różnych nazw i odbiegających czasem dość daleko od siebie ideologii — wszystkie polskie organizacje kobiece we Francji mają pewną wspólną podstawę: jest nią miłość Ojczyzny i poczucie obowiązku wychowania młodego pokolenia polskiego za granicą w duchu poszanowania obyczajów ojczystych, łączności z Macierzą i gotowości wiernej dla Niej służby.

Toteż — niezależnie od tego, czy następujące punkty figurują w tekstach statutów i regulaminów poszczególnych związków, czy też zostały przemilczane, można je śmiało wysunąć, jako wytyczne działania zorganizowanej masy kobiecej, zmierzającej do osiągnięcia wytkniętych celów: czuwanie nad zachowaniem polskich tradycji religijnych i narodowych; przestrzeganie tego, by dzieci mówiły w domu po polsku; opieka nad szkołą polską i przedszkolem i bezwzględne posyłanie własnych dzieci na lekcje polskie; dbanie o rozwój bibljotek szkolnych i bibliotek dla dorosłych, stanowiących zazwyczaj własność miejscowych komitetów towarzystw polskich; otaczanie opieką organizacji dziecięco-młodzieżowych, z których najpopularniejsze jest harcerstwo; szeroki udział w majowej powszechnej zbiórce na oświatę, ktora corocznie daje podstawę finansową akcji oświatowo szkolnej naczelnej organizacji wychodźctwa Polaków we Francji (dawniej Związek Polaków, obecnie Centralny Związek Polaków we Francji); uczestniczenie w akcji kolonii letnich dla dzieci i obozów wychowania fizycznego i obywatelskiego dla młodzieży; popularyzowanie własnym wysiłkiem i przykładem polskiego stroju ludowego, śpiewu, tańca, muzyki i teatru; samokształcenie ze specjalnym uwzględnieniem znajomości dziejów ojczystych, literatury polskiej i geografii polskiej; wyrabianie przodownic społecznych do samodzielnej pracy oświatowej; czuwanie nad poziomem wszystkich wystąpień organizacyj na zewnątrz.

Jeżli chodzi o nazwy i liczebność poszczególnych polskich organizacyj kobiecych we Francji, to - podług danych ich zarządów głównych w przededniu wybuchu wojny—liczyły one członkiń płacących "w cyfrach okrągłych" :

Związek Bractw Różańcowych . .	14.000
Związek Towarzystw Kobiecych (tzw. Po'ki) . .	12.000
Związek Rodzin Polskich Obrońców Ojczyzny . .	5.000
Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet (ZPOK) . .	3.000

Terytorialnie biorąc, pierwszy z tych związków ma swoje bractwa na terenie całej Francji, tak samo, jak „Polki" za wyłączeniem okręgu paryskiego, „Rodziny" ograniczają się do terenu Francji północnej, czyli departamentu Nord i Pas-de-Calais, Z.P.O.K. działa zaś przede wszystkim w okręgu paryskim oraz — w słabszym zakresie — we wschodniej, środkowej i południowo-zachodniej Francji.

Obraz ten nie byłby jednak kompletny, gdybyśmy go nie uzupełnili paru informacjami o organizacjach kobiecych, nie posiadających własnych centrali organizacyjnych. Mam tu na myśli przede wszystkim Koła Kobiet T.U.R. (Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych), które są przybudówkami do znanej i zasłużonej socjalistycznej organizacji męskiej, oraz wszystkie organizacje młodzieżowe, posiadające oddziały żeńskie a więc Związek Harcerstwa Polskiego, Związek Strzelecki, Towarzystwo Gimnastyczne Sokół oraz K. S. M. P. (Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej).

Z chwilą wybuchu wojny potrzeba natychmiastowego zgodnego działania zespoliła organizacje kobiece w Sekcjach Kobiet: Głównej, Okręgowych i Miejscowych. Praca tych, tak skromnie nazwanych „Sekcji Kobiet" — to temat do nowego artykułu. Tutaj ograniczę się do stwierdzenia, że kobiety polskie we Francji w okresie od 1 września 1939 roku do upadku Francji zdały chlubnie swój egzamin obywatelski. Na świadków słów moich mogę wezwać całą rzeszę żołnierzy naszych, którzy przybywali w tym okresie do Francji różnymi drogami — głodni, obdarci i bezdomni, a znajdowali tam po niedługim czasie ręce kobiece, które zaopatrywały ich we wszystko najpotrzebniejsze, i serca kobiece, które im pod górniczym dachem tworzyły przybrany dom.

Oświeżenie i nasilenie patriotyzmu, wywołane warunkami wojennymi, nie zamarło u kobiet i podczas okupacji. Tym się też tłumaczy **liczny udział kobiet w pracy konspiracyjnej, jedynej, prowadzonej na terenie Francji pod rozkazami Rządu R. P. robocie podziemnej P. O. W. N** (Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość). Podobnie, jak w Kraju, i na wychodźctwie kobiety pełniły większość odpowiedzialnych funkcyj łączniczek i kurierek do przewożenia tajnych rozkazów, szyfrów, wywiadu, broni, amunicji i przenośnych radiostacji. Podobnie, jak w Kraju — niejedna z nich zapłaciła tę pracę i wierność złożonej przysiędze uwięzieniem, okaleczeniem, deportacją lub śmiercią.

Ale życie idzie dalej, dlatego też od czasu wyzwolenia Francji wszystkie organizacje kobiece powróciły w zmienionych warunkach — o ileż trudniejszych wewnętrznie i zewnętrznie — do przerwanej przez kataklizm wojenny pracy, której celem — jak i poprzednio — pozostaje Polska.

IRENA LEWULISOWA

Artykuły dyskusyjne *)

I

PRAKTYCZNE PRZYSPOSOBIENIE DO ŻYCIA

Miałam ostatnio sposobność rozmawiać kilkakrotnie z młodymi ochotniczkami, które zaniepokojone są sprawą przeniesienia 2. Korpusu do Wielkiej Brytanii i związaną z tym perspektywą „przejścia do cywila".

Ujmując tę rzecz od strony trosk osobistych, każda z nich we właściwej sobie formie — ale wszystkie pod kątem widzenia tego samego problemu — stawiała mi pełne niepokoju pytanie:

— Więc nauka rzemiosła? Więc koniec ze studiami? Więc cofnięcie się w hierarchii społecznej? Rezygnacja z „inteligenckiego" zawodu? Zdeklasowanie się?

Chciałabym w tym artykule spojrzeć trzeźwo, bez uprzedzenia, na sprawę nauki rzemiosła w duchu epoki: najpierw z punktu widzenia państwa, następnie zaś — jednostki. Fachowość, jest w państwie nowoczesnym jedną z najbardziej cennych cech obywatela. Robotnicy niewykwalifikowani, oraz tzw. inteligenci, o których się mówi, że nadają się do wszystkiego właśnie dlatego, że nie posiadają żadnej określonej specjalizacji, obciążają w sposób bezpośredni lub pośredni państwo i społeczeństwo. Dobry rzemieślnik natomiast — to człowiek, posiadający nie tylko określony fach, lecz i kult pracy, to człowiek, zdający sobie sprawę z własnej wartości, wysoko szanujący swą godność rzemieślniczą, obdarzony ambicją dźwigania się w zakresie swej specjalności na coraz wyższy poziom fachowości, zmierzający konsekwentnie do zdobycia i rozbudowania własnego, samodzielnego warsztatu, do zatrudnienia w nich pewnej ilości uczniów i czeladników, którzy z kolei będą się mogli doskonalić pod czujnym okiem majstra. **Dobry rzemieślnik**, świadomy, pełnowartościowy, osiadły obywatel o stałych i pewnych źródłach dochodu, **to jeden z najpewniejszych czynników społecznej równowagi i dobrobytu.**

Z punktu widzenia interesów jednostki — rzemieślnik to człowiek **najlepiej uzbrojony do walki o chleb**, którego zarobki w małym tylko stosunkowo stopniu zależą od koniunktur politycznych i ekonomicznych. Na wszystkich szerokościach geograficznych — pomimo wojny, niedostatku, czy rewolucji — ludzie muszą przecież jeść, odziewać się, mieszkać, nosić buty, czytać gazety, golić się, podróżować — czyli że nie mogą się obyć bez piekarza, krawca, murarza, szewca, zecera, fryzjera, kierowcy, mechanika samochodowego itd.

W Polsce, kraju rzemieślników znanych w całym świecie ze swej fachowości i solidności, można było spotkać się z niczym nieuzasadnioną pogardą dla rzemiosła. Tak, jakby urzędowanie przy okienku na poczcie miejskiej czy w magistracie, albo prowadzenie jakiejś nieskomplikowanej i często mało potrzebnej ewidencji w Ubezpieczalni Społecznej było zajęciem szlachetniejszym i bardziej odpowiadającym godności ludzkiej, niż robienie butów lub kapeluszy.

Dzisiaj, kiedy pragnienie utrzymania się przy życiu w niesłychanie ciężkich warunkach wojennych przemieniła niejeden polski dom inteligencki w chałupniczy warsztat rzemieślniczy, warto zdać sobie sprawę, iż uprzedzenie nasze do pracy rąk było logicznie nieusprawiedliwione, społecznie zaś krzywdzące, a co najmniej lekkomyślne.

Toteż nie obawiajmy się tego, iż w Anglii „zapędzą" nas do nauki rzemiosła. Będziemy mieli okazję **do zdobycia umiejętności praktycznych**, które zapewnią nam w przyszłości niezależność materialną i to wszędzie, gdziekolwiek nas jeszcze losy rzucą.

Nasuwa się pytanie: czy wiele było w przedwojennej Polsce chłopców i dziewcząt, którzy mogli poświęcić cały swój czas wyłącznie tylko studiom uniwersyteckim, nie oglądając się za zarobieniem sobie — a przynajmniej dorobieniem — na życie. Zbyt dobrze znamy typ studenta, a nawet ucznia starszych klas, biegającego bez tchu z jednej korepetycji na drugą. Może ktoś sądzi, że udzielanie za marne grosze korepetycji w mniejszym stopniu hamuje studia, niż wyrabianie torebek, czy szycie sukien? Nie, a przecież tamta młodzież, ta od korepetycji zimą, a wyjazdów „na kondycję" latem, kończyła studia masowo.

Wniosek zatem jest prosty: przy dobrej woli i silnym charakterze **da się pogodzić pracę rzemieślniczą, jako podstawę egzystencji, z przygotowaniem się do studiów i zdobywaniem dyplomów**, które otwierają drogi do innych zajęć. Ale uwaga ta dotyczy wyłącznie ludzi, mających poważne zainteresowania naukowe, gdyż w przeciwnym razie — **o wiele lepiej byłoby zostać dobrym rzemieślnikiem, niż tuzinkowym gryzipiórkiem.**

Niezależnie od wybranego i wykonywanego fachu, we wszystkich warunkach życia prawdziwa inteligencja i prawdziwa kultura zależą od nas samych: od poziomu naszych potrzeb duchowych, od zdobytej nauki, wysiłku przyswajania sobie wiedzy i umiejętności wznoszenia się na coraz wyższy szczebel rozwoju moralnego i umysłowego.

I. L.

*) Od lutego 1946 roku toczy się na łamach „Ochotniczki" dyskusja na temat wychowania młodzieży polskiej. Ukazały się kolejno artykuły dyskusyjne: Chojnacki St. „Uwagi na temat wychowania młodzieży", J. Zagórska „Jeszcze o młodzieży", Mir. ppor. „Klimat moralny", H. F. „Nowa Polska jest w nas", St. Kuszelewska „Już teraz".

II

O NOWYM CZŁOWIEKU

Sprawie wychowania, jako zagadnieniu stojącemu u podstaw wszelkich cywilizacji i epok, należałoby się niewątpliwie w prasie naszej uprzywilejowane miejsce. Świadomy odłam emigracyjnego społeczeństwa napróżno poszukuje jakichś drogowskazów w publicystyce bieżącej. Przygodnemu czytelnikowi mogło by się nawet zdawać, że powołane do tego organy nie interesują się dostatecznie tą kwestią.

Przeglądając zeszłoroczne numery „Orła Białego", w numerze 40 z sierpnia 1945, znalazłem artykuł Piotra Peruckiego pt.: „Poszukiwanie nowego człowieka", w którym autor wzmiankuje o publikacji Andrzeja Brzozy: „O powołaniu naszego pokolenia", o artykułach Wilhelma Stałego: „Niektóre aspekty światopoglądu" oraz Janeckiego: „Problem wychowania narodowego". Autor streszcza je w następujący sposób: „Autorzy zgadzają się, że nasze wysiłki wychowawcze muszą dać nowego człowieka: d z i e l n e g o i u c z c i w e g o. Dzielnego — w sensie umiejętności podchodzenia do życia, zaradności w rozwiązywaniu jego zawiłych przejawów, wreszcie chęci pokonywania nasuwających się przeszkód. Uczciwego — w sensie wyrobienia w sobie właściwego pionu moralnego, a więc wychowanego według etyki chrześcijańskiej i cywilizacji zachodniej, oraz stosującego w praktyce te zasady".

Autor zapytuje: „Jak ma czuć, myśleć i działać dzielny i uczciwy Polak? W jakie łożysko wejść ma polska idea narodowa oraz, co stanowić ma jej siłę dynamiczną?" Roztrząsając te pytania, sięga autor do wspomnień historycznych i dochodzi do wniosku, że Polska musi szukać swej wielkości, bo jest na nią skazana, ale musi jej szukać w dziedzinie moralnej, w dziedzinie intelektu i ducha. „Nasza siła i nasza wielkość ma opierać się na wartości moralnej pojedynczego dzielnego, wielkodusznego człowieka... Anormalny proces zmaterializowania, zepsucia, zdziczenia, barbarzyństwa i zaprzeczenia wszelkim prawom Boskim i ludzkim, jaki rozgrywa się wokół Polski, musi być przerwany i odwrócony, a Polska ma wziąć w tym działaniu jaknajczynniejszy udział."

Czyż jednak polskie świadome społeczeństwo nie myślało tak zawsze? Czyż te ideały nie przyświecały narodowi polskiemu w dobach jego dziejowych zmagań? Przez wieki staliśmy przecież wiernie na naszych wschodnich szańcach. Dziś, gdy hordy wschodnie zdeptały nasz kraj i rozlały się już niemal po całej Europie, postawa duchowa naszego młodego pokolenia staje się czołowym zagadnieniem.

Dlatego też nie należy dziwić się rzeszom czytelników, że są zatrwożone, nie widząc dostatecznych usiłowań rozwiązania tych zagadnień. W świecie anglosaskim zakorzenił się zwyczaj naświetlania ważnych zagadnień życia przy pomocy plebiscytów prasowych. W praktyce zwyczaj ten okazał się bardzo pomocny w rozwiązywaniu problemów ekonomicznych, społecznych i państwowych. Taką drogę obrało w dostępnym sobie zakresie pismo „Ochotniczka", zamieszczając od szeregu miesięcy artykuły dyskusyjne na temat wychowania młodzieży polskiej. Temu więc tylko czasopismu będziemy musieli zawdzięczać bardziej praktyczne rozwiązanie tego zagadnienia, jeśli w drodze niekrępowanej wymiany opinii da się to osiągnąć. Muszę w tym miejscu wyrazić żal, że „Ochotniczka" nie jest tygodnikiem.

Z artykułu p. Kuszelewskiej, nadesłanego z Egiptu, dowiadujemy się, że zagadnienie wychowania niepokoi i inne ośrodki polskie, dziś rozsiane niemal po całej kuli ziemskiej. Jest to dowód, jak głęboką troską o przyszłość narodu przejęte jest nasze uchodźctwo.

Świat nie przeżywał dotąd w dziejach swoich takich moralnych wstrząsów i klęsk, więc też darmo szukać w przeszłości sposobów zaradczych. Należy jedynie zwrócić się do prażródła prawdy i wszelkiej mądrości, wyrażonej w nauce Chrystusowej. Ona tylko może nam dać odpowiedź na zawiłości myślowe, na wszystkie wątpliwości, wahania i pytania.

Nauka Crystusowa wskazuje nam więc obowiązek rozwijania w młodzieży cech i ideałów *prawdziwego człowieczeństwa.* Tylko ten bowiem godny jest miana człowieka, kto nosi „człowieczeństwo" w sobie. Tak skrzętnie dziś poszukiwany „nowy człowiek", będzie wiedział, jak ma czuć, myśleć i działać dzielny, uczciwy Polak, w jakie łożysko powinna wejść polska idea narodowa, co ma być jej podstawą i dynamiczną siłą".

Zadanie jest wyraźne i proste lecz jakże trudne do wykonania. Jednak młodzież polska, świadoma swych obowiązków wobec Boga i Ojczyzny, każdą wzniosłą myśl chętnie przyjmie, każdą wielką ideą się przepoi i rozwinie ją w czynie.

Tu otwiera się szerokie pole działania dla polskich ochotniczek. Zahartowane w twardej służbie żołnierskiej, uzbrojone w silną wiarę i niezłomność ducha, muszą one być przednią strażą „człowieczeństwa". Kobieta polska ma tak piękną kartę w historii, że już to samo ją obowiązuje.

Zadaniem naszych braci w Kraju jest nieustanna walka o utrzymanie narodowego istnienia. Obowiązkiem naszym na obczyźnie winno być kształtowanie duszy młodzieży

dr A. WERYHA

GODNOŚĆ KOBIECOŚCI

Jeszcze do niedawna kobieta miała tenprzywilej, że udział jej w wojnach ograniczał się jedynie do samarytańskej służby ogół kobiet był wyeliminowany z bezpośrednich działań i niebezpieczeństw wojny. Ostatnia wojna jednak rozszerzyła niesłychanie swoje dotychczasowe prawa. Prowadzą wojny już nie tylko zbrojne siły państwa, lecz i całe narody biorą w niej czynny udział. Jakie stąd skutki płyną dla ludności cywilnej, wiemy z doświadczenia. Nowoczesna wojna prowadzona jest bez pardonu, nie tylko dla armii. Nikogo nie oszczędza: ani kobiet, ani dzieci.

Nie może więc dziwić liczny dziś udział kobiet w szeregach zbrojnych. Widzimy je nawet w wysokich szarżach oficerskich. Robi to wrażenie, że kobiety zrezygnowały już ze swoich przywilejow i obowiązków przyrodzonych. Ale tak nie jest, gdyż pod mundurem biją niezmiennie te same serca, a na dnie duszy snują się niezaspokojone tęsknoty za wszystkim tym, co było, jest i będzie powołaniem kobiety.

Struktura kobieca, fizyczna i duchowa wymaga warunków życia ustalonych, niezmiennych, bez przewrotów. Nie znosi zbyt częstych zmian miejsca ani otoczenia. Kobieta całą swą naturą ucieleśnia pojęcie rodziny, domu, tradycji, które są nie do pomyślenia bez niej. Kobieta jest niczym niezastąpionym ogniwem w budowie społeczeństw. Bez kobiety mogą istnieć związki, stowarzyszenia, zrzeszenia, ale nigdy społeczeństwa. Tylko kobieta zapewnia im żywotność, trwałość, przyszłość, tylko ona jako strażniczka tradycji, umacnia i wiąże przyszłość z przeszłością.

W stanowisku społecznym kobiety z biegiem wieków dużo się zmieniło, ale rola jej w społeczeństwach nie uległa zmianie. Przeciwnie — kobieta wzięła dobrowolnie na swe barki liczne obowiązki z dziedziny pracy męskiej, odciążając w wielu wypadkach przeciążonych pracą mężczyzn. Jednakże przeznaczenie kobiety, jako matki, stawia nieodmiennie przed nią odwieczne zadanie stworzenia rodziny, utrwalenia ojcostwa, zapewnienia sobie i dzieciom stałej opieki.

Utarło się zdanie, że „mężczyzna zakłada rodzinę". Być może, że kiedyś tak bywało. Dziś można by to zdanie zastosowac tylko do narodów, żyjących w wielożeństwie, gdyż haremów nie zakładają kobiety, a tylko wyłącznie mężczyźni. Natomiast w warunkach europejskich, jakże często zdarza się inaczej. Trzeba dodać, że przeciętny mężczyzna nie idzie chętnie do ołtarza, ale nie ma prawie takiej kobiety, która by nie marzyła o własnym ognisku domowym i o macierzyństwie. Zakorzeniony zwyczaj wybierania sobie żon przez mężczyzn nie ma oparcia w przyrodzie. W zwierzęcym świecie samice o tym decydują, wybierając sobie samców, których wskazuje im instynkt. Stąd u samców jaskrawsze ubarwienie, dar śpiewu, tańce, zaloty i turnieje, wreszcie śmiertelne nieraz walki. Królowa pszczół, matka roju, w weselnym, wiosennym wzlocie wśród orszaku trutni sama wybiera sobie najgodniejszego, skazując na śmierć pozostałych.

Kobieta chcąca się podobać, musi dbać o siebie zarówno pod względem fizycznym, jak i moralnym. Nowych społecznych i obyczajowych prądów nie należy wprawdzie lekceważyć, ale trzeba umieć zachować umiar i nie wpaść w krańcowość. Wskaźnikiem takiego umiaru powinna być zawsze kobieca godność, której strzec należy nieustannie, gdyż ona tylko może kobiecie zabezpieczyć należne jej w społeczeństwie stanowisko.

Życie Płciowe — to bardzo ważna karta w życiu normalnej kobiety. Często decyduje o jej szczęściu lub nieszczęściu. Trzeba to sobie jasno uświadomić i nie zaniedbać niczego, aby tę ważną stronę życia unormować zgodnie ze swoją naturą i swoim przeznaczeniem. Kobieta powinna wiedzieć, że żadne wybryki, żadne wykroczenia przeciwko czystości aktu, uświęconego dla wyższych celów, bezkarnie jej nie ujdą. Powinna wiedzieć również, że tylko małżeństwo jest jedyną dopuszczalną dla niej formą życia seksualnego, a każda lekkomyślność — to przewrot psychiczny i fizjologiczny, który ją poniża wobec samej siebie.

Największą lekkomyślnością jest nazywanie tego wszystkiego „przesądami". Kobiety „wyzwolone" nie liczą się z żadnymi nakazami. Mają swoją własną moralność — lub nie mają żadnej. Gdyby kobieta, w której naturze sens i celowość życia tak jasno są wyrażone — chciała obserwować życie przyrody w jej tajnikach, wiedziałaby, jak wysoka moralność tam panuje, moralność, której nikt i nic nie obraża — prócz człowieka. W szaleńczym zapamiętaniu człowiek oderwał się od przyrody, stając się niszczycielem jej praw i jej tworów. Postawiwszy siebie w ten sposob poza jej nawiasem, musi teraz ponosić wszystkie konsekwencje. A więc przede wszystkim — niezliczone choroby, których w przyrodzie nie było. Żaden z badaczy nie natrafił n. p. w dżunglach na ślady chorob u zwierząt. Choroby są zdobyczą cywilizacji ludzkiej, nie zaś koniecznością natury. Przyroda jest zawsze zdrowa, świeża i pełna twórczej siły. Wszystko co słabe nie ma miejsca w przyrodzie i musi się z niej usunąć. Człowiek przeżarty chorobami skazany jest również na zagładę, którą sam dobrowolnie przyśpiesza, degenerując siebie w dalszym ciągu nienaturalnym trybem życia, mordem, pożogą i zniszczeniem.

Tylko kobieta może uratować ludzkość. Gdy wróci na wyżyny, których dotąd tak gorliwie strzegła, gdy otrząśnie z siebie wszystko, co sprzeczne z jej naturą i przeznaczeniem, co przynosi uszczerbek jej godności kobiecej — wtedy dopiero może się rozpocząć proces fizycznego i duchowego odrodzenia ludzkości.

dr med. A. W

...BY STAŁ SIĘ TWIERDZĄ NOWEJ SIŁY NASZ DOM

Przed wyjazdem z m.p. 2. Korpusu szereg oficerów i żołnierzy zawarło małżeństwa z polskimi dziewczętami. Wiele z nich to nasze koleżanki z P.S.K. toteż dobre nasze życzenia biegną do tych nowych domów polskich, które się tworzą na obczyźnie. Wiele życzeń i — nadziei.

Konieczność życia w obcych środowiskach — nie wiadomo ile lat jeszcze czy miesięcy, bez możności powrotu do Kraju i domów rodzinnych — wywołała dwa zjawiska: pierwsze to introspekcja, taki wewnętrzny rachunek własnych wartości i braków; wartości, których trzeba bronić, braków, które trzeba kompensować, aby móc dać sobie radę z życiem; drugie — to usiłowanie, aby przede wszystkim pozostać w gromadzie, gromadzie jednej krwi i jednego ducha, a potem ta sprawa bliższa: usiłowanie, aby na tym szerokim świecie nie być oddzielonym od najbliższych sercu.

Powstało wiele małżeństw, które budować mają „dom bez domu". Mówią, że biorą ślub, „aby się nie zgubić w angielskiej mgle".

Dwie osoby, to już dom rodzinny. Dom rodzinny może być wszędzie. Czasem buduje się go w przygodnym pokoju przygodnego miasta i ten nawet może być prawdziwszym domem niż piękna willa wśród kwitnącego ogrodu z autem u bramy. (To nie dowód, żebyśmy nie marzyli o domu z dużym ogrodem, lipami i rezedą...). Dom buduje się na uczuciach, które się przyniosło z Kraju i które się zdobywało na trudnych drogach wędrownego życia. Dom jest tam, gdzie buduje go dwoje ludzi, kochających się: wysiłkiem duchowym i czystością uczuć.

— Ludzie nie biorą tak poważnie miłości i małżeństwa — mówi ktoś do mnie.

— Nie biorą? Jakże ich żałuję! Nie będą może mieli nigdy w życiu prawdziwego domu, w którym mieliby dla siebie oparcie, wracając z pokrętnych ścieżek życia... Jeżeli nie stworzą, pobierając się, prawdziwego domu, znaczy to, że rozmienili na drobne swoje uczucia, że poszły na marne tkwiące w nich możliwości serca. Wtedy żyje się inaczej. Ale wtedy nie należy budować domu, ani wychowywać dzieci. Na wspólne życie trzeba mieć morze cierpliwości, czyli po prostu miłość.

Miłość jest taka, jak człowiek, który kocha. Tyle ma w sobie tonów i barw, ile ma ich on w swojej duszy. Miłość — jak człowiek — jest zmienna. Ulega przemianom, może się doskonalić — może też zamierać. Trzeba o tym pamiętać. Mowa polska podkreśla różnicę między pojęciami: „kochać się" i „kochać". Kochać kogoś to zaczy kochać jego nie siebie, jego wartości duchowe, jego teraźniejszość i przyszłość... Kochać, to znaczy brać odpowiedzialność za życie i duszą nieśmiertelną. Miłość kształtuje dom i poziom życia rodziny, jakość przyszłego pokolenia a więc tym samym duchowy poziom narodu. Jakość domu rodzinnego — czy jego brak — kształtuje zresztą i dusze ludzi dorosłych. Ci, którzy na skutek wojny nie mieli domu, wiedzą jakie zmiany brak ten wprowadził w ich życie, jak zmienił ich osobowość. Ci w Kraju wiedzą — bez przenośni — że „twierdzą był każdy próg".

Rozsiane po świecie nowe domowe progi będą obronną twierdzą tej samej sprawy. Tych wszystkich, którzy własnego domu jeszcze nie mają, przywita w nich uśmiech i braterska dłoń; znajdą w nich odpoczynek i oparcie. Potem inni, następni, zbudują swój dom — wszystko jedno — w Europie, Afryce, Ameryce czy Australii. I im z kolei będziemy życzyć: „by stał się twierdzą nowej siły".

Z. W.

ŚLADAMI „W PUSTYNI I PUSZCZY"

(Korespondencja z drogi do Kongo belgijskiego)

Po sześciu i pół latach rozstania z mężem, jeńcem wojennym niemieckim od 1939 roku, jadę spotkać się z nim aż w głębi Afryki. Dzięki zrozumieniu i życzliwemu stosunkowi władz polskich: wojskowych i Opieki Społecznej podróż ta, która wydawała mi się czymś nierealnym, staje się możliwa dla mnie i mojej teściowej. Po trzech latach pobytu w Rosji, potem dwóch i pół na Środkowym Wschodzie, wyruszamy w dalszą podróż, u której kresu mający przecież tym razem własny dom, który, w jakichkolwiek warunkach, będzie zawsze przecież polskim domem. Inaczej wyobrażaliśmy sobie to spotkanie przed kilku laty, ale i tak Bóg łaskaw...

Wyruszamy z Kairu pewnego chłodnego styczniowego wieczoru i zajmujemy miejsce w luksusowym pociągu. Nie możemy nie myśleć o tych wszystkich podróżach, odbytych w ciągu lat ostatnich w tak odmiennych warunkach. Przed trzema laty w „eszelonie" lub na bykach, teraz w sleepingu. Jak będzie za trzy lata? Nie wiadomo. Ale człowiek czuje się silny przekonaniem, że to wszystko nie są sprawy istotne i że można sobie zawsze w życiu dać radę.

Nazajutrz budzimy się — w nowym świecie. Porzuciliśmy szarzyznę miasta, przykrą atmosferę lichwy i „bakszyszu" — naokoło jest tylko zieloność, zieloność i jeszcze raz zieloność. W nawodnionej dolinie Nilu, gdzie zbiory odbywają się trzy razy do roku, wszystko jest bujne, soczyste, świeże: łubiny, pszenice, lucerny. System kanalizacyjny jak za czasów Faraonów: drewniane koło, kręcone przez osła albo człowieka, zazębione o drugie koło, na którym przywiązane są gliniane garnki, zaczerpujące wodę i wylewające ją w miarę podnoszenia się i opadania koła. Po luksusie Kairu nędza chłopa egipskiego nie da się opisać.

Już w Schellal, o 500 km zaledwie od Kairu, dopadł nas upał. A jest przecież styczeń. Pończochy i swetry idą do walizek. Ukazują się aparaty fotograficzne, lornetki. Po dokonaniu pewnych formalności paszportowych, wprost z pociągu przechodzi się na pokład niedużego statku, na którym wszystko jest już dostosowane do tropików. Wentylatory w kabinach, liczne łazienki, podwójny pokład. Nastrój jak na wycieczce. Zmiana dekoracji jest tak nagła i tak całkowita, że wszystko wydaje się nierealne. Brzegi rzeki są tutaj raczej monotonne, skalisto piaszczyste. Ani jednej rośliny, ani drzewka — trudno zgadnąć z czego żyją nadbrzeżne wioski. Mijane zabudowania tubylcze to czworoboki z gliny, bez dachów.

Wieczorem księżyc staje nad rzeką; nieliczne palmy odbijają się w wodzie. Święty Nil, źródło życia całego olbrzymiego kraju, który poza tym jest jedną wielką pustynią. Staje się zrozumiałe dlaczego dawni Egipcjanie czcili Nil, bóstwo życiodajne — tak jak na północy nasi pogańscy przodkowie czcili życiodajne słońce. Gdyby — jak to było kilkakrotnie projektowane — udało się odwrócić bieg Nilu od jezior środkowo-afrykańskich na wschód — byłoby to równoznaczne z zamarciem całego Egiptu, ze zmianą karty geograficznej Afryki.

Człowiek czuje się „sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem". Woda płynie i płynie niezmiennie, nieprzerwanie i tylko czasem żal chwyta za serce: czemu to Nil a nie Wisła?

Na drugi dzień podróży statek zatrzymuje się przed świątynią wykutą w skale nadbrzeżnej. Jest to świątynia Abu - Simbel, zbudowana ku czci Ramzesa II. Wysiadamy, żeby zwiedzać jej wnętrze i grobowce. U wejścia cztery kolosalne postacie króla w pozie siedzącej. Wewnątrz olbrzymie kolumny podpierają sklepienie. W tym pustkowiu i oddaleniu od wszelkiej cywilizacji, świątynia ta robi nieporównanie większe wrażenie, niż fragmenty takich samych budowli w muzeach i w pobliżu Kairu. Sztuka egipska porywa swoją tajemniczością i głębią, odpowiada nastawieniu wewnętrznemu, antycznością uczuć, zmysłem kontemplacji. Maleńkie, nieśmiałe, kobiece figurki przy olbrzymich męskich. Oczy zamknięte, a twarze mówią swym wyrazem, oczekiwaniem, czujnością. Każda inna sztuka wydaje się mdłą w zestawieniu z tą sztuką wschodu, pełna tajemniczej filozofii, dla której „działanie" nie jest ważne, a tylko „trwanie", której motywem ostatecznym jest: Nieznanemu Bogu.

W piasku tarzają się chłopcy sudańscy, którym ktoś nieopatrznie rzucił piastra.

Z Wadi Halfa do Chartumu jedziemy pociągiem, omijając nilowe katarakty. Same nazwy takie jak: Chartum, Omdurman — przypominają przygody Stasia i Nel. Doszukujemy się trasy bohaterów tej opowieści, której równej nie ma chyba w literaturze świata. Jest gorąco, pył wciska się przez szczeliny. Dokoła równina pustynna. Kolonialne pociągi mają fioletowe szyby, niskie okna, białe dachy, wentylatory. Organizacja podróży świetna. Wszystko odbywa się sprawnie, szybko, uprzejmie. Obsługa składa się z wysokich, rosłych Sudańczyków w białych „gałabijach". Widziani przez okno tubylcy ubrani są wyłącznie na biało, kobiety tylko odróżniają się czarnymi szatami; to przecież Afryka, panowie stworzenia wybrali na swój użytek dogodniejszy kolor. Na jednym z przystanków nasz konduktor wysiada z pociągu, rozkłada na piasku pustyni swoją trzcinową matę i obróciwszy się twarzą ku Mecce, bije pokłony i modli się z zapamiętaniem, głuchy i ślepy na wszystko co się dokoła dzieje. Widok ten wzrusza do głębi i przypomina pierwsze nasze wrażenie po wyjeździe do Persji: kraj, gdzie się modlą!

Chartum — to oaza zieleni i kwiatów na pustyni. Stolica Sudanu, siedziba Gordon College, wyższej szkoły dla tubylców, założonej przez Anglików. Piszemy listy nad Niebieskim Nilem. Nazajutrz o 8-ej rano jesteśmy już nad Białym Nilem, na pokładzie statku, na którym spędzimy trzynaście dni, odbywając drogę nie wiele dłuższą ponad 1000 mil angielskich. Uczę się filozofii Afryki: Inszallah bukra! — Niech Bóg da jutro! Nikt się nie śpieszy. Po co? To nie Ameryka.

Krajobraz przypomina Polesie, ze stadami ptactwa, moczarami, trzcinami. Dalej rzeka się zwęża. Suniemy wśród sawanny, papyrusów, ocierając się prawie o oba brzegi. Na piaszczystych plażach, które nazwałam „Crocodiles - les - Bains" pojawiają się olbrzymie, potworne jaszczury, o paszczach otwartych w słońcu. Mamy na pokładzie młodego myśliwego, który pośród ogólnej emocji pasażerów i załogi, strzela do nich z wielkim powodzeniem. Zwyczaje panują domowe: gdy w pewnej chwili mijamy statek, płynący w dół rzeki, znajomy Anglik powiada nagle, że u kapitana tamtego statku mógłby może dostać naboje do sztucera. Statek nasz daje sygnał, oba się zatrzymują i nasz znajomy podjeżdża do tamtego łódką. Naboi wprawdzie nie ma, ale jest whisky, więc postój trwa dość długo. Na wodzie pokazują się coraz liczniejsze rodziny hipopotamów, różowych, lśniących, beztroskich krów.

Na postojach zwiedzamy wsie murzyńskie. Na jednym z nich obiecują nam tańce czarnych. Istotnie około 9-ej wieczorem podjeżdżamy do jakiejś wioski. Motory cichną. W świetle reflektorów widać chatki w kształcie stogów. Przy samym brzegu jedna większa, z dużym, pochyłym dachem słomianym, obok stosy żerdzi. Znów przypomina się wioska poleska w ciszy bezksiężycowej nocy. Nawet cykają świerszcze...

Między chatkami zaroiły się światełka. W blasku reflektorów na brzegu zebrała się niebawem spora gromada murzynów. Za parę piastrów odbędzie się pokaz ich tańców.

I już w chwilę potem bębenki „tam - tam" wystukują rytm, nie tworzący w naszym pojęciu żadnej melodii a jednak łączący się w niezrozumiałą dla nas harmonię. Jest w niej i niepokój człowieka idącego ciemną nocą przez sawanny — i odgłosy dżungli i coś, co każe myśleć o krążeniu ćmy w krąg płomienia, który pociąga i zabija, coś, co pozostaje do końca równie obce, jak niezrozumiałe. Masa murzyńska zadrgała. Nagie i ciemne ciała poruszają się rytmicznie. Bez żadnego schematu, bez czegokolwiek wyuczonego czy narzuconego, — poruszają się tak, jak im to nakazuje ta dziwna muzyka i własny, wewnętrzny spontaniczny impuls. Coś absolutnie naturalnego, wypływającego z podświadomości, nie skrępowanego żadnym kanonem ani żądzą efektu. Wśród tańczących byli mężczyźni, kobiety i dzieci; kilku wojowników w kołpakach z piór na głowie. Wszyscy oni robili inne ruchy, odprawiali jakiś swój własny tan, który jednak w tym ciasnym kręgu zlewał się i splątywał w jeden wspólny rytm. Była to odpowiedź tych dzikich, nagich ciał na głos melodii. Wysokie nogi, smukłe biodra, na ramionach jedynie bransolety. Błyszczą wilgotne, ciemne wargi białe zęby i białka oczu. Ręce wyciągnięte do góry w podskoku, czasem wspólny ni to śpiew, ni to okrzyk...

Nad Nilem fot. Szurowski

— Teraz widziała pani prawdziwą Afrykę — powiada mój towarzysz podróży.

Za chwilę jesteśmy znów na pokładzie statku. Na horyzoncie płonie zapalony przez murzynów step. Linia ognia ciągnie się na przestrzeni kilku mil.

W pół godziny później siedzimy w jadalni okrętowej, chłodzeni przez wentylatory, a służba bezszelestnie podaje zimne drinki i doskonałe potrawy. W sercu Czarnego Lądu stanowimy wysepkę europejskiego standartu życia. Od głębi lądu, gdzie czarny człowiek — nagi, ciemny, dziki — żyje jak przed tysiącami lat, dzieli nas — ludzi znających komfort XX wieku — tylko jeden krok.

I taśma filmu kręci się dalej...

Wśród szalonego upału dojeżdżamy do Juby, skąd dalszą podróż odbywać się już będzie samochodami poprzez dziewicze lasy północnego Konga.

Gdzieś, u kresu tej podróży, na którejś z afrykańskich dróg czekają polskie, jasne, wytęsknione oczy i płowa głowa, której nie zgięły ani burze ani ciosy tych sześciu ostatnich lat.

H. C.

Fragment pustyni fot. Romański

ROŚLINY LĄDOWE — BEZ ZIEMI

Gdzie?... Naturalnie w Ameryce, ale nie tylko w Ameryce...

Wiadomo, że sama ziemia nie stanowi istoty pokarmów roślinnych, lecz jest tylko ich źródłem, bo mineralne substancje pokarmowe, wytwarzane w ziemi, są pobierane wyłącznie z roztworów wodnych. Stąd słuszne pytanie: Czy roślina hodowana w wodzie, zawierającej niezbędne pożywki mineralne, może rozwijać się normalnie i owocować tak, jak na ziemi?

Owszem — może. Każda roślina w warunkach odpowiedniego reżymu wodnego, przechodzi wszystkie stadia rozwojowe, aż do wydania plonu. A więc, teorytycznie mówiąc, możemy w rozczynie wodnym hodować wszystkie rodzaje roślin lądowych, paprocie, trawy, zboża, jarzyny, a nawet krzaki i drzewa owocowe. Rozczyn taki powinien jednak zawierać wszystko to, co dla rośliny jest niezbędne, a oprócz tego powinien zachowywać pewne właściwości fizyczne, przede wszystkim odpowiednią temperaturę i stały dopływ tlenu, nie może „stagnować", bo wtedy się zakwasza i zatruwa tymi kwasami krążące soki. Takie zakwaszanie wytrzymuje tylko specyficzna roślinność wód bezodpływowych oraz glony.

W praktyce sposób ten nigdy nie był stosowany, albowiem narazie nie brak ziemi. W doświadczalnictwie rolniczym jednak jest to metoda często praktykowana przy badaniach nawozowych, czy też przy kontrolowaniu niektórych fizjologicznych czynności roślin; metoda ta, w formie najprostszej, stosowana jest w szkołach, jako eksperyment pokazowy na lekcjach przyrody.

Nie jest to żaden „cud", ani też rzecz nowa dla nauki, bo zasada ta jest znana prawie od stu lat i nazywa się k u l t u r ą w o d n ą. Takie same wyniki można osiągnąć, hodując rośliny w piasku sterylizowanym, ale przepojonym rozczynem odżywczym. Jest to k u l t u r a p i a s k o w a, którą po raz pierwszy zastosował z pełnym wynikiem badacz angielski Horstmer w roku 1848. W dziewięć lat później uczony niemiecki Sachs potwierdził wyniki swego angielskiego poprzednika w kulturze wodnej.

Jeśli więc można hodować rośliny bez ziemi — byle tylko środowisko, które ją zastępuje, posiadało potrzebne pożywki w rozczynach wodnych — gleba da się zastąpić substancjami sztucznymi, jak n.p. — watą szklaną, trocinami drzewnymi, mchem, włóknikiem, a nawet... lawą wulkaniczną, o ile posiada ona dostateczną ilość otworów, bruzd i wklęśnięć, aby dać możność korzeniom jakiegokolwiek zahaczenia się.

Wiemy, że drobina wody składa się z dwóch części wodoru i jednej części tlenu. Jest to woda chemicznie czysta. Lecz normalnie woda zawiera w sobie dużo soli rozpuszczalnych i nierozpuszczalnych oraz — zależnie od warunków — kwasy mineralne i organiczne. Pośród tych soli znajdują się związki nieorganiczne, stanowiące pokarm mineralny roślin, pobierany przez korzenie.

Roślina dla swego życia potrzebuje ściśle określonej ilości pierwiastków, które łącząc się z innymi, jako kationy, względnie aniony, tworzą pokarm. Tych zasadniczych pierwiastków jest siedem: azot, fosfor, potas, wapień, magnes, żelazo i siarka. Każdy z tych pierwiastków, jako pokarm, ma swoją ściśle określoną rolę we wzroście, rozwoju, funkcjach, dojrzewaniu i wydawaniu plonu roślin.

Jeżeli w rozczynie zabraknie jednego z nich — roślina, mimo doskonałego rozwoju początkowego i pięknego wyglądu, po pewnym czasie zginie. Wszystkie te pierwiastki, tworząc pokarmowe związki nieorganiczne, muszą znajdować się w rozczynie w ilości dostatecznej dla zabezpieczenia wegetacji. Każdy niedobór odbija się na organiźmie roślin i na ich zewnętrznym wyglądzie.

Fizjologia nowoczesna udowodniła w sposób zupełnie jasny, że oprócz tych pierwiastków zabezpieczających życie roślinom a zwanych w nauce m a c r o e l e m e n t a m i, istnieje cały szereg pierwiastków mniej ważnych w porównaniu z tą grupą — noszą one nazwę m i c r o e l e m e n t ó w, do których należą metaloidy i metale: chlor, flour, bor, mangan, krzem, sód, glina, brom, cynk i miedź.

Microelementy, chociaż nie warunkują podstawowego rozwoju i życia rośliny, jednak w postaci swych soli, pobieranych w ilości minimalnej, przyczyniają się nieraz w znacznym stopniu do wzmożenia procesów życiowych, a co za tym idzie do podwyższenia plonu. Podawanie tych microelementów do pożywek roślinnych może znacznie podnieść urodzaj. Rola microelementów polega raczej na ich działaniu katalitycznym, przyspieszającym i pobudzającym przebieg procesów życiowych; nie odgrywają one roli soli odżywczych. Microelementy w życiu roślinnym spełniają mniej więcej te same funkcje, co witaminy w organizmie człowieka i zwierząt wyższych.

* * *

O tym, że rośliny nasze mogą rosnąć w wodzie, można się łatwo przekonać. Weźmy skiełkowane na wilgotnej bibułce nasienie, np. żyto (roślina samopylna) z wytworzonym kiełkiem i pierwszymi korzonkami. Umieśćmy je w szyjce szklanego słoika, napełnionej trocinami. Gdy tylko korzonki sięgną wody w naczyniu, oczyśćmy nasienie od trocin, aby nie narazić szyjki korzeniowej na pleśń. Wysuwające się pierwsze listki podtrzymujemy sztucznie nad naczyniem.

Do roztworu wodnego wprowadzamy pożywkę mineralną, obliczoną w gramach na jeden litr wody w składzie następującym: azotan potasu — 0,25 gr., fosforan potasu — 0,25 gr., azotan wapnia — 1 gr., siarczan magnezu (sól angielska) — 0,25 gr., kilka kropli chlorku żelaza oraz szczyptę superfosforatu.

Pożywka ta wprowadza podstawowe związki pokarmowe, oprócz siarki, która jednak w minimalnej ilości zawsze znajdzie się w wodzie obok microelementów, jako katalizatorów. Obserwujemy, iż roślina mimo, że początkowo wydaje się słaba, blada i niby chora, stopniowo przychodzi do siebie i rośnie normalnie, przebywając kolejno wszystkie stadia rozwojowe do wydania ziarna włącznie.

Rozczyny te powinny być należycie pielęgnowane: wodę trzeba od czasu do czasu zmieniać, wprowadzając każdorazowo te same pokarmy; naczynie trzyma się koło okna; obserwuje się temperaturę i świeżość wody. W ten sposób otrzymujemy zupełnie normalny plon żyta, wyhodowanego w wodzie. Tak można hodować każdą roślinę, byleby warunki rozwojowe były ściśle przestrzegane.

* * *

Laboratoryjny sposób kultury wodnej znalazł niedawno praktyczne zastosowanie w dużych wojennych zakładach amerykańskich w czasie drugiej wojny światowej. Praca tych zakładów była chroniona tajemnicą wojskową. Gdy zaś wojska amerykańskie znajdowały się na skalistych lub koralowych wyspach Pacyfiku, zastosowano tam powyższy sposób, aby dając garnizonom amerykańskim świeże jarzyny i owoce, hodowane na miejscu, zaoszczędzić na transporcie setki tysięcy a może i miliony tonażu. Wkrótce założono tę kulturę na wulkanicznej wysepce Wniebowstąpienia. Wyspa ta o powierzchni 92 km., jest gołą skalistą pustynią, pokrytą gdzie niegdzie roślinnością kaktusową, ostrymi trawami kępkowymi i twardymi porostami. *)

Praktyczne zastosowanie kultury wodnej zostało zmodernizowane w ten sposób, że na cynkowanej siatce drucianej umieszczono 30 cm warstwę waty szklanej. Taka szklana „gleba" znajdowała się w powierzchownej warstwie lawy, którą wyżłobiono na kształt basenu. Trzydziestu centymetrowa warstwa „gleby" szklanej jest zupełnie wystarczająca dla uprawy wszystkich warzyw. Dla niektórych kultur, które wymagają głębszej przestrzeni pionowej, by rozwinąć swój system korzeniowy, — warstwa ta odpowiednio się powiększa.

*) Niżej przytoczone wiadomości podaje rzymski miesięcznik rolniczy „Terra e sole", powołując się na odpowiednią lekturę amerykańską.

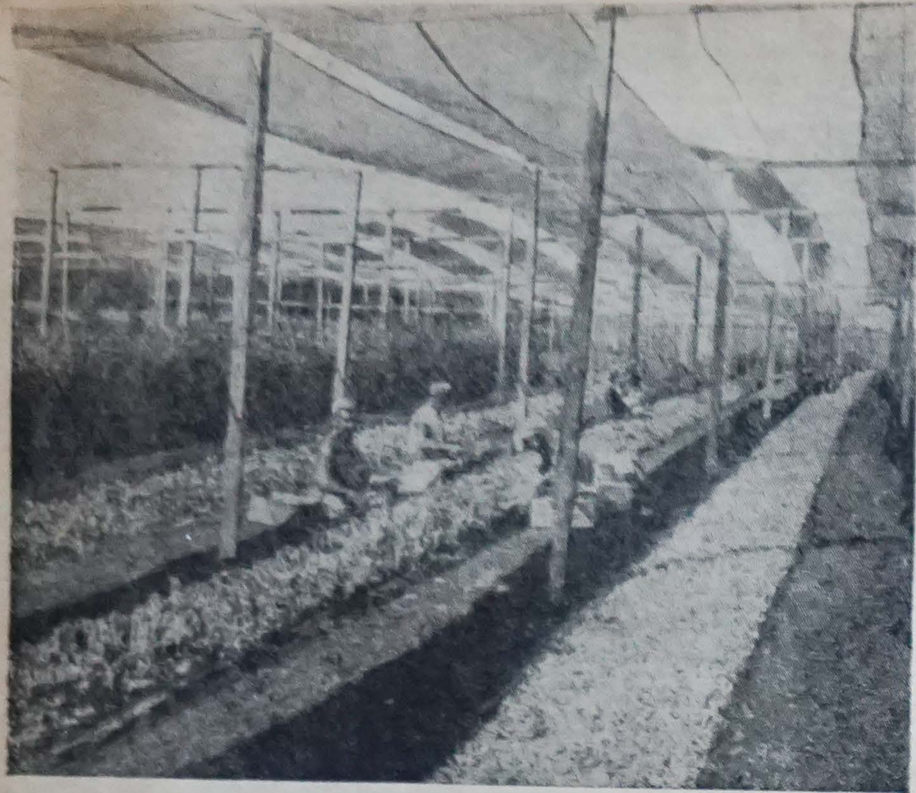

Sufit z cienkiej tkaniny chroni od nadmiernej siły promieni słonecznych

Spływ i dopływ wody reguluje się zależnie od wymagań danej rośliny i stadiów jej rozwoju. Stosowano tu z konieczności zwykłą wodę oceaniczną, uprzednio przepuszczoną przez specjalne destylatory. Przy każdym następnym nawodnianiu wsypuje się do wody pożywki mineralne macro i microelementów w ilościach dokładnie obliczonych zależnie od potrzeb poszczególnych roślin w danej chwili.

Ilości wahają się od jednego do trzech gramów na litr wody. Scianki i dno basenów są impregnowane asfaltem. Poszczególne metrowe, lub półtora metrowe „grządki" są impregnowane i poprzedzielane przegrodami izolacyjnymi, umożliwiającymi ruch wody w każdej działce.

„Grządki" waty szklanej mają głębokość 30 cm., więc odpowiadają przekrojowi bardzo zasobnej gleby próchnicznej; wskazana szerokość ułatwia dokonywanie zbiorów. „Grządki", których długość sięga 120 m — są nieco pochyłe w kierunku podłużnym dla zapewnienia samorzutnego ruchu wody.

Sufit tych „cieplarni" jest ruchomy i składa się ze zwijających się w miarę potrzeby przeźroczystych mat z cienkiego materiału tak, że stopień nasłonecznienia i górnego przewietrzenia, może być dowolnie regulowany.

Te „cudowne" sztuczne oazy są chronione od silnych, porywistych wiatrów specjalnymi, ruchomymi zasłonami, które w kierunku poziomym regulują przewietrzanie i częściowo temperaturę.

Woda, wychodząca z jednej działki, zawiera, na podstawie poczynionych obserwacji, 60 — 70% niewyzyskanych substancji pokarmowych, dlatego też po jej spływie z danej „grządki", woda zostaje ponownie użyta na parcelce sąsiedniej.

Obecnie sposób powyższy stosuje się z wielkim powodzeniem na innych pozbawionych uprawnej ziemi wyspach Oceanu — na wyspach Bożego Narodzenia i dużym atolu koralowym Dżonson, ku południowemu wschodowi od Hawajów oraz na wyspie Św. Heleny. Wiele roślin dla swego kwitnięcia wymaga zapylania kwiatów przez owady, których nie ma na tych wyspach, ogołoconych z roślinności. Tak się zdarzyło z uprawą ogórków i papryki na wyspie Wniebowstąpienia. Przedsiębiorczy Amerykanie zaradzili i temu: sprowadzono natychmiast samolotem myśliwskim z Brazylii kilka rojów potrzebnych owadów.

* * *

Co o tym wszystkim należy sądzić, uwzględniając pewne wiadomości dodatkowe, które ukazały się w prasie europejskiej?

Trzeba stwierdzić, że sposób powyższy wywołuje w przedsiębiorczych kołach handlowych, jak również wśród fachowców powszechne zainteresowanie ze względu na wielkie jego znaczenie praktyczne, które może przyśpieszyć szersze zastosowanie i udoskonalenie tych nowych dobrodziejstw nauki i techniki współczesnej. W „Dzienniku Żołnierza A. P. W." 20 marca 1946 roku w artykule p. Wacława Solskiego „Powojenne cuda", czytamy, że z jednostki powierzchni podobnej kultury zbiera się zawrotnie wysokie plony, że rośliny hodowane tym sposobem rosną nadzwyczaj szybko.

Podstawą tej rewelacji rolniczej są następujące poniżej przytoczone czynniki:

1) Pełnowartościowość pokarmowa sztucznego „gruntu", którą można dowolnie regulować, uwzględniając wszystkie specyficzne momenty poszczególnych roślin bez obawy następczych szkodliwych działań niektórych pożywek. (N.p. następcze działanie wapniowanych gruntów na poplony ziemniaków i zwłaszcza tytoniu).

2) Idealna higiena microflory w środowisku gleby „ciekłej": a) w tym wypadku nie mogą tak łatwo zagnieździć się szkodliwe bakterie i zarazki. Gdyby zaś się ukazały — szklaną „glebę" można bardzo łatwo wydezynfekować, przepłukując ją po spuszczeniu wody, środkami odkażającymi; b) w takich warunkach zjawienie się szkodników jest wykluczone, ponieważ nie znajdują one podstawy do swojej egzystencji.

3) Zupełnie odpada walka z chwastami, która dotąd stanowi jedno z największych zmartwień rolnika. Dzięki brakowi chwastów cały pokarm zużywa się przez rośliny uprawne, które przez to dają wspaniały urodzaj i dojrzewają prędzej.

4) Ogromna oszczędność pracy, czasu i kapitału inwentarzowego, albowiem cała kultura sprowadza się do sadzenia czy też siewu i zbiorów.

5) Uciążliwa i droga kwestia nawożenia przekształca się w czynność prostą, szybką i nader skuteczną, ponieważ wszystkie pokarmowe substancje wprowadza się jednocześnie z prądem wody.

Używanie obornika czy też kompostu odpada, bo struktura „gleby szklanej" nie będzie wymagała ani ulepszania, ani poprawy, gdyż cały pokarm otrzymuje się z wodą, wprowadzoną do „gleby", albo też z wodą rozpryskiwaną z góry.

Struktura „szklanego gruntu" nie ma żadnego znaczenia dla rozwoju roślin, poza jej własnościami mechanicznymi — utrzymania korzeni roślin — i dlatego poprawa przez kultywowanie jest zbędna.

Brytyjska rozgłośnia BBC w swej audycji wieczornej dnia 20 czerwca podała nową wiadomość o uprawie roślin bez ziemi na szerszą skalę.

Okupacyjne władze amerykańskie, wg. tej rozgłośni, założyły pod Tokio 20 akrową plantację pomidorów, ogórków i kalafiorów, przeznaczając te zbiory dla swego garnizonu tokijskiego.

Reasumując powyższe nie trzeba chyba wyjaśniać, jak ogromne znaczenie praktyczne ma ten nowy sposób produkowania artykułów rolnych niezależnie od warunków klimatycznych i terenowych, już nie mówiąc o kolosalnych oszczędnościach kapitału, pracy i czasu.

Inż. WŁODZIMIERZ JEGOROW

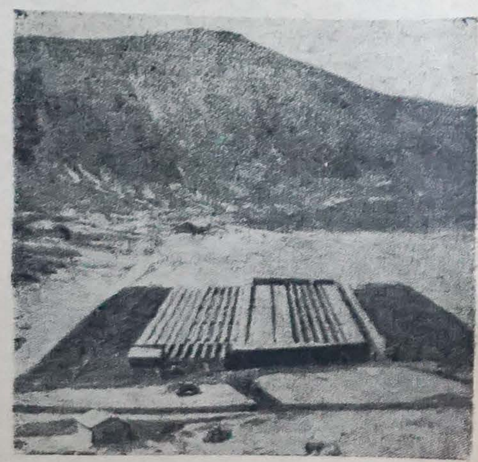

Ogólny widok plantacji warzyw bez ziemi na wyspie Wniebowstąpienia

TARTA RÓŻA

W żałobnie czarnej makutry
zwęglonym amfiteatrze,
trę żywą, surową różę,
trę żywą różę i patrzę,
jak w miazgę amarantową,
w miąższ mlaskający ukradkiem,
zmienia się to, co przed chwilą
różą tu było i płatkiem,
świeżością wonną i kruchą,
kruchością sypką i świeżą
— jak się koliście rozsmaża
ku miski czarnym obrzeżom...
Nic — tylko cukier i róża —
nic — tylko zapach i kolor...
Porwało mnię coś i wklęło
w to błędne, różane koło,
upiło, zauroczyło,
rozkołysało obrotem
i trę tak lato dla zimy
i trę tak czerwiec — na potem...

Zachodzę się tym krążeniem,
jak się od płaczu zachodzi
i nie wiem, która z nich z róża,
czy pamięć pachnie mi słodziej?
I nie wiem już — wklęsła miska,
czy wklęsła bezdeń pamięci,
amarantową tu miazgą
tak przed oczyma się kręci,
tak mi się w oczach rozdwaja
aż śnię — że w czarnej makutrze,
jakieś umarłe już czerwce
różą rozcieram dziś w cukrze,
że dni przekwitłych beztroska,
błogość różana i ciepła,
do serca czarnych obrzeży
tartą mi różą przylepła —
i że mi w głowie kołuje,
i że mi myśli odurza,
wspomnień schowanych na potem,
scukrzała, tarta róża...

BEATA OBERTYŃSKA

EMIGRACYJNE PERSPEKTYWY

Ciasnota kontynentu europejskiego staje się coraz bardziej dokuczliwa. Pewien Amerykanin, z którym problem ten wypadło poruszać jednemu z dziennikarzy francuskich, wzruszył ramionami:

— Wynika z tego — oświadczył — że zbyt wielka liczba ludzi po tej wojnie pozostała w Europie przy życiu.

To stwierdzenie faktu określił Francuz jako — cyniczne. Naturalnie jeżeli się podchodzi do sprawy od strony emocjalnej, trudno je nazwać inaczej. Krew przelana stoi nam wszystkim w oczach, ale dokładnej cyfry zabitych w tej wojnie nikt jeszcze nie zna. Natomiast coraz większe tłumy ludzi żywych obiegają UNRRA, biura, konsulaty, urzędy pocztowe, policyjne, magistrackie, przepełniają okręty i pociągi. Czegoś chcą, domagają się, popychają, pocą, robią tłok. Jednocześnie tzw. sytuacja polityczna jest dla wszystkich po prostu — nieznośna.

W rezultacie Europa, po dwóch wielkich wojnach i tuzinie małych, stała się ciaśniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Stała się nie-do-wy-trzy-ma-nia.

Zanim jeszcze podsumowano straty w zabitych, pewne pismo szwajcarskie ogłosiło cyfrę, obejmującą tych europejczyków, którzy pragną wyemigrować. Cyfra ta opiewa na dziesięć milionów Przy tym autor rewelacji (jeżeli rewelacją nazwać można chęć opuszczenia Europy) zaznacza, że liczba wymieniona obejmuje prawie wyłącznie obywateli stałych, t.zn. nie koniecznie uchodźców, zwłaszcza uchodźców politycznych z terenów „wyzwolonych" przez Związek Sowiecki. Nie, na przykład chce wyjechać majster zegarmistrzowski ze Szwajcarii, kraju wyjątkowo niedotkniętego wojną.

— Dlaczego?! — pytają go.

— Mam tego dość — brzmi odpowiedź.

Jeszcze prostszą odpowiedź dał pewien Żyd, któremu udało się zbiec spod okupacji sowieckiej. Zapytany „dlaczego?", odrzekł z przekonaniem:

— Co znaczy, dlaczego?!

Tak. Ludzie mają dość wojen i, zdawałoby się, że o niczym się dziś nie myśli tylko o ugruntowaniu pokoju. Ale — twierdzi dalej publikacja szwajcarska — nieoficjalna ankieta przeprowadzona wśród kandydatów na emigrację, wykazała, że głównym bodźcem ucieczki z Europy jest niewiara, aby pokój dał się utrzymać, czyli mówiąc prościej, że nowa wojna wisi w powietrzu.

Tu, naturalnie wypadałoby wspomnieć o analogii z okresu Monachium, ale dajmy spokój polityce. Każdy przecież i tak wie... To prawda, że człowiek najmniej zna samego siebie. Sam w sobie wie, o co chodzi, a tylko zdaje mu się, że bliźniego nie tyle trzeba kochać — co okłamywać. Nie zmienia to jednak sytuacji i problemu zasadniczego: primo — jakim sposobem wyjechać, secundo — dokąd?

To „dokąd" wydaje się sprawą trudniejszą. No, bo „jak" to jeszcze by się dało rozstrzygnąć. Na okręt można czekać tydzień, dwa, pięć, miesiące, rok. Ale przy jakim molo należy wysiadać?

Sprawy możliwości wyjazdu do Stanów Zjednoczonych nie warto nawet poruszać. Wystarczy odesłać ciekawych do ... pewnego ironicznego uśmiechu, uśmiechu urzędnika konsulatu U.S.A. Australia jest tematem nazbyt znanym: z oczytanego tytułu: „Pusty kontynent" i z podtytułu: „Który takim pragnie zostać". Nowozelandczycy są „podobno" bardzo gościnni. O południowej Afryce marzą tylko nie ścięte jeszcze głowy. Do krajów tropikalnych nikt znów nie chce... W Indiach boją się tygrysa, w Afryce muchy tse-tse, a na Jawie komisarza Wyszyńskiego. W Palestynie awantury, w Egipcie też, w Bombaju też. Na Japonię mają zwyczaj padać bomby atomowe. Chiny można polecić ludziom o silnych nerwach. Ani zegarmistrz z Zurichu, ani kupiec z Molodeczna tam nie pojadą. Byłoby to tak, jakby ktoś tęskniący za sielanką wybierał się pod panowanie „marszałka" Tito.

Z tego bardziej niż pobieżnego przeglądu wynika zatem, że nie tylko w Europie...

— Przepraszam stokrotnie, a Ameryka Południowa!

Tak, owszem, zapomniałam. Jest tam nawet kraj pewien, kraj, który jesienią roku 1945 ogłosił, że każdemu kto by tylko chciał przyjechać, udzielone będą wizy bez żadnych ograniczeń i zapytań. Absolutnie każdemu. Kraj ten idzie tak dalece na rękę, że udziela azylu nie tylko przestępcom politycznym, ale nawet, po cichu kryminalnym. Kraj, o którym fama głosi, że można w nim zarobić pieniądze i po pięciu latach wyjechać niemal milionerem. Krajem tym jest Venezuela.

W OBUDZENIU SIĘ NOCNYM

W miłowaniu i w wątpieniu tutaj
straszniej i mądrzej już być nie mogło —
pocałujmy się gwiazdo modra,
wargi też są jak wódka i obłok.

Zmarli stamtąd nie słyszą jak mówią
wody i ptaki złotouste.
Skoro więcej nic nie mam, radości z tego że jestem,

wejdź w serce puste.

Pociesz snem, w którym się paslesz,
żeby dusza odetchnąć mogła —
nocy, nocy, wole czarny,
z astronomią jak z kaliną na rogach.

Na ziemi, gdzie minę — cóż mogę?
z tym światem się cierpliwie pomęczyć —
z rozpaczy niech będzie, ale i z piękna,
gwiazdo biała, wianku jezior i dziewczyn.

TADEUSZ SUŁKOWSKI

Sprawa przedstawia się aż tak nęcąco dlatego, że Venzuela ożywiona jest normalną gospodarką, w naszym tego słowa znaczeniu, dopiero od lat 25-ciu, a życie polityczne datuje się tam zaledwie od lat 10-ciu, t.zn. od roku 1935, w którym to umarł ś. p. dyrektor Juan Vincente Gome.z Gomez był niejakim podobieństwem Hitlera. Wieszał swych przeciwników politycznych na hakach rzeźni bydlęcych, urządził kilka obozów koncentracyjnych, a gdy umierał i spowiednik nakłaniał go, aby przebaczył swoim wrogom. Gomez westchnął i odpowiedział:

— Wszyscy są już zgładzeni.

Jakkolwiek wydaje się nie za bardzo pewne co mówił podczas spowiedzi, która jest tajemnicą, faktem jest, że po jego śmierci kraj przyszedł do siebie i chce się stać państwem z prawdziwego zdarzenia, ale ... brak mu ludzi.

Właściwymi władcami są tam. Standard Oil i Royal Dutch. Jedynym produktem — nafta. Nafta jest wszędzie. Tryska z ziemi, pływa po powierzchni leśnych jezior, wylewa się w morze, pali się sama latami. Wszystko jest tłuste, gorące. Z góry pali podzwrotnikowe słońce.

Venzuela, powiadają niektórzy, jest rajem na ziemi: nie zna podatków, nie posiada budżetu wojskowego. Przed napaścią z zewnątrz chronią ją interesy amerykańskich towarzystw naftowych, które są tak potężne, jak mocarstwa. Wszystkie zaś wydatki państwowe pokrywa też sama, wydzierżawiona tym samym towarzystwom, nafta. Każdy — mówią — posiada tam swój własny, wspaniały ciężki wóz amerykański, a mieszka jak król! Hotel Alvila w stolicy (Caracas) nie ma sobie równego na całej kuli ziemskiej. Jego przepych przypomina bajkę. Otoczony parkiem o niewidzianych gdzie indziej trawnikach, wśród palm, drzew cedrowych, bananowych, wodotrysków, kwiatów i kolorowych, jak kwiaty, papug.

Za pokój płaci się przeciętnie 30 dolarów na dobę, obiad kosztuje 10 dolarów. Komary gryzą dniem i nocą. Łazienki wyłożone są majoliką, porcelaną, marmurem i kryształem. Gdy nie ma deszczu, nie ma też wody w hotelu. A gdy deszcz pada, psuje się elektryczność i dlatego w każdym numerze znajduje się zwyczajna świeca dla użytku gości.

Upał dochodzi tam do nieprawdopodobnej ilości stopni Fahrenheita, a zarobki sięgają zawrotnej sumy w dolarach. Zwłaszcza inżynierowie i geolodzy pławią się w banknotach i pocie, a wracają spod zwrotnikowej puszczy, po odkryciu nowych źródeł naftowych, tak pogryzieni przez komary, że skóra ich przypomina sito.

— Ludzi! Jak najwięcej ludzi nam potrzeba! — woła Venezuela i zaklina wprost, aby tam przyjeżdżać. Charakterystyczne, że jedno z pism, powtarzając apel Venezueli, zaznaczyło, że spodziewa się najbardziej napływu Portugalczyków i ... Polaków, którzy cenieni są ogromnie jako inżynierowie i pionierzy. Wokół leży dziewicza puszcza. Ciemna, ponura puszcza, w której nigdy nie wysycha błoto, w której stoi woda, pełzają jadowite węże i brzęczące komary, komary, komary.

Kilo masła kosztuje 3 dolary, kilo mięsa 3 dolary, litr mleka 1 dolar. Litr benzyny prawie zero.

Venezuela, zapatrzona jest całkowicie w Stany Zjednoczone. W języku sowieckim nazywało by się to: „licom k..."

— Cóż chcecie — powiada tamtejszy obywatel — Europa nas rozczarowała. Dwie wojny światowe w ciągu 25 lat... 25 rewolucyj w ciągu stu lat istnienia Venezueli, a później dyktator o typie Hitlera i ... kilo masła 3 dolary... przy tym nie jestem inżynierem, ani geologiem. Zaczekam jeszcze. Nie jedna zresztą Venezuela na drugiej półkuli. Chili i Peru wprawdzie zrezygnowało z europejskiej emigracji, nie chcąc się narazić na afront odmowy, ale Columbia, ale Paragway, który wcale nie jest taki maleńki, jak się wydaje na mapie, ale Argentyna o złej opinii i doskonałych warunkach kolonizacji i Brazylia — bogaczka...

Dokąd emigrować? Najlepiej pójść do wróżki. Bo poza tym wszędzie jest, jak wszędzie: jedni mają szczęście, drugich gryzą komary. Był nawet taki pechowiec przed wojną, który na Polesiu zachorował na śpiączkę...

Może w Europie się uspokoi? A może będzie wojna?

TETA

†

Za spokój duszy ś.p. IKI zgasłej tragicznie na progu nowego życia, odprawione zostało nabożeństwo dnia 24. VI. 1946 roku w kościele parafialnym w m. Pescara.

Na Jej intencję proszę Przyjaciół o Zdrowaś Maria.

Jur.

FELIETONY WŁOSKIE

LIST Z WENECJI

— Jedzie pani do Wenecji? — zapytała Zosia z Garwolina, unosząc ze zdumieniem cieniutkie brwi. — No, to się pani grubo rozczaruje! Po pierwsze kanały śmierdzą, po drugie jest drogo, po trzecie wystawy w Maceracie nie są gorsze...

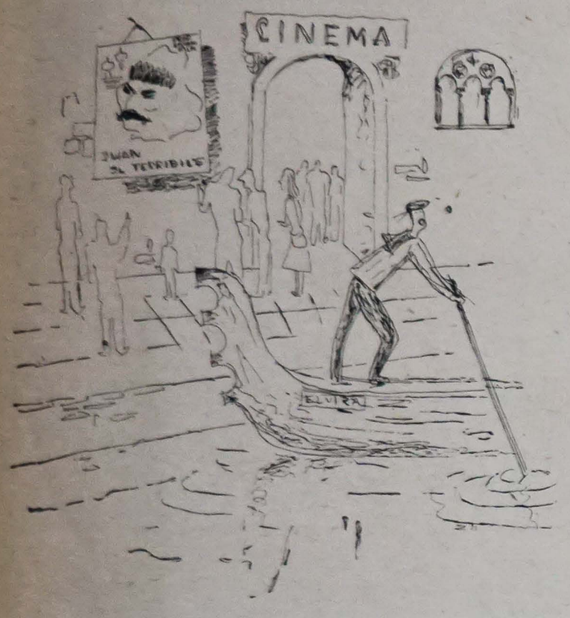

rys. Z. M.

— Jedzie pani do Wenecji? — rozpromieniła się miss Grierson, która urodziła się w Anglii, kończyła szkoły w Indiach, a uniwersytet w Paryżu. Oh, it's lovely! Chciałabym tam pojechać jeszcze raz! Wenecja jest... taka... taka właśnie, jak ją pani sobie wyobraża.

Z tymi oto dwoma opiniami o Wenecji, oraz z paczką sandwiczy i pomarańczą — ruszyłam w podróż.

Z jednej strony uśmiechnęta para a z drugiej: „serdeczne pozdrowienia z Wenecji przesyłają...” Ileż takich kartek walało się po szufladach warszawskich, krakowskich, czy lwowskich, po szkatułkach i na strychach, w Kaczym Dole czy Mysikiszkach.

Pani, sfotografowana na tle kościoła św. Marka, albo przytrzymywała jedną ręka parasolkę, torebkę i długą do ziemi suknię, drugą rzucając ziarno trzepoczącym się gołębkom, albo karmiła ptaszki w krótkiej sukience z talią na biodrach, ostrzyżona à la garconne, lub też nosiła kostium, czy suknię z talią w talii, z włosami, opadającymi na ramiona, bez kapelusza, bez parasolki, bez pończoch.

Panowie, towarzyszący paniom, w białych getrach, wąskich spodniach, w kapelusikach „canotier”, z wąsikami różnych kalibrów, opierali się wdzięcznie na laseczce. Potem wraz z matemorfozą kobiet i panom z placu św. Marka ubywało raz po raz coś z garderoby. Zniknęły getry, białe rękawiczki, wąsiki, a tylko ci, bardzo zgrzybiali, opierali się na laseczce. Z roku na rok zmieniały się stroje par w podróżach poślubnych do Wenecji. (Pary bez ślubu pozbawiały się przyjemności wysyłania znajomym pozdrowień.)

Tylko sam plac i gołębie nie ulegały modzie.

Gołębie te, odfotografowane tysiąckrotnie przez wszystkie aparaty świata częściej pozują do zdjęć, niż najbardziej renomowane gwiazdy filmowe. Są ufne, dobrze odżywiane — mimo trudności z UNRRA.

Powietrze ma typowy zapach zatoki: słonej wody, frutti di mare, a w ciasnych, bocznych kanalikach czegoś więcej jeszcze. Trudno, człowiek nie jest stworzeniem pachnącym. Ale za to w żadnej wodzie nie łamią się tak światła i nigdzie na świecie niebo nie ma tej kryształowości aqua mariny.

Domy, do których skacze się prosto z gondoli, balkoniki, kruzganki, mostki — przerzucone łukowato nad zieloną wodą, bezszelestnie sunące łodzie o długich, wąskich szyjach, jak płynące ptaki — to jest właśnie Wenecja. Zjeżdżali tu od lat artyści, zakochani, kupcy, globtroterzy, orbisowi wycieczkowicze i różne obieżyświaty. Wśród nich nie zabrakło nigdy Polaków.

* * *

Plac św. Marka, chociaż nie skopiowany z Krakowskiego Rynku, (jak to utrzymują niektórzy polscy szowiniści), ma z nim pewne cechy rodzinnego podobieństwa, jakie dają czasem nawet dalekie związki krwi.

Tylko, że w Krakowie, charakter miasta jest dośrodkowy: wszystkie ulice krążą, otaczają, zbiegają się w Rynku, a w Wenecji przeciwnie: rozchodzą się od św. Marka, ruchem odwijającej się wstążki od środka, ku wodzie.

Historyczne konie św. Marka, tak dobrze utrwalone w naszej pamięci przez Żeromskiego w „Popiołach”, niejedną już zrobiły podróż lądem i morzem, zanim znów stanęły na frontonie przepysznej Katedry. Napoleon, po wejściu do Włoch, kazał je zabrać do Paryża. Ręce polskich legionistów z rozkazu Dąbrowskiego ściągały je ostrożnie z Bazyliki na plac.

Mniej więcej półtora wieku temu snuły się tu w dość podobnym charakterze nasze wojska, szukające po obcych ziemiach drogi do Polski. Żołnierze gapili się na gołębie, dziwowali się Katedrze, że taka do cerkwi podobna, kochali się w pięknych signorinach i czasem kazali się wieźć gondolą przez Canale Grande... Jak my...

* * *

W podziemiach wspaniałego pałacu Dożów mieści się dawne więzienie. Kiedy mijamy ciemne, nisko sklepione korytarze, maluteńkie, zakratowane okienka, wilgotne cele, — wspomnienia atakują nas z niespodziewaną żywością. Chociaż „mój” Pawiak był trochę lepszy, a Butyrki Jarka „trochę” gorsze, każde więzienie jest do siebie podobne.

Za to na kwadratowym dziedzińcu słońce ocieka słodyczą ciepła, jak plaster miodu, dzwony wybijają godziny, nasycające miasto spokojem, zaufaniem, pewnością. Niebo jest jasne i wysokie.

W taki właśnie dzień warszawskiej „Primavery” młody poeta Stachurski, stojąc pod kratą ambulatorium z świeżo otrzymanym wyrokiem śmierci, zapytał mnie, czy wiem, kiedy niebo jest najpiękniejsze? Nie wiedziałam.

— Kiedy się je ogląda przez kraty więzienia — powiedział z uśmiechem.

Nasz Cicerone bierze papierosa, przypatruje mu się uważnie i po stwierdzeniu, że nie jest amerykański, zapala go, wzdychając. A potem filozofuje, że więzienie, w którym dawniej umierali ludzie, teraz jest rozrywką dla turystów, że idzie epoka nowego ładu i że „bello jest vivere”.

Młody kapral, który się do nas dołączył, uśmiecha się cynicznie:

— Po pierwsze więzienia są. Nie tu, to gdzieindziej. A po drugie bracie, jak tu wasi przyjaciele z gwiazdą przyjdą, to zaraz zamkną muzeum, żeby się więzienie nie marnowało. Butyrki kubek w kubek takie same. Znam ja te nowe czasy, które idą... Jeszcze i ty posiedzisz...

Włoch śmieje się z dobrego żartu.

Gołębie gruchają. Po niewinnym niebie suną powoli obłoki. Spokojnie jest w Wenecji. Wprawdzie tuż obok, w Trieście, czerwony sztandar szachowuje się niepokojąco, ale Triest — Triestem, a Wenecja — Wenecją. La vita e bella!

* * *

Przed kinem ogonki. Grają właśnie długo zapowiadany film „Iwan Groźny”.

Car Iwan, mimo, że jest filmem montowanym na eksport, nie wiele odbiega od innych obrazów sowieckich. Oto Car Iwan, polityk, mąż stanu, patriota, zrzesza wszystkie plemiona rosyjskie „wbrew reakcji” w jedną całość. Sam sobie wkłada carską czapę na głowę.

Cudzoziemcy, posłowie obcych państw, obecni na koronacji, szepczą między sobą, wyciągając w zdenerwowaniu długie, gęsie szyje z gufrowanych kołnierzy.

— Anglia nigdy na to się nie zgodzi.

— Papież nie pozwoli!

— Europa zaprotestuje!

— Jeżeli tylko Rosja będzie silna, wszyscy ją uznają — odpowiada cudzoziemcom Rosjanin.

Spoza szlachetnej twarzy o natchnionych oczach mądrego cara Iwana, wychyla się inna głowa — duża, o haczykowatym nosie, skośnych oczach i wiszących wąsach. Czy ten film jest o carze Iwanie, czy o Batiuszce Stalinie? Czy to car Iwan przeprowadza swoją konsekwentną politykę, popartą jedynym prawem, na jakie stać Rosję, podstępem i siłą — czy dobrze nam znani dyplomaci sowieccy z ONZ?

Wszyscy, którzy Rosji nie znają, mogą się wiele na tym filmie nauczyć.

Jest przeaktualny.

* * *

Mój list z Wenecji miał być również listem z Murano wyspy szklarzy artystów. Cóż — kiedy car Iwan pokrzyżował mi plany. Zabrakło miejsca w tym feljetonie na szklane pieski, ramki, popielniczki, tańczące pary, wazony do kwiatów. Te wszystkie przedmioty wykonane precyzyjnymi rękami robotników, służące jedynie do ozdoby codziennego życia — jakim mają sens wobec podniesionej pięści?

rys. Z. M.

Murano przestało być aktualne. W tym felietonie przynajmniej.

HALINA GRODZICKA

KAT I JEGO CÓRKA

Było to w Genui i wiało sirocco. Przybyło gdzieś z głębi Afryki, przesunęło się po falach Morza Śródziemnego i ustroiwszy je w białe grzebienie, wylądowało na fatalnym włoskim wybrzeżu.

Są ludzie, którzy kochają sirocco. Przynosi ono ciepłe powietrze, wilgoć i deszcz, potrząsa gałęziami drzew i wichrzy wiecznie zielone palmy. Potem uderza gniewnie w szyby okien, bo jest wścibskie i niespokojne. Wślizguje się do mieszkań, skrzypi po starych drewnianych posadzkach, zawadza o klamki i haczyce.

Są ludzie, którzy nienawidzą sirocca. Zrzuca ono kapelusze z głów, wyśpiewuje dzikie melodie na drutach i odbiera oddech słabym. W nocy łazi i łasi się, ocierając o ściany, zasłony i meble. A potem rozpływa się w rzęsistym deszczu, płacząc, zawodząc i wyjąc, jak psy w księżycowe wieczory, jak wilki w burzowe noce gdzieś na Alasce lub może tylko w lasach koło Wilna przy Mołodeczna.

Więc było to w Genui i wiało sirocco. Zbliżał się wieczór. Przed powrotem do domu chciałam jeszcze umyć włosy i szukałam fryzjera na prawo i lewo. Ale sklepy już zamknięto. Otwarte były tylko bary, osterie i restauracje, skąd zalatywała woń wina, kawy i ryb. Nic dla mnie.

Kiedy skręciłam w wąską uliczkę prowadzącą do mego pensjonatu, zauważyłam małą wystawę, w której stała dama o nagim gorsie i jasnych lokach. Koło damy, a raczej pod jej woskowym biustem, leżały siatki, grzebyczki, wody kolońskie i różne fryzjerskie drobiazgi. Ponieważ sirocco pchało mnie wyraźnie w stronę sklepu, otworzyłam szklane drzwi i znalazłam się wewnątrz. Zaledwie jednak weszłam, już tego żałowałam. Niby nic, a jednak... Lustra były jakieś szare, na stoliczku szara, nie bardzo czysta cerata, a w kącie parawan, oblepiony także szarą materią. Lampa świeciła zimnym światłem sali operacyjnej. W pierwszym odruchu chciałam się cofnąć, ale tam, na ulicy stało sirocco i tupało ze złością w trotuar, szarpało starym fryzjerskim szyldem i bębniło w drzwi tysiącem natrętnych paluchów.

Zza parawanu wyszło dwoje ludzi. On był stary i miał twarz garbusa. Miał też i garb — jak zauważyłam później — ale garb, który widocznie nie przeszkadzał mu w rozwoju na wysokość, bo wzrostu mu nie brakowało. Jednym okiem spoglądał na moją osobę, a drugie utkwił gdzieś w kącie, gdzie stał przyrząd do trwałej ondulacji. To nie miało żadnego specjalnego znaczenia... Po prostu rozstawienie oczu tego wymagało. Zresztą jeśli chodzi o mnie, jedno oko wystarczało mi zupełnie. Spojrzałam na jego ręce i odrazu pomyślałam, że w poprzednim wcieleniu człowiek ten musiał być katem. Takim samym katem, jak ten, który prowadził Marię Stuart na ścięcie lub spuszczał nóż gilotyny na białą szyję Marii Antoinetty.

Córka Kata szła za nim i niosła topór. Była ubrana tak samo, jak on i miała takie same ręce garbuski, blade i węzłowate z brudnym kciukiem i żałobnymi paznokciami. Była tak samo zezowata. W obecnym wcieleniu strój jej ograniczał się do czarnego satynowego fartucha, a zezowate oko, to, które do mnie nie docierało, zawisło smętnym wzrokiem w okolicy suszarki do włosów.

Chciałam powiedzieć, że już niczego nie chcę i że sobie pójdę, ale

rys. Z. M.

nie umiałam wysłowić tego po włosku. A oni — pokazując zepsute uzębienie w złowieszczym uśmiechu — już mnie zapraszali przed lustro. Nim się spostrzegłam, siedziałam na fotelu, który był w rodzaju tych, jakich używają dentyści i miałam ściśniętą szyję brudnawym fartuchem, zawiązanym w sumienny węzeł na karku.

Sirocco pełzało u szpar pod drzwiami, z wyraźnym zamiarem wśliznięcia się do sklepu, podczas gdy tych dwoje zmawiało się za parawanem. Coś się tam gotowało, bulgotało... Zastanawiałam się, czy to nie smoła, którą zamierzali mnie oblać — Kat i jego córka?

Na chwilę zamigotała mi myśl o ucieczce, ale fotel trzymał mnie w kleszczach, jak potworny, mechaniczny polip. A już i kat sunął z za parawanu, niosąc w łapach parę nożyc, największych chyba na świecie. Takimi nożycami strzygło się napewno barany za czasów wielkoludów, kiedy i same barany były wielkie, jak słonie... Chciałam mu to powiedzieć, ale nie wiedziałam, jak baran po włosku. Powiedziam więc:

— Be... bee... — i wskazałam nożyce.

Garbus zatrzymał się i popatrzył na mnie uważnie. Może myślał, że jestem wariatka. Ale co mnie to mogło obchodzić? Nie chciałam się strzyc! Nie chciałam się strzyc za żadne skarby świata! On jednak zbliżał się już znowu, nieubłaganie wolnym, przyczajonym krokiem.

Za oknem wystawowym sirocco wpatrywało się oszalałymi źrenicami w woskową damę. Widziałam w lustrze jej biało różowy kark i blond loki. „Jeśli szyba nie wytrzyma — myślałam — jeśli sirocco weprze się w nią całą siłą, szkło trzaśnie na tysiące kawałków i zasypie woskową damę, mnie, kata z córką, wreszcie świat — i może wtedy w końcu się uspokoi...

Kat tymczasem rżnął moje włosy. Mówię rżnął, bo nożyce zgrzytały, jak żelazo po szkle. Wilgotne od potu kosmyki osuwały mi się z ramion i spadały na podłogę. Kiedy był po mojej lewej stronie, żegnałam się czule z lewym uchem, a kiedy przesuwał się na prawo, zastanawiałam się, czy łaskawy los oszczędzi mi również i to drugie. Wreszcie zamknęłam oczy...

Kiedy je otrzymałam, nikogo już przy mnie nie było. Tylko na szarej ścianie parawanu migotały dwa nachylone ku sobie cienie, szepczące, tajemnicze, złowróżbne... Czekałam, co teraz nastąpi... Lustro odbijało moją bladą twarz i ciemne kosmyki obciętych włosów na tle białego fartucha. Fartuch ściskał mi gardło — a za oknem sirocco szamotało się z drzwiami i huśtało lampami zawieszonymi nad jezdnią.

Potem oboje wyszli z za parawanu. On niósł miednicę na wysokiej podstawce, a ona dzbanek z wrzątkiem. Para buchała i na chwilę mnie zamroczyło. Lustro stało się mętne, a ja rzuciłam się na fotelu i chciałam protestować! Chciałam krzyczeć, wołać pomocy, bo wiedziałam, że mnie obleją ukropem, zamordują i obedrą ze skóry!

Wtłoczyli mi głowę do miednicy i zamydlili oczy. Bańki wpychały mi się do nosa, do uszu, do ust, a oni sapali nademną, jak przy jakiejś ciężkiej robocie. Przysięgałam sobie, że nigdy w życiu nie pójdę więcej do fryzjera, nie przyjadę do Genui i nie wyjdę sama na ulicę.

Wreszcie okręcili mi głowę szorstkim ręcznikiem i znów ciężko nad nią pracowali. Spociłam się przy tym — ja i oni. Woskowa dama na wystawie miała też wilgotne krople na nieskazitelnych plecach. Tak, to była naprawdę ciężka praca. Nawet sirocco przestało się rzucać za drzwiami...

Kiedy już było po wszystkim i garbus rozczesywał i kręcił — jakieś jemu tylko wiadome — misterne sploty na mojej głowie, przyszedł mi na myśl inny wieczór, już bardzo dawno temu. Jeszcze w Warszawie... Lustro było wtedy lśniące i jasne, pan Karol brał giętkimi palcami pasma moich włosów, upinał je zwinnie i szybko, a gdy już były wysuszone, rozczesując je błyskawicznie, wprawnie i lekko, szepnął mi do ucha:

rys. Z. M.

— Czy chciałaby pani skorzystać z tego, że pan Antoine przyjechał? Może obejrzy pani uczesanie?

Byłam wtedy zmęczona. „Niech sobie obejrzy” — powiedziałam obojętnie i czekałam. Ukazał się wreszcie. Nie mogłabym określić jak naprawdę wygląda. Pamiętam tylko jakąś figurę okręconą w sinawo-biały jedwab z sinawym długim nosem, bezbarwnymi dłońmi i srebrnym grzebykiem, wetkniętym w kieszeń w okolicy serca. Moje uczesanie było widocznie bez zarzutu. Pan Antoine nie potrzebował nawet wyciągać srebrnego grzebyka. Musnął palcami powietrze nad moim szczołem i zniknął, jak sen. Przy praceniu okazało się, że rachunek był o 15 złotych wyższy.

— Dlaczego? — pytam.

— Jakto — odpowiedział mi zgodny chór zza kontuaru — a pan Antoine?

Zrozumiałam. Pan Antoine to przecież ten, o którym „pisało” w jakimś piśmie, że urządza przyjęcia w białych frakach i śpi w szklanej trumnie. Jest bożyszczem kobiet Paryża. Bab zwariowanych oczywiście. Ciekawe, ile też bierze, gdy naprawdę czesze?

Teraz, w Genui, zrozumiałam i zwariowane baby w Paryżu i przestałam żałować 15 złotych. Ile bym dała, żeby mieć do czynienia z białym Antoinem, a nie z katem i jego córką! Ile bym dała, żeby być w Paryżu, a nie w Genui. Wszędzie byle nie tu, gdzie nie podobna uwolnić się od tego przeklętego, złośliwego jak małpa, wiatru. W Paryżu nie ma sirocca. Przed wielkim kryształowym lustrem wielki Antoine trefił równocześnie piętnaście dam, o gładkich szyjach koloru kości słoniowej. Każda dama miała włosy w innym odcieniu, od biekitno-kruczych do srebrzysto-blond. Czesał błyskawicznie i lekko, przerzucając srebrny grzebyk z lewej dłoni do prawej, przymrużał oczy i dotykał długimi, bladymi palcami puszystych loków, jak strun jakiejś dziwacznej harfy. I tak powstawały jedyne w swoim rodzaju koafiury à la Antoine. Słynne na cały świat. Indywidualne — do każdej twarzy. Wąskiej, czy szerokiej. Czerwonej czy żółtej. Brzydkiej, czy zachwycającej. Potem kładł się do szklanej trumny, wtykał pod głowę srebrny podnóżek i spał. Ale to było już dawno. Może go już nie ma, albo zestarzał się i woli zwykłe łóżko. Może zmienił się w sirocco i protestuje tam oto za szybą...

Kat tymczasem strzępywał włosy z odkręconego ze mnie fartucha. Miał przy tym dziwnie pokorny i żałośliwy wyraz twarzy, jak orangutang, którego spotkały niezasłużone cięgi od dozorcy. Z uczuciem ulgi wyprostowałam nogi i przeciągnęłam się na fotelu, który również jakby się odprężył. Lecz oto córka kata z drewnianym pudełeczkiem od manicuru zasiadła przy mnie i wyciągnęła rękę, aby ująć moją. O... co to to nie! Zerwałam się i powiedziałam „No!” tak stanowczo, że nawet sirocco stuliło uszy i zamilkło.

Córka kata przybrała teraz ten sam wyraz, co ojciec. Na chwilę nawet zrobiło mi się ich żal... Stali obok siebie, dziwnie starzy, garbaci i pokryci pyłem. Wyciągnęli zlęte, kościste łapy po zapracowane liry... po okup za moją wolność... Z. M.

NA POŻEGNANIE WŁOCH

(Wystawa plastyków polskich w Rzymie)

Nie bez pewnej melancholii ogląda się otwartą z końcem czerwca w Rzymie wystawę. Wydaje się bowiem, że będzie to wystawa pożegnalna, że będzie to bilet wizytowy z sakramentalnymi (niegdyś) literkami ppc (pour prendre congé) — na pożegnanie. Dziwnym

„Kwiaty" M. Bohusza-Szyszko

zbiegiem okoliczności po wizytach w innych galeriach (San Bernardo, Art Club) obrazy naszych malarzy zawędrowały znowu do tych samych sal Międzynarodowego Koła Plastyków, na via Margutta, gdzie odbyła się wystawa powitalna naszych malarzy, to jest tam, gdzie złożyli swój bilet wizytowy malarstwu europejskiemu po przybyciu ze Środkowego Wschodu.

Nic więc dziwnego, jeśli oglądając ostatni pokaz, mieszać się mogą widzowi nastroje z tamtej i dzisiejszej wystawy. Tamta naładowana była elektrycznością i miała w sobie coś z buntowniczego wyzwania rzuconego tradycjonalizmowi środowisk plastycznych Wiecznego Miasta. Obecna, trochę skromniejsza w rozmiarach, ma w sobie więcej spokojnej stateczności, osiągniętej dzięki dojrzałości wystawionych prac, a nawet dopatrzyć by się na niej można drobnych objawów pogodzenia się i zbliżenia artystycznego do osiągnięć miejscowego środowiska plastycznego. Aluzja ta odnosi się tylko do rozbieżności — jeśli tak można powiedzieć — ideologicznych, bo jeżeli chodzi o stosunki osobiste z artystami miejscowymi — włoskimi i cudzoziemskimi — to zawsze panowała wielka harmonia, głęboka sympatia i wzajemne poszanowanie.

Chyba również jest to czysty zbieg przypadków, że jak na pierwszej wystawie, tak i w tej ostatnio oglądanej, bierze udział ta sama liczba artystów i malarzy. Jest ich dwunastu, ale nie wszyscy ci sami. Niektórych bowiem z pierwszego zespołu zluzowali nowi. Tak więc nie ma Burdyłły, Matuszczaka, Gliwy i Boguckiej, są natomiast nieobecni poprzednio Bohusz - Szyszko, Drozd, Fusek - Forosiewicz Stocki. Pozostali: Jarema, Turkiewicz, Westwalewicz, Siedlanowski, Was, Kościałkowski, Haar i Glett.

Z rozwieszonych prac, kierując się gustem czysto osobistym, wyróżnilibyśmy następujące: „Kwiaty" i „Naturę martwą" — Szyszko-Bohusza, „Akt" — Fuska, „Głowę" — Gletta, „Portret Tamburego" — Jaremy, „San Francisco" — Kościałkowskiego, „Uliczkę" i „Akt" — Siedlanowskiego, „Martwą naturę I" — Turkiewicza, „Martwą naturę I" — Wąsa oraz „Kwiaty" — Westwalewicza. Nadto z rysunków głowy kobiece — Westwalewicza, akty orientalne — Turkiewicza, widok spod Castel di Sandro, akty Wasa.

Aby nie poprzestać na podanym powyżej czysto subiektywnym wyliczeniu dodamy, że Jarema, zachowując swój dynamizm kolorystyczny, wystąpił jednak z pracą zharmonizowaną w tonacji, którą nazwalibyśmy „zitalianizowaną". Również w tonacji barw łamanych utrzymane płótno Kościałkowskiego jest bodaj pierwszym jego bliższym nawiązaniem do malarstwa nie leżącego wyraźnie na marginesie ekstrawagancji. Inne prace tego malarza wykazują również tendencje do większej harmonizacji. Turkiewicz nadal trwa w poszukiwaniu odważnych efektów kolorystycznych. Westwalewicz zaś przechodzi nową przemianę swego stylu w kierunku jakiejś wieloplanowości kolorystycznej, co świadczy o nieustających poszukiwaniach tego wrażliwego malarza.

Rzeźbiarz Glett wystawił dwie mocne „głowy", każda odmiennie potraktowana, w obu jednak udatnie wydobywając wartości bądź dekoracyjne (głowa kobieca), bądź wyrazisto (głowa męska). W zestawieniu z nimi praca Stockiego wydaje się raczej konwencjonalna.

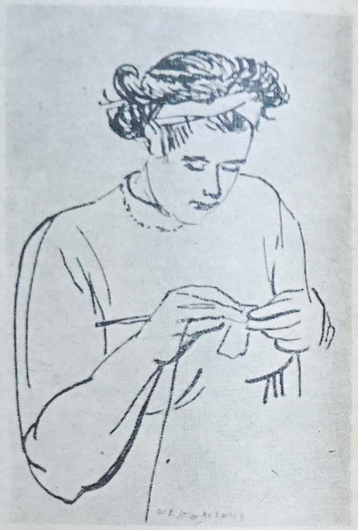

Rysunek St. Westwalewicza

W swej dalszej przymusowej wędrówce nasi artyści plastycy znajdą się niedługo w nowym środowisku, może już nie tak pobudliwym, jak Włochy, ale bardzo za to chłonnym. Będą mogli wnieść do niego swe bogate, wielorakie i już długoletnie doświadczenie, poczynione na przestrzeniach ciągnących się gdzieś od Teheranu aż pod Rzym, czy Florencję. Ostatnia wystawa umacnia nas w przekonaniu, że ze spokojem liczyć mogą na siebie i w tym oparciu kontynuować swą rzetelną pracę artystyczną, którą zaliczyć można na dobro polskiego imienia i polskiej kultury.

PEN

ZGON ZASŁUŻONEJ POLKI

Dnia 10 lipca 1946 roku zmarła w Rzymie Eugenia z Kierbedziów Kierbedziowa. Urodzona na Żmudzi 6 października 1859 roku, córka znanego inżyniera generała Stanisława Kierbedzia i żona również Stanisława Kierbedzia.

Rozumiejąc dobro Polski przez dobro jej obywateli wszystkich warstw społecznych, utrwalała i popierała kulturę polską w rozlicznych jej objawach, wypełniając tym jednocześnie wolę swego przedwcześnie zmarłego męża. Wielkie fundusze którymi rozporządzała, ułatwiały jej zadanie. Wytyczne plany i szczegółowe opracowania rozlicznych fundacji robiła sama. Najintensywniejszy okres jej działalności przypada na lata 1909 do 1917. Dzięki niej powstały następujące fundacje: Gmach Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, Gmach Przemysłu Ludowego i Biblioteka Publiczna w Warszawie. Szkoła Pracowników Kooperatyw w Otwarzewie, Dom Ludowy zaczęty, z powodu wojny nie został dokończony. Gospoda dla pielgrzymów w Częstochowie, Pawilon dla rekonwalescentów w Drewnicy. Dokończenie Zakładu w Karolinie. Wkład miliona rubli w bank, który na wzór dawnego

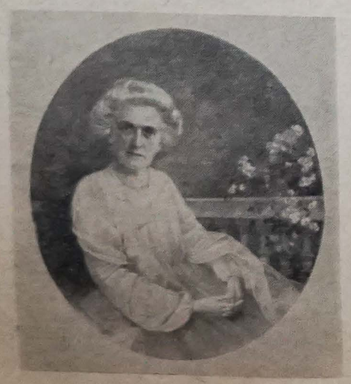

ś. p. Eugenia Kierbedziowa (według miniatury Kazimiery Dąbrowskiej)

Banku Polskiego miał finansować polskie przedsięwzięcia. Dom dla artystów, malarzy i rzeźbiarzy w majątku Rybiniszki (Inflanty Polskie).

Dekretem z dnia 11 kwietnia 1929 roku Rada Miejska Warszawy nadała Eugenii Kierbedziowej obywatelstwo honorowe Warszawy „pragnąc szlachetnej i ofiarnej rodaczce okazać cześć i wdzięczność". Po pierwszej wojnie światowej, Warszawa nadała honorowe obywatelstwo pięciu osobom, w tym dwu kobietom: Marii Curie Skłodowskiej i Eugenii Kierbedziowej. Otrzymała ona również Order „Polonia Restituta".

Z powodu słabego zdrowia Eugenia Kierbedziowa mieszkała ostatnio stale w Rzymie, dojeżdżając jednak do Polski i głęboko interesując się objawami życia w odrodzonym Kraju. Bolała nad tym, iż nie może w większej mierze materialnie potrzebom Kraju dopomóc.

Nadzwyczajnej kultury i szerokiej wiedzy, odznaczyła się niesłychanie subtelnym wyczuciem ludzi i otoczenia. Posiadała głęboką intuicję i rozum, prawość charakteru, jasną i prostą linię życia.

Cześć jej pamięci!

PLUTON KARTOGRAFICZNY P.S.K.

Z inicjatywy mjr Szymkiewicza, Szefa Służby Geograficznej, powstał w r. ub. samodzielny Pluton Kartograficzny PSK, pierwsza tego rodzaju jednostka żeńska w historii wojska polskiego. Stworzono go z kobiet - żołnierzy Armii Krajowej, które z zapałem zabrały się do nauki, pod kierunkiem instruktorów z 12 Kompanii Geograficznej. Kurs obejmował naukę terenoznawstwa, kartografii, geometrii i kreśleń, a przede wszystkim korygowania map ze zdjęć lotniczych, czyli tzw. fotogrametrii, która tak cenne usługi oddaje armii w czasie akcji. Spośród innych przedmiotów wymienić należy również naukę... pisania, nad którą niejedna z uczennic żmudne spędziła godziny, ćwicząc się w stawianiu równych, drukowanych liter.

Po ośmiu miesiącach wytężonej pracy, 22 ochotniczki uznane zostały przez Komisję Egzaminacyjną za fachowe kreślarki. Spośród pięciu uczennic, odkomenderowanych na studia uniwersyteckie, część zda egzamin w terminie późniejszym.

Jednocześnie z kursem odbywało się unitarne szkolenie podoficerskie, w czasie którego „akaczki" odnowiły swą znajomość z karabinem, regulaminem i musztrą. Ze wszystkich tych prób wyszły zwycięsko, nie tylko dzięki

Gen. Anders ogląda prace kreślarek

swej świetnej postawie, lecz w dużej mierze dzięki staraniu i opiece przełożonych. Pluton jest bowiem jakby najmłodszym dzieckiem Służby Geograficznej Korpusu, a rolę przybranej matki pełni troskliwie 12 Kompania Geograficzna. Ona to urządziła mu wygodną siedzibę w ślicznym Recanati, zaopatruje bibliotekę, dostarcza rozrywek i dba o wszystkie sprawy gospodarcze i kwaterunkowe.

D-ca plutonu, kpt. H. z wyrozumieniem, a w miarę surowo prowadzi tę gromadkę, troszcząc się o jej losy obecne i przyszłe. Skończywszy szkolenie programowe, pluton przygotowuje się do życia cywilnego. Dziewczęta uczą się kreśleń technicznych, budowlanych i miernicze, przechodzą kurs języka angielskiego, mają lekcje pisma ozdobnego, jednocześnie ćwicząc się dla wprawy w kreśleniach kartograficznych i wykonywując zamówienia dla Sztabu; te ostatnie są upragnioną „prawdziwą" pracą, do której tak się tęskniło przez cały okres nauki.

Wieczorami, kreślarki dokształcają swe koleżanki (z obsady gospodarczej, która składa się z dwóch ochotniczek - kucharek i trzech pomocnic. Ochotniczki te przechodzą zarazem kurs kroju i szycia z myślą o swej cywilnej przyszłości.

Kreślarki w terenie

Specjalny rozdział w życiu Plutonu, to opieka nad sześciorgiem dzieci polskich, przybyłych z Kraju, którym kreślarki zorganizowały przedszkole i czworo z nich przygotowały do pierwszej Komunii św. Obecnie dzieci te wróciły do swych rodziców w Anconie. Lecz Pluton ma także i swe własne dzieci: spośród koleżanek — trzy młode matki znajdują się w Trani. Urodziło się już dwóch synów, trzecie maleństwo spodziewane jest wkrótce.

Pluton witał niedawno swą nową komendantkę w osobie por. PSK Falkiewicz, która obejmuje po swej poprzedniczce zespół karny i koleżeński.

Życie codzienne płynie spokojnie i harmonijnie. Skupiona, nie nerwowa praca, w wolnych chwilach książki, radio, plaża, czasem teatr i kino. Życzliwość otoczenia obok niezbędnej dyscypliny codziennej, zżycie się i koleżeństwo w zespole — stwarzają klimat, w którym jakoś łatwiej się oddycha i pogodniej patrzy przed siebie.

BOŻENA OLEX

KONIEC ROKU SZKOLNEGO

W GIMNAZJUM I LICEUM P. C. K.

3 lipca br. zakończył się rok szkolny Gimnazjum i Liceum P.S.K. w San Giorgio. Nazwa rok szkolny jest nieścisła, więcej — wcale nie odpowiada prawdzie. Kiedyś dawno rok szkolny był rzeczywiście rokiem, tak samo wiek szkolny był prawdziwą niefrasobliwą młodością, a wakacje pachniały i cieszyły wolnością wśród pól i lasów, pośród najbliższych osób.

Młoda uczennica, zasiadająca na ławce szkolnej w San Giorgio, niejednokrotnie miała twarde od kierownicy ręce, blizny ran z Powstania Warszawskiego, organizm zniszczony malarią i obozem rosyjskim, lub huczące jeszcze w głowie koszmary Ravensbrueck'u; po najbliższych, najdroższych wspomnienie niepokojące, a czasem tragiczne. Przychodziła ta młodość tragiczna do nauki z pola bitwy, z obozu, od ciężkiej pracy.

A rok szkolny trwał tylko sześć miesięcy i tyle, tyle trzeba było się uczyć, tyle przypominać, odtwarzać...

Właśnie szedł przypływ morza, biły w naszą społeczność fale nienawiści, starano się złamać naszą wolę trwania przy ideałach drogich polskiemu sercu. Akcja deklaracyjna, agitacja za porzuceniem szeregów, bliskość ewakuacji i widmo demobilizacji. Wytrwały wszystkie.

219 uczennic pracowało, zamykając uszy na wszystko co nie było obowiązkiem i osiągając w tej pracy rezultaty, 20 zdało egzamin dojrzałości, 34 uzyskało małą maturę, 136 otrzy-

Inspektorka Wysłouchowa w otoczeniu uczennic Gimnazium i Liceum PSK w S. Giorgio

mało promocję do następnej klasy. Przybyło nam wartości realnej. Korpus w swoich ochotniczkach zrobił krok w przód.

Korpus, podejmując tradycje Legionów Dąbrowskiego, których żołnierze w przerwach walk usilnie studiowali, bagnetami otwierając więzienie Ojczyzny, niesli ku Niej zdobycze kultury łacińskiej, Korpus spadkobierca duchowy Polski Niepodległej i Jej troski o kulturę, o młodzież — idee te rozwinął wspaniale na ziemi włoskiej. Powstająca szkoła miała wszystko, co można było w naszych warunkach otrzymać, otrzymała więcej niż mogła się w naszych warunkach spodziewać. Inspektorka Główna P.S.K. otoczyła dziewczęta serdecznością, a te z wielką ufnością i z prawdziwym przywiązaniem słuchają jej słów. Wiedzą przecież, że jej to myśl troskliwa o przyszłość ochotniczek, jej inicjatywa i jej starania. Dowództwo Zgrupowania Służb osłaniało, Wydział Oświaty kierował, pomocami naukowymi zasilał, radą i opieką prowadził, a nad wszystkim czuwał sam Dowódca Korpusu. Nic nie było trudnością — kilka słów prośby wystarczało, aby Grupa Artylerii serdecznie sprzyjająca szkole użyczyła wozów na wycieczkę.

W tych warunkach wyrosła szkoła z prawdziwego zdarzenia, w pięknym gmachu, z przyrządami naukowymi, z biblioteką o pięciu tysiącach tomów, oraz internat z uprzejmości P. C. K. w pięknym ogrodzie, nawet własna gospoda. Do dziewcząt należała tylko praca, nauka, dążenie do podniesienia swego wykształcenia i wyrobienia społecznego. Czy zadanie to zostało wykonane? Jak zawsze i wszędzie były takie uczennice, które nie nadążyły, ale ogólnie wynik dobry, nawet bardzo dobry. Czy hasło pracy tegorocznej: wdrożenie się do codziennego trudu w imię odbudowy społeczeństwa, hasło obowiązku i sumienności wrosło w dusze i serca absolwentek — przyszłość okaże.

Wakacje uczennic Gimnazjum i Liceum P. S. K. 2. Korpusu nie pachną jeszcze polskimi lipami, ani nie spędzi ich większość wśród rodziny. Piękna ziemia włoska przysporzy jednak sił i radości życia. Nowy rok szkolny zacznie się pod znakiem ewakuacji — i cóż z tego? Praca pójdzie dalej. Może już wkrótce nie będzie ogrodu z kwitnącymi oleandrami, ani widnych klas, ani szumiącego szafirowego morza, lecz uczennice przyrzekają tempa pracy nie zmniejszać, obowiązku nauki nie zaniedbać, a gdy Bóg piorunem świat ku sprawiedliwości otworzy — jak powiedział w swej przemowie podczas uroczystości zakończenia roku szkolnego Zastępca Dowódcy Korpusu — iść śmiało i dzielnie naprzód, gdzie woła obowiązek żołnierski, tą drogą, na której wolne Polki stoją i stać będą z 2. Korpusem i jego Dowódca.

A za ten rok, który przeszedł, wszystkim opiekunom serdecznie dziękujemy!

M. D.

LIST DO REDAKCJI

DO ŻOŁNIERZY A. K.

Podajemy niżej nadesłany ze Szwecji list matki, która straciła syna w Powstaniu Warszawskim.

Redakcja „Ochotniczki" pragnęłaby jej przesłać możliwie najdokładniejsze informacje, gdyż „Pączek", według jej relacji w liście do Redakcji (nr. 6 „Ochotniczki") na gmachu Pasty nie była.

Zwracamy się do Czytelników, a specjalnie żołnierzy A.K. o wiadomości tyczące Stanisława Iwanickiego, który zginął podobno w sierpniu 1944 w akcji na gmach Pasty w Warszawie. Ewentualne dane prosimy kierować pod adresem: Redakcja „Ochotniczki", C.M.F. 62.

Szanowna Pani Redaktorko!

W nr. 3. pisma „Ochotniczki" z marca 1946 roku przeczytałam artykuł p. Władysława Nałęcza pod tytułem: „Kobiety w Powstaniu".

Wspomina w nim o kobiecie-żołnierzu A.K. pod pseudonimem „Pączek", która podobno uczy się w gimnazjum P.S.K. Ponieważ ta panienka walczyła przy gmachu Pasty na ul. Zielnej, a ja otrzymałam tu w Szwecji lakoniczną wiadomość, że syn mój ś.p. Stanisław Iwanicki zginął właśnie przy obronie Pasty dnia 3 sierpnia 1944 roku, więc chciałabym bardzo dowiedzieć się od tej panienki — czy znała mego syna, czy rzeczywiście on zginął i w jakich okolicznościach.

Niestety pseudonimu mego syna nie znam, bo w czasie Powstania od dawna już siedziałam w obozie Ravensbrueck i tylko przez znajomych, ewakuowanych z Warszawy, dowiedziałam się, że syn mój oczywiście poszedł do Powstania dnia 1 sierpnia.

Zwracam się do Wielce Szanownej Pani z wielką prośbą, żeby była tak dobra i dowiedziała się od tej panienki jakichś szczegółów w tej sprawie i napisała do mnie kilka słów. Byłabym ogromnie wdzięczna. Dla informacji przesyłam rysopis mego syna. Maturzysta, 17 i pół lat (wyglądał na 20 lat) wzrostu 1. 82, rozrośnięty, wielki, blondyn ciemny, oczy błękitne, bardzo przystojny.

Wiadomość, którą otrzymałam z Warszawy o jego bohaterskiej śmierci — zawiera tylko krótką wzmiankę z ust trzecich podaną — że padł po [illegible]onie niemieckiej, więc koledzy ciała zabrać nie mogli.

Wielce Szanowna Pani zrozumie ból matczynego serca i chęć dowiedzenia się bliższych szczegółów o śmierci swego dziecka. Nie mam już nikogo na świecie, gdyż córka moja Maria, studentka politechniki, również padła od kuli niemieckiej w sierpniu 1943 r. w lasach Suwalszczyzny jako łączniczka i siostra miłosierdzia.

Oczekuję łaskawej odpowiedzi i łączę wyrazy prawdziwego poważania

Tranas, 9.6. 1946 *ZOFIA IWANICKA*

Nagałyn 4. Svezige (Szwecja)

KRONIKA

KANONIZACJA BŁOGOSŁAWIONEJ FRANCISZKI - KSAWERY CABRINI, PATRONKI EMIGRANTÓW

7 lipca br. w Bazylice św. Piotra w Rzymie Ojciec Św., Pius XII dokonał aktu kanonizacji błogosławionej Franciszki - Ksawery Cabrini.

Franciszka - Ksawera Cabrini urodziła się w Lombardii w roku 1850. Jest założycielką zakonu Sióstr Misjonarek pod wezwaniem Najświętszego Serca i założycielką 67 zakładów opiekuńczych dla dzieci, młodzieży i opuszczonych. Nazwano ją Patronką Emigrantów, o których los gorąco się troszczyła, znając niedolę i tragedię tych, których nędza i konieczności życiowe zmusiły do życia i pracy zdala od własnego kraju i środowiska.

Matka Cabrini, czuwając osobiście nad pracą stworzonych przez siebie zakładów opiekuńczych, przebywała Ocean kilkadziesiąt razy i zmarła przed 29 laty w Ameryce, jako obywatelka Stanów Zjednoczonych A. P.

Jest ona pierwszą spośród obywateli amerykańskich zaliczoną w poczet Świętych Pańskich, a zarazem pierwszą Świętą kanonizowaną po ostatniej wojnie.

DZIELNA POLKA

Wieczorem 13 lipca br. na plaży włoskiej pod Rzymem, trafiwszy na głębinę, zaczął tonąć jeden z kąpiących się Włochów, szofer „Wydziału Wydawnictw i Prasy" 2. Korpusu. Na pomoc tonącemu pośpieszyła p. Wanda W., oficer A. K., podporucznik P. S. K., która mimo wzburzonego morza, wyratowała tonącego.

Na okładce: drzeworyt B. Krasnodębskiej-Gardowskiej „JESIEŃ"

TREŚĆ NUMERU:

1. Czas uchodźctwa — czas próby . . *Bronisława Wysłouchowa*
2. Do Narodu Polskiego - - - - -
3. Dwa nurty naszego życia - - - -
4. Trzy pytania - - - - - - - - - *Janosta*
5. Przez wiatr pod wiatr - - - - - *Kazimierz Sowiński*
6. Głód — siłą polityczną Rosji - - *M. Miż*
7. Narastanie kłamstwa i prawdy - - *Jan Podolski*
8. Nie zmienia się treść walki - - -
9. Kadra - - - - - - - - - - - - *Stanisław Janikowski*
10. Rosja wobec Powstania Warszawskiego - - - - - - - - - - - *Wł. Nałęcz*
11. Wspomnienia o łączniczce Annie - *H. N.*
12. Te wszystkie sierpnie . . . . . *Stary*
13. Reportaż batalistyczny . . . . . *G. Herling — Grudziński*
14. Romans, który wszedł do historii . *Jan Bielatowicz*
15. Do książki . . . . . *Józef Żywina*
16. „Najpiękniejsze dni" . . . . . *Dorota Obuchowicz*
17. Kołhoz „Zwycięstwo rewolucji" . *Sergiusz Piasecki*
18. Żytobranie . . . . . *Józef Bujnowski*
19. List Matki . . . . . *X. Y.*
20. Kobiety polskie we Francji . . . *Irena Lewulisowa*
21. Praktyczne przysposobienie do życia *I. L.*
22. O nowym człowieku . . . . . *dr A. Weryha*
23. Godność kobiecości . . . . . *dr med A. W.*
24. „By stał się twierdzą nowej siły nasz dom . . . . . *Z. W.*
25. Śladami „W pustyni i puszczy" . *H. C.*
26. Rośliny lądowe bez ziemi . . . . *inż. Wł. Jegorow*
27. Tarta róża . . . . . *Beata Obertyńska*
28. Emigracyjne perspektywy . . . . *Teta*
29. W obudzeniu się nocnym . . . *Tadeusz Sułkowski*
30. List z Wenecji . . . . . *Halina Grodzicka*
31. Kat i jego córka . . . . . *Z. M.*
32. Na pożegnanie Włoch . . . . . *Pen*
33. Zgon zasłużonej Polki . . . . .
34. Pluton kartograficzny . . . . . *Bożena Olex*
35. Koniec roku szkolnego . . . . . *M. D.*
36. Listy do Redakcji. Kronika.

WŁOCHY, 1946 r.

„Ochotniczka" ukazuje się raz w miesiącu — Cena 35 lirów

Wydawca: *Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu*
Redaktorka Naczelna: *dr Herminia Naglerowa*
Adres redakcji i administracji: *Polforces CMF 62*

„Ochotniczkę" nabywać można w Referatach Kultury i Prasy 2. Korpusu, w Oddziałach P.S.K., w Kantynach polowych, oraz w Świetlicach

TŁOCZONO W DRUKARNI POLOWEJ